

Wszystko co boli minie, kiedy wróci miłość...

SPRAWY DO ZAPOMNIENIA

Czuła i inspirująca opowieść
o stracie i miłości

Courtney C. Stevens



SPRAWY DO ZAPOMNIENIA

Courtney C. Stevens

Przekład
JULIA WOLIN



*Dla tych, którzy noszą blizny na ciele lub na duszy;
dla tych, którzy żałują, że czegoś nie mogą zmienić;
dla tych stłamszonych, z ostatkiem sił;
dla tych, którzy robią to, co trzeba w niewłaściwy sposób;
wasze człowieczeństwo jest piękne.*

Księga Izajasza 61:3

Rozdział 1

Noc była jak Boże Narodzenie: zanim się zaczęła, już się kończyła, zwłaszcza w czerwcu. Wieczorem, za pięć dziewiąta, szłam naszą małą nadbrzeżną uliczką, przeszłam przez szosę, przecięłam parking supermarketu i ruszyłam w stronę pustej, jak miałam nadzieję, plaży. Towarzyszył mi piasek, pokręcone myśli i trochę podarte krótkie spodenki.

Fletcher, mój terapeuta, uważał, że jeśli zacznę nosić ubrania, które nie zakrywają całego ciała, choćby wieczorem, to już będzie postęp. Zgodziłam się spróbować i zaczęłam od gołych nóg. Panowały ciemności i znajdowałam się w swoim ulubionym miejscu na świecie, wszystko było w porządku. Nie miałam żadnego problemu z odsłanianiem blizn, pod warunkiem że nikt nie patrzył. Przypominałam sobie o tym, wchodząc na wydmy.

Uwielbiałam pustą plażę. Odgłos fal zalewających brzeg. Piasek Florydy, ani zimny, ani gorący, tylko idealnie ciepły, wciskał mi się między palce u stóp z pomalowanymi paznokciami. Przez cały zeszły rok zdążyłam zapomnieć, jakie cudowne szsz-szsz wydają w czasie biegu ocierające się o siebie nogi w spodenkach ze specjalnej, sportowej tkaniny. Akurat to w rzuconym przez Fletchera wyzwaniu bardzo mnie cieszyło. Prawie dziesięć kilometrów cudownego szsz-szsz. Wyłączyłam na chwilę muzykę i zasłuchałam się: wiatr, ocean, bicie mojego serca, szsz-szsz i... Cholera jasna!

Ludzie na mojej plaży!

Zanurkowałam w wysokiej nadmorskiej trawie i zaczęłam się im przyglądać. Impreza z okazji zakończenia roku szkolnego. Też dostałam zaproszenie – wystosowane pewnie z litości – ale skasowałam maila. Zapach osmalanych płomieniami kawałków drewna kusił, żeby dołączyć do imprezujących, ale w spodenkach, na oczach tylu osób... Nie da rady, wykluczone... Jakiś koszmar.

Zresztą to było spotkanie klasy Graya i Trenta, nie mojej. Wypatrzyłam wprawdzie wśród siedzących na ręcznikach parę osób z mojej byłej klasy. Grupka maturzystów tańczyła, wznosiła toasty czerwonym winem w jednorazowych kubeczkach i fałszywie śpiewała. Inni rozsiedli się na wyrzuconych na brzeg balach drewna, gadali i śmiali się. Rok szkolny skończył się dwa dni temu, ale starali się wycisnąć z tej okazji wszystko, co się dało, aż do ostatniej kropli.

No i fajnie.

Ogień i światło księżyca raczej wykluczały przesmyknięcie się przez wydmy niepostrzeżenie, ale czułam, że muszę biec. No i musiałam dotrzymać słowa w kwestii krótkich spodenek. Gdy tylko wyłoniłam się z cienia, żeby wyruszyć w stronę strefy należącej do wojska, zauważyła mnie Gina:

– Sadie! – Zabrzmiało to dość niepewnie, ale uśmiech miała głęboki jak ocean.

Naprawdę się ucieszyła, że mnie widzi. Gdybym tylko mogła się odwzajemnić...

Zamarłam i czekałam między dwiema górującymi nade mną wydmami. Spotkanie z dawną przyjaciółką

budziło wspomnienia, i dobre, i złe. Nawet po jedenastu miesiącach prawie zerowych kontaktów.

– Cześć – powiedziałam, gdy się zbliżyła.

Podchodząc, spięta rozwiane włosy w ciasny kucyk, a ja jej pozazdrościłam beztroski, z jaką odsłania kości policzkowe.

– Dostałaś mój SMS! – ucieszyła się. – Miałam nadzieję, że przyjdiesz, ale nie mogę uwierzyć, że jesteś.

Obciągnęłam spodenki i wskazałam na swoje buty.

– Tak naprawdę wyszłam pobiegać.

Nic nie powiedziała na szorty, ale na moment jej wzrok zawisł na moim udzie, a konkretnie na długiej trójkątnej bliznie, którą nazywałam Pink Floyd.

– Chodź, przynajmniej się przywitasz – zasugerowała.

Cofnęłam się.

– Raczej nie.

Najlepsze przyjaciółki, nawet byłe, powinny rozumieć takie sprawy jak lęk przed kontaktami i publicznym pokazywaniem blizn. Wiele razy próbowałam wyjaśniać, ale do Giny to nie trafiało. Albo po prostu nie chciała zaakceptować faktu, że jeśli coś się zmieniło, to tak już zostanie. Chociaż obie bardzo byśmy chciały, żeby się okazało inaczej.

Natychmiast spróbowała innego sposobu wciągnięcia mnie w sidła:

– Gray też jest. Na pewno bardzo chciałby się z tobą zobaczyć.

Za każdym razem, gdy się widziałyśmy, usiłowała mi sprzedać ten sam kit. Nie wiem, czy chciała zminimalizować swoje poczucie winy, czy zwiększyć moje, spowodowane tym, że go unikam.

– Proszę cię, przestań naprawiać...

– Mówię tylko, że powinnaś go wysłuchać. Jemu jeszcze nie przeszło. – Grzebała palcem u nogi w piasku i zmuszała się, żeby patrzeć mi w oczy. – Nie da się tak łatwo zamknąć sześciu lat.

Gray Garrison i ja byliśmy kiedyś nierozłączni. Łączyło nas uwielbienie dla Harry'ego Pottera, a potem niezależnych kapel. Przeszliśmy przez wszystkie etapy młodości, łącznie ze strachem przed chorobami przenoszonymi przez pocałunki. Jeszcze rok temu korytarze naszego liceum przypominały rozciągającą się przed nami kościelną nawę prowadzącą do ołtarza. Ale przez rok dużo może się zmienić.

– Teraz jestem z Maxem – oznajmiłam.

Tak, wiem, Max mieszkał za granicą. Nasz związek opierał się wyłącznie na mailach, ale tak wyglądało nasze bycie razem. Może jeśli w to uwierzy, przestanie mi wpychać Graya.

Ładna, pozbawiona blizn twarz Giny – jej jedyną niedoskonałością były urocze piegi – zastygła.

– Aha. To świetnie. – Schowała ręce do kieszeni i przez chwilę kołysała się na piętach. – Chcę ci tylko przypomnieć, że między mną a Grayem nic nie było. Zupełnie nic. – Z wyjątkiem tej gry wstępnej, którą wam przerwałam? – Wiem, że to nas nie usprawiedliwia, ale wtedy wszyscy mieliśmy zły czas. – „Wtedy” to wcale nie było tak dawno. – Nie chcieliśmy... – wyciągnęła dłonie w stronę mojej twarzy i blizny, którą nazywałam Idaho – nikogo skrzywdzić.

Wiedziałam o tym.

Ale czasem taka informacja jest gównem warta. Właśnie dlatego unikałam rozmów z nią. Wiecznie do

tego wracała. Zawsze mi przypominała, jak to bardzo, cholernie jej przykro. Wciągała mnie w przeszłość. Tak samo teraz.

Ja jej przecież wierzyłam. Grayowi też. Żadne z nich nikogo by z premedytacją nie skrzywdziło, zwłaszcza mnie. Ale jednak wciąż nie mogłam wzbudzić w sobie nastawienia pt. „to nic takiego”. Ani nawet: „cierpiałam, ale przebaczam wam”. Wychodziło więc na to, że ona ciągle przeprasza, a ja ciągle chowam urazę.

Dzięki Bogu za domowe nauczanie. Przynajmniej nie muszę tego wysłuchiwać codziennie.

Gina trajkotała dalej.

– Nie chciałabyś, żebyśmy spędziły razem trochę czasu? Mogłabyś tam ze mną pójść, wypić drinka, ignorować Graya, jeśli masz ochotę. Opowiedziałabyś mi o bieganiu, o operacjach, o Maksie, o czymkolwiek. Tęsknię za tobą.

Ja za nią też tęskniłam. Ale nie umiałam tego powiedzieć na głos. I za moment bardzo się z tego ucieszyłam, bo poczułam na ramionach dłonie Graya, delikatne i łagodne. Nie musiałam się odwracać, żeby wiedzieć, że to on. Gesty są tak samo niepowtarzalne jak odciski palców, charakterystyczne tylko dla tej jednej osoby. Jego ruchy były choreografią, do której kiedyś tańczyłam.

– Cześć.

Jakim cudem głos może mieć taką moc?

– Cześć – odparłam i odwróciłam się do niego.

Gray, z tą swoją chłopięcą twarzą i nosem aż się proszącym, żeby go ucałować. Żadnych blizn, niedoskonałości, tylko prawe ucho umieszczone odrobinę niżej niż lewe. Rozłożył ramiona – tego gestu nie da się źle zinterpretować – więc z poczucia obowiązku albo odruchowo, nie wiem, ale w każdym razie przytuliłam się do niego. Oparł podbródek na czubku mojej głowy i skrzyżował ręce na moich plecach. Przywarłam policzkiem do jego piersi.

Tak jakby nacieranie otwartej rany alkoholem miało mniej boleć.

Po pierwsze, już nie byliśmy parą. Po drugie, jak się już było w czyichś objęciach, dotkliwiej się odczuwa ich brak. Max nie mógł mi szeptać do ucha przez Internet.

Gray się odsunął.

– Cieszę się, że wyszłaś z domu!

Nie tylko wyszłam z domu, ale także rozmawiałam z dwiema, słownie: dwiema!, osobami. Innymi niż moi rodzice. To się nie zdarzało często. Ja się ludzi nie bałam, ale zdaje się, że oni bali się mnie.

– Idę pobiegać – wytłumaczyłam się znów i cofnęłam o kilka kroków.

– Ach. Myślałam, że może... – Nie dokończył, ale wiedziałam, co chce powiedzieć. Łudził się, że przyszedł się zobaczyć z nim albo z Giną. Oboje zapraszali mnie SMS-owo na tę imprezę.

Postanowiłam sprawdzić swoją teorię. Raczej po to, żeby się w niej upewnić, niż dlatego, że się łudziłam.

Spojrzałam mu prosto w oczy.

Odwrócił wzrok.

Nie stał się z tego powodu potworem, ale ja się poczułam jak potwór. Przyjaźń, nie mówiąc już o związku, była niemożliwa, dopóki on nie będzie w stanie znieść mojego widoku. Dlatego to ja z nim zerwałam, przynajmniej oficjalnie.

– Nadal nie możesz – zauważyłam.

Wiedział, o co chodzi, bo westchnął. Gina spróbowała nas pogodzić, kładąc nam ręce na ramionach.

Nigdy nie lubiła nieporozumień.

– Muszę iść – dodałam.

Zanim odbiegłam, zadała mi jeszcze jedno pytanie:

– Max przyjedzie na rocznicę?

Pokiwałam głową. Jeśli przyjaźń wiąże ludzi, byliśmy jednym wielkim supłem. Gray i ja. Gina i Trent.

Max, młodszy brat Trenta, który wszędzie za nami chodził. Nasza czwórka, czasem piątka, była nierozłączona. Sąsiedzi, pary i drugie pokolenie przyjaciół w naszych rodzinach.

W zeszłym roku nasi rodzice trzymali się razem.

My nie poszliśmy w ich ślady.

Rozłam nastąpił dwudziestego dziewiątego czerwca. Jeszcze dwadzieścia trzy dni do pierwszej rocznicy śmierci Trenta.

– Muszę iść – powtórzyłam bardziej stanowczo.

– A co ze szkołą? Wrócisz jesienią?

Nie miałam ochoty rozmawiać o szkole ani o rocznicy. Chciałam biec.

– Przepraszam, będę lecieć. – Byłam zdecydowana na odwrót.

– Odezwę się do ciebie – obiecała Gina.

Gray stał z rękami splecionymi za głową i wzdychał. Przez te wszystkie lata, kiedy byliśmy parą, nie robił tego tak często jak w ubiegłym roku.

Zanim ruszyłam, jeszcze raz spojrzałam w stronę imprezowego zgromadzenia. Moi dawni koledzy z klasy też pewnie wzdychali. Wszyscy wiedzieli o Trencie i że wyleciałam przez okno jego toyoty yaris oraz dlaczego zerwałam z Grayem. Pewnie podejrzewali, że obwiniam Ginę i Graya o więcej niż tylko o zdradę. (Nie dziwię się, bo to oni jechali samochodem, który załatwił mi na twarzy bliznę zwaną Idaho).

Może obwiniałam, a może nie. To skomplikowane. Czasem mi się wydawało, że wszystko, śmierć Trenta, moja twarz, wszystkie rozstania, wyjazd Maxa, to wina Giny i Graya. Innym razem miałam za złe Bogu. A bywało, że nikomu. Te dni lubiłam najbardziej. Nie chciałam skończyć jak zgred rozdrapujący stare rany i wytykający palcami odpowiedzialnych, ale niespecjalnie mi się udawało panowanie nad emocjami.

Wiedziałam tylko, że im bardziej się oddalałam od imprezy, tym bardziej pragnęłam, żeby Gina albo Gray za mną pobiegli. Ale nikt się nie zjawił, więc pogłośniłam muzykę i ruszyłam szybciej. Nie byłam sprinterką i już po półtora kilometra płuca mi o tym przypomniały.

Zwolniłam, a potem się zatrzymałam. Oparłam ręce na kolanach i głęboko odetchnęłam. Przede mną wyrastało z wody pięć betonowych pylonów, wyglądających jak pozostałości zniszczonej bramy. Nazywaliśmy to miejsce „The Wall”. Kiedyś stał tu wojskowy budynek. Teraz wypoczywały mewy. Zwykle w tym właśnie miejscu zatrzymywałam się i sporządzałam na piasku listę rzeczy do wykonania w tym roku. Jak w piosence Coldplay.

1. Pokazać się w koszulce na ramiączkach.
2. Pójść na rozdanie matur.
3. Przebaczyć Ginie i Grayowi.

4. Przestać podążać za kimś i zacząć przewodzić.

5. Znow jeździć samochodem.

6. Pocałować kogoś bez zawahania.

7. Odwiedzić Fontannę Młodości.

Pod spodem nagryzmoliłam jedyne łacińskie wyrażenie, jakie znałam: „a posse ad esse”. Oznaczało „od możliwości do realizacji”.

Nie licząc Fontanny Młodości, wszystko było teoretycznie bardzo proste do osiągnięcia. Boże, niektóre rzeczy mogłam załatwić w jeden dzień! Ale upłynęło już tyle dni, tyle okazji, tyle list na piasku i nadal nic z tego nie wychodziło. A pisałam prawie codziennie.

Co wieczór słowa zmywał ocean.

Dzisiaj, pewnie z powodu spotkania z Giną i Grayem, a może dlatego, że czułam się jak ten stary zrujnowany mur, dodałam dopisek obok punktu trzeciego: „I powiedzieć im prawdę”.

Rozdział 2

Godzinę później dotarłam do domu i padłam na drewniany fotel na tylnej werandzie, żeby złapać oddech. Mama musiała nasłuchiwać mojego powrotu, bo zanim jeszcze mój tyłek dotknął siedzenia, rozsunęła drzwi.

Stała w domu, ale wychyliła się na werandę, podając mi butelkę wody i elegancką kopertę.

– Dobrze się biegało? – spytała.

– Tak.

Słyszałam w jej głosie troskę, ale udawała, że wcale tak nie jest.

– Długo cię nie było. Spodenki w porządku?

Okazało się, że wcale nie spodenki były wyzwaniem tego wieczoru.

– Tak.

– Mogę się przysiąść?

Poklepałam miejsce obok siebie.

Mama zamknęła drzwi i usiadła. Zagapiłyśmy się na dom McCallów, jakbyśmy się spodziewały, że wyjdzie z niego Trent albo Max, albo obaj i ruszą do zatoki na wieczorny połów. Najpierw nic nie mówiła. Potem wyrzuciła z siebie:

– Jak cię nie było, rozmawialiśmy z tatą o nauczaniu domowym.

– I? – Zaczęłam pić.

Mama miała zwyczaj zaciskania ust przed przekazaniem złych wiadomości. Zacisnęła je pięć razy. Nastawiłam się na najgorsze.

– Uważamy, że to nie jest dobry pomysł – zaczęła. – Co innego w zeszłym roku, ze względu na operację i rehabilitację, ale teraz...

Ostatnio się wahała, kiedy rozmawialiśmy o szkole, ale nie przyznała się, o czym myśli.

Wyprostowałam się i poczułam, że mnie mdli.

– Mamo! – Starłam się wypowiedzieć to słowo z największym sprzeciwem.

– Nie możesz się chować przed ludźmi do końca życia.

Już miałam się pograć w beznadziei, ale znalazłam siłę, by zaprotestować:

– Oczywiście, że mogę. Jest przecież takie urocze schorzenie jak agorafobia.

– To nie jest śmieszne.

– Jak się ma taką twarz, trzeba żartować.

– Nigdy nie będziesz gotowa, skarbie. Musisz się po prostu odważyć.

Teoretycznie się z nią zgadzałam, ale rozwaga nie była ostatnimi czasy moją najmocniejszą stroną. Chwyciłam podłokietniki fotela i odetchnęłam głęboko.

– Byłoby miło, gdybyś postarała się zrozumieć, choćby na dwie sekundy, że jest mi dobrze tak, jak jest.
– Tylko że to nieprawda.

Boże, i tu mnie miała. Przecież zaledwie godzinę temu pisałam na piasku, że chcę razem z wszystkimi odbierać świadectwo maturalne. W głębi duszy chciałam wrócić do szkoły. Tak jak dołączyć do dzisiejszej imprezy. Robić sobie zdjęcia z Giną i wrzucać na Instagrama. A Gray? Żeby znowu patrzył mi w oczy. Pragnęłam odzyskać dawne życie.

– Posłuchaj, nie przeżywam tego, co ty – oznajmiła mama. – I wiem, że to niełatwe. Ale martwimy się o ciebie. Nie poszłaś z nami na wręczenie matur Graya i Trenta. Żyjesz jak pustelniczka. Biegasz po nocy. Szlajasz się po złomowiskach. Z nikim nie rozmawiasz. – Zamilkła. – Przecież wiesz, że kiedyś w tym domu drzwi się nie zamykały.

Trent nie zdawał matury, chciałam powiedzieć, ale darowałam jej to i przeszłam do samoobrony.

– Piszę do Maxa listy. A dzisiaj rozmawiałam z Giną i Grayem.

Jej kolej na reakcję. Ta rozmowa przypominała odgrywanie sztuki, a my doskonale znałyśmy swoje kwestie.

– Cieszę się, że masz Maxa i że rozmawiałaś z Giną i Grayem, ale nie o to nam z tatą chodzi. Potrzebujesz czegoś więcej. Doktor Glasson twierdzi, że jesteś już gotowa.

Nie zareagowałam, a ona wiedziała, że tego nie zrobię. Milczenie nie wynikało z braku zaufania.

Pocałowała mnie w Idaho.

– Pomyśl o tym. Będzie łatwiej, jeśli sama zadecydujesz.

– Nic nie jest łatwe.

– Damy radę! – zapewniła, a głos miała pełen przekonania. – Wierzę w ciebie, córeczko. Jak zawsze.

Boże, jak żałowałam, że nie mogę jej nosić w kieszeni. Nadzieja mamy była zaraźliwa.

– Dobrze – obiecałam.

Matki mają taki zwyczaj, że jeśli nie chcą nic więcej dodawać, ale nie zamierzają też odchodzić, zawisają nad człowiekiem. Wetknęłam pod udo kopertę, którą mi dała. Oby tylko pot nie przesiąkł do środka. Wskazałam na drzwi.

– Nie otworzysz?

– Nie, jeśli będziesz tu stała.

Zareagowała dowcipem, nie urazą.

– Chciałam się upewnić, że nie ma tam węglika. Ostrożności nigdy dość.

– Dobranoc, mamó!

Posłała mi buziaka.

– Nie siedź do późna.

Potem na szczęście zostawiła mnie w spokoju. Gdy już przestała podglądać przez okno w kuchni, rozdarłam kopertę. Przeczytałam swoje nazwisko, bez adresu. Dziwne. Może to jakiś żart. Może spóźniona kartka urodzinowa, którą podrzuciła Gina albo Gray. Więcej kandydatów nie widziałam, bo z wszystkimi innymi zerwałam kontakty. Max przysłał mi parę kartek pocztowych i paczkę na święta, ale gdyby to przyszło z Salwadoru, byłyby znaczki.

Wyjęłam jedną kartkę. Rozkładając ją, przesunęłam fotel pod żarówkę wiszącą nad środkową częścią werandy, bo pomyślałam, że mogę mieć problem z odczytaniem słów. Ale nie, nie miałam żadnego

problemu. Pośrodku widniało tylko jedno zdanie.

Skończyłam dzisiaj trzynaście lat i kąpałam się nago z Trentem McCallem.

Wypuściłam kartkę z ręki i zakryłam usta.

– Jezu Chryste.

To ja napisałam, cztery lata temu. Na kawałku papieru wydartym z zeszytu, a ten kawałek wepchnęłam do Biga. Nikt go wcześniej nie widział.

W każdym razie do dziś tak myślałam.

Rozdział 3

Furia. Paskudny niesmak, kiedy się dowiadujesz, że rodzice wtrącają się w twoje życie.

Nie wiem, kiedy uznali, że wolno im grzebać w moich osobistych rzeczach, ale musimy o tym porozmawiać.

– Mamo! – ryknęłam, wszedłszy do kuchni. Ale przecież nie zrobiła tego sama, musiałam być sprawiedliwa. – Tato! – Najwyraźniej nie spodziewali się mojego wybuchu gniewu, bo spokojnie siedzieli przed telewizorem, ekscytując się najnowszym odkryciem, Netflixem. Chcę, żeby usiedli przy stole kuchennym! Oczekuję wyjaśnień! Wkroczyłam do pokoju, wywrzaskując te żądania, a oni popatrzyli na mnie, jakby do domu wszedł yeti, którego muszą obezwładnić. Pokazałam im kopertę. – Nie mieliście prawa!

Tata przekrzywił głowę i odezwał się spokojnie, ale stanowczo:

– Siadaj. – Usiadłam. A jak już to zrobiłam, rzuciłam kopertę na stół. Papier emanuje wściekłością, jak się nim rzuca, to chyba jasne. – A teraz wyjaśnij, co na litość boską...

Przerwałam mu.

– O to, że grzebaliście w moich rzeczach!

– Nie. Chodzi o to, że masz się uspokoić, młoda damo.

W zeszłym roku słyszałam ten ton nie raz. Rodzice byli cierpliwi, wspierali mnie przy operacjach, leczeniu i terapii. Nie miałam im nic do zarzucenia. Ale wchodzenie do mojego pokoju i grzebanie w moich rzeczach było jak... Nikt by się nie pogodził z takim naruszeniem prywatności. Nikt.

– Zechcesz nam powiedzieć, co się stało? – zaczął znowu tata.

Wskazałam na kopertę.

– To!

Zaczął więc wyjmować z niej złożoną kartkę. I wtedy do mnie dotarło, że oni nie mają pojęcia, o co chodzi. Jeśli zaraz nie wkroczę do akcji, tata przeczyta to zdanie, z którego nie będę się umiała wytłumaczyć.

– Zaczekaj. – Chwyciłam list i spojrzałam na mamę. – Skąd wzięłaś list, zanim dałaś mi go na werandzie?

– Ze skrzynki...

– Był w skrzynce, tak po prostu?

– Był w skrzynce, tak po prostu.

Czas się wycofać.

– Ktoś sobie ze mnie robi żarty. – Uśmiechnęłam się fałszywie. – Pomyślałam, że to wy. Koniec spotkania rodzinnego. Oglądajcie sobie dalej *House of Cards*. Bardzo przepraszam, że krzyczałam.

Mama wpatrywała się w kopertę. Tata nie wiedział, co dalej. Widziałam, że się zastanawia, co takiego mogło w niej być, że wywołało wybuch.

– Chcesz o tym porozmawiać? – spytała mama.

Pokręciłam głową.

– Nie. Przepraszam. Myślałam, po prostu... Pomyliłam się.

Po chwili niezręcznej ciszy odezwał się tata:

– Czy to wszystko... – Machnął ręką, jakby moje emocje były żywą osobą siedzącą z nami przy stole. –

To z powodu rocznicy?

– Nie mów o Trentie, tato, proszę cię. – Głos mi zadrzał, ale utrzymałam łzy pod powiekami.

Tęskniłam za Trentem równie bardzo, jak za dawną sobą.

Makijaż maskował część moich blizn, ale żałoby nie. Tata to wiedział.

– Posłuchaj. – Postukał palcami w stół. – Musisz się wziąć w garść.

– Tony... – Mama chciała go powstrzymać, ale ją zignorował.

– Nie, Taro – ostrzegł ją tym samym tonem, co mnie przed chwilą. – Ona jest wystarczająco odważna.

A my jej pomożemy wydobyć tę odwagę. Rozmawialiśmy przecież o tym.

– Halo, ja wciąż tu jestem! – przypomniałam, bo mnie wkurzyli.

Tata skupił się z powrotem na mnie.

– Nie chodzi o to, że jestem niewrażliwy. Wręcz przeciwnie. Martwię się o ciebie. Oboje się martwimy. Mama twierdzi, że nie powinniśmy cię zmuszać do powrotu do szkoły, ale ten wybuch, czy co to w zasadzie było, to tylko kolejny dowód, że musisz wrócić do ludzi. I tego lata do nich wrócisz.

Żołądek miałam w gardle, a głos mi drżał.

– Zmusicie mnie?

Wymienili spojrzenia.

– Tak – przyznali jednocześnie.

Wstałam i zasunęłam krzesło.

– Nie rozumiecie...

– Rozumiemy.

Mówili jednym głosem, stanowczo. Podjęli decyzję.

Mama wstała i podeszła. Objęła mnie i zaczęła głaskać po włosach. Czulałam bicie jej serca, szybkie i mocne, jednocześnie przerażone i zdecydowane. Bicia serca są jak dychotomia. Cały czas trzymałam ręce opuszczone wzdłuż boków.

– To nie jest kara – zapewniła. – Prawie cię straciliśmy. Nie będziemy teraz stali i patrzyli, jak niszczysz sama siebie.

– Dobrze, rozumiem – mruknęłam.

Wyplątałam się z jej objęć i ruszyłam korytarzem do swojej łazienki. Rozebrałam się do naga, do blizn, i weszłam pod zimny prysznic.

Nie rozumiałam, o co chodzi z tym listem, ale wiedziałam, o co chodzi rodzicom. Nie będą mnie pytać o zgodę, a jeśli zacznę się stawiać i pytać: „A co, jeśli nie pójdę?!”, to tylko pogorszy sytuację i konsekwencji będzie więcej. A jednak zamierzałam się kłócić. Nie wiem dlaczego, ale nie miałam dość awantury. Chciałam być na nich wściekła, chociaż gdzieś w głębi czulałam, że prawdopodobnie mają

rację.

Gdyby nie mieli, nie robiłabym list na piasku.

Kiedy paskudny zwyczaj wyłóbił już koleiny, zauważyli go. Zwłaszcza że miał rozmiary Wielkiego Kanionu.

Prysznic ukoił mi mięśnie, ale nie uczucia. Wróciłam do swojego pokoju i złowieszczo spojrzałam na zdrajcę, Biga.

Pluszowy, niebieski struś, stary i sflaczały, siedział oparty o moje poduszki. Tam, gdzie go posadziłam rano. Mało kto wiedział, że wypatroszyłam go z wacianego wypełnienia i zastąpiłam je skrawkami papieru z zapisanymi na nich myślami. Właściwie wiedzieli tylko Gina, Gray, Max, Fletcher, Metalowy Pete... Kto jeszcze? Może jeszcze jakieś dziewczyny ze szkoły, które u mnie nocowały. Ale na pewno żadna z tych osób nie miałaby czasu na takie coś.

Wzięłam Biga do rąk. Był miękki i wydawał szeleszczące odgłosy. Na słuch i na dotyk był pełen. Ostrożnie wsadziłam rękę do dziury, wyjęłam pierwszy skrawek papieru i przeczytałam. Wstyd działa błyskawicznie. Odczułam go już po przeczytaniu pierwszych pięciu słów, które zapisałam zaledwie w zeszłym tygodniu.

Przestanę rysować flamastrem kreski wokół blizn, żeby wyglądały jak szwy w piłce baseballowej. Naprawdę przestanę.

Ale jeszcze nie przestałam. Trzy wieczory temu, po wizycie u lekarza, która złamała mi serce – „Nie, nie możemy w tej chwili zrobić więcej operacji” – wróciłam do tego paskudnego nawyku.

Złożyłam karteczkę i wepchnęłam w głąb Biga. Potem wyciągnęłam następną. To będzie żmudny proces. Kartki miały różne rozmiary, a dziura była mała. Zamysł był taki, że wszystko, każde wspomnienie, tajemnica, myśl, wchodzi do środka i tam zostają.

Rozłożyłam następną i się roześmiałam. Pochodziła sprzed paru lat.

Obejrzałam wszystkie odcinki Buffy: Postrach wampirów. Dwa razy.

Boże, dlaczego ten, kto przysłał list, nie mógł wylosować tej?!

Nawet nie pamiętałam, że to pisałam. Musiało to być naprawdę dawno temu, bo do tej pory obejrzałam całą serię już pięć razy. Tak naprawdę nie wiedziałam, co w ciągu ostatnich pięciu lat wepchnęłam do Biga. Zdałam sobie sprawę, że nie mam pojęcia, co tam jest, a czego brakuje. Nie wiem, czy ten ktoś przeczytał wszystkie, czy tylko tę jedną. Nie miałam innego wyjścia, jak szukać karteczki o kąpieli nago i modlić się, że po prostu ten ktoś zauważył tę jedną, która przypadkiem wypadła, i w ten sposób dyskretnie mi ją zwracał.

Ale oczywiście, gdyby miało tak być, toby jej nie przepisywał i nie wrzucał do skrzynki!

Mimo wszystko oczekiwałam prostego rozwiązania.

Nie wszystko, co wyciągnęłam z Biga, wymagało dogłębnej lektury. Przeleciałam przez mnóstwo notatek o Trencie, wypadku, Ginie i Grayu, przez zabawne wspomnienia, idiotyczne teorie i zawstydzającą liczbę historycznych przemyśleń na każdy temat, od mojego okresu, po rodziców. Czterdzieści jeden karteczek później trafiłam.

Skończyłam dzisiaj trzynaście lat i kąpałam się nago z Trentem McCallem.

Nie spodziewałam się, że ją znajdę. A jednak. Mimo niepokoju kto, gdzie i jak, samo wspomnienie mnie rozbawiło.

Zagapiłam się w okno. Tak strasznie chciałam usłyszeć pukanie.

Tamtej nocy, której to napisałam, Trent otworzył moje okno chwilę po północy. Od trzech minut miałam urodziny.

– Sadie May, chodź ze mną. Mam plan.

Plany Trenta zawsze były dobre. Zamiast zapytać, co wymyślił, wyskoczyłam. Miał w głosie coś takiego, że szłam za nim, jakby rzucał na mnie czar.

Wymykanie się z domu to była nowość, z której chętnie korzystaliśmy. Dotychczas nikt nas nie przyłapał. Na rowerach przejechaliśmy trzy kilometry do końca bulwaru Santa Rosa, a potem jeszcze kawałek w stronę mostu. Samochody na dziewięćdziesiątce ósemce śmigały obok nas, ale Trent nie zwalniał. Nie odrywałam wzroku od asfaltu, gdy się zatrzymywaliśmy na parkingu po naszej stronie Destin Bridge.

– Co robimy? – spytałam wreszcie, gdy przypinaliśmy rowery do słupka.

– Będziemy palić, pić i się rozbierać.

– Słucham?!

Poklepał wypchany plecak.

– Teraz jesteś nastolatką. Musimy to uczcić.

– Jakoś nie uczciliśmy tak twoich trzynastych urodzin – zaprotestowałam, ale tak naprawdę byłam strasznie rozemocjonowana, co będzie dalej.

– To dlatego, że wtedy jeszcze ty nie miałaś trzynastu lat.

Oboje się roześmialiśmy z powodu tej nienagannej logiki i po miękkim piasku podeszliśmy do wody. Zachodni falochron wcinał się w morze jak wyciągnięty palec, tworząc półzapórę między zatoką, portem Destin Harbor a otwartym oceanem. Falochron, tak jak i większość plażowych budowli, wydawał się bliżej niż w rzeczywistości. Mola i słupy płatały nam zawsze figle, ale razem z Trentem wiele razy szliśmy tą trasą nurkować albo na ryby. Światła mostu i księżyc prawie w pełni malowały na wodzie złote pasy. W jednym z pobliskich barów jakiś samozwańczy Jimmy Buffet brzdąkał na gitarze i śpiewał o piratach. Muzyka, księżycowe światło i wiatr byli naszymi przyjaciółmi.

Po drodze Trent cały czas coś mówił. Pytał. Zawsze o coś pytał. Co chciałam dostać na urodziny? (Wizytę w uniwersyteckim planetarium, tu na Florydzie). Czy jedziemy z wizytą do babci? (Nie). Spodziewam się jakiegoś superprezentu od Graya? (Tak, już dostałam, z wyprzedzeniem: metalowy naszyjnik z wybitą długością i szerokością geograficzną Fontanny Młodości).

– Wow, super! – zareagował Trent.

Po czterdziestu pięciu minutach dotarliśmy w końcu do falochronu. Trzymaliśmy się blisko wody, chociaż kusiło nas, by zajrzeć do ptasiego sanktuarium teraz, kiedy nikt nas nie mógł przegonić. Ale złapanie przez rodziców to jedno, a bycie nagrany przez kamerę monitoringu drugie.

Trent wiedział, że się trochę stresuję, bo zapewnił:

– Masz urodziny, Sadie May. Nawet jak nas złapią, nikt nam nic nie zrobi.

Miał rację.

Ze śmiechem weszliśmy na skały i chwilę łapaliśmy równowagę. Czuliśmy się, jakbyśmy chodzili po

wodzie. Fale chlupały wokół i zastanawiałam się, czy jest przypływ, czy odpływ. Przeszliśmy jakieś dziesięć metrów, uważając na śliskie miejsca obrośnięte glonami, a potem Trent usiadł i otworzył plecak.

– Nie idziemy do końca? – spytałam.

– Nie trzeba.

Nie wiedziałam, czego się spodziewać. Wyjął z plecaka papierosa, zapalniczkę i termos. Cała w emocjach usiadłam obok.

– Mamy teraz niepowtarzalną okazję. – Zapalił papierosa i mi podał.

Nie miałam pojęcia, co z nim zrobić, i poinformowałam go o tym.

– Wciągnij dym, a potem wypuść.

Zrobiłam to.

Rozkaszałam się.

On się roześmiał.

Spróbowałam jeszcze raz.

Podczas tych dwóch triumfalnych dmuchów udało mi się wyprodukować dokładnie zero kółek z dymu.

On wziął papierosa, wydmuchał chmurkę (też nie kółko!), a następnie zgasił go o skały.

– Jedno z głowy – oznajmił. – Idziemy dalej.

– Zamierzasz mnie upić?

– Jednym kubkiem wina? Wątpię. To tylko w celach poznawczych. Mamy resztę życia na nawalanie się do nieprzytomności.

– Ginę też tu przyprowadzisz w jej urodziny?

– Może – odparł i mrugnął. – Ale dzisiejsza noc jest twoja, siostrzyczko.

Uwielbiałam, kiedy mówił o mnie jak o członku rodziny. Trent i Max byli nie tylko sąsiadami zza płotu. Mama i tata żartowali czasem, że jakoś mnie znoszą, ale woleliby chłopaków. Odkąd pamiętam biliśmy się, pakowaliśmy w kłopoty i jedliśmy makaron z serem. Makaron z serem łączy silniej niż więzy krwi.

Trent odkręcił termos i podał mi zakrętkę. Powąchałam i od razu poznałam, co jest w środku. Pinot grigio. Moi rodzice pijali to po obiedzie, a żaden szanujący się dzieciak z dostępem do całego kartonu wina w lodówce nie powtrzymałby się od skosztowania, co to takiego.

Upiłam łyczek i zakrzyknęłam:

– Zdrowie!

Chociaż nie mieliśmy kieliszków, żeby się nimi stuknąć.

Trent uniósł termos i odwzajemnił mój toast. Potem wrócił do grzebania w plecaku.

– Dalszą część możesz odpuścić, jeśli chcesz, ale myślę, że nie powinniśmy, bo któregoś dnia będziemy z tego mieli niezły ubaw.

– Jestem gotowa na wszystko.

Poklepał mnie po ramieniu.

– Na pewno? – Potem zdjął koszulkę.

Rozbieranie się. No tak, wcześniej nie wnikałam, co ma na myśli, bo chyba nie chciałam wiedzieć, ale teraz wszystko stało się jasne.

Zrzucił buty.

Potem krótkie spodenki z odciętych dżinsów.

– Dalej? – spytał.

– Hm.

– Nie musisz. – Pokiwał przekonująco głową. – Chodziło mi tylko o to, żeby zaliczyć całą triadę dorosłości.

– Spoko, dam radę. Musimy tylko być w wodzie, jak się całkiem rozbierzemy.

Z ulgą zabrałam się do striptizu. Zdjęłam buty, koszulkę i spodenki, aż zostałam tylko w kostiumie kąpielowym, takim, który równie dobrze mógł być bielizną. Byliśmy oboje strasznie speszeni. Jak dzieciaki na obozie, które nagle odkrywają, że pod prysznicem nie ma drzwi.

Wskoczyłam do wody pierwsza. Była ciepła jak w lipcu, doskonała. Trent skoczył na bombę obok mnie i wynurzył się ze śmiechem.

– Nie wierzę, że to robimy! – Chlapnęłam mu wodą w twarz.

Zarumienił się.

– Gray powiedział to samo.

Cudownie! Robił to z Grayem!

– I zrobisz to jeszcze z Giną.

Zachichotał.

Nie powinnam była używać słów „zrobić to”.

Potem przestał się śmiać i poprosił:

– Nie mów Grayowi, że ci powiedziałem. Dobra? Ani Ginie.

– Dobra.

– Obiecuj – zażądał i wyciągnął mały palec do dziecięcej przysięgi.

Przysięgliśmy na wszystkie świętości.

Zawsze się upierał, że najlepsze przysięgi są niecenzuralne. Potem, bez dalszego gadania, odwróciliśmy się do siebie tyłem i rozebraliśmy się do naga. Bieliznę trzymałam w ręce, co Trent zrobił ze swoją – w zasadzie nie wiem.

I proszę bardzo, stałam nago z Trentem McCallem. A technicznie rzecz biorąc, tyłem do niego, ale jak dla mnie i tak się liczyło.

– Odwracamy się? – spytał.

– Mnie nie pytaj, to twój pomył. Ale chyba nie będzie się liczyło, jeśli się nie odwrócimy, nie?

– Będzie, będzie. – Słyszałam, że jest już na serio zdenerwowany.

– To co robimy?

– Ubieramy się – odpowiedział szybko.

Potem dopłynęliśmy do skał i wspięliśmy się na brzeg, cali mokrzy i roześmiani.

– Moim zdaniem wcale się nie rozebrałaś – prowokował.

– Miałabym przegapić trzeci składnik triad dorosłości? Chyba żartujesz! – kpiłam.

– Ale nikomu nie powiemy?

– No co ty – obiecałam.

I nie powiedziałam. Ale teraz wyszło na to, że jakby jednak tak.

Rozdział 4

Włączyłam komputer, bo miałam nadzieję, że resztę wieczoru spędzę z Maxem.

Zasięg Internetu w zakonie, gdzie mieszkał od jedenastu miesięcy, był nieprzewidywalny. Tyle dobrego, że znajdowaliśmy się w tej samej strefie czasowej, chociaż Salvador nie uznawał czasu letniego, więc u niego było o godzinę wcześniej niż u mnie. Według jego czasu weszłam na czat za piętnaście dziesiąta. Zaczekałam, czy odpowie. Jeśli nie, napiszę maila.

ja: Jesteś?

Pojawiły się trzy kropeczki, oznaczające, że coś pisze.

on: Taaa.

ja: Co tam?

on: Mam dla ciebie niespodziankę.

ja: Byle fajną. Mam marny wieczór.

on: Opowiedz.

Postanowiłam pominąć kwestię tajemniczego listu i przesłam do najbardziej niepokojących rzeczy.

ja: Moi rodzice okazali się nasieniem szatana.

on:

Roześmiałam się. Max zawsze umiał mnie rozbawić.

Potem wyjaśniłam, że chcę, żebym jesienią wróciła do szkoły, a tego lata mam się zacząć socjalizować.

on: I co ty na to?

ja: Byłoby łatwiej, gdybyś tu był.

Nie chciałam się za bardzo rozwodzić na ten temat, bo wiedziałam, że Max jest bardzo samotny. Stracił brata, głos, a na dodatek rodzice wywieźli go do państwa trzeciego świata. W kategorii „masakra” zajmował bardzo wysoką pozycję. Gdybym zaczęła narzekać na szkołę, za która on bardzo tęsknił, wyszłabym na świnie.

on: Otóż, moja piękna, to się da załatwić.

Zatrzymałam słowo „piękna” na dłoni, zamiast wziąć je do serca. Powiedział tak tylko dlatego, że mnie nie widzi. Od tamtej pory ani razu. Odpowiadałam mu o operacjach plastycznych i o psychoterapii, ale to tak naprawdę nic nie znaczyło. Co powie, jak wróci do domu na rocznicę?

Zresztą, blizny to nie wszystko. W mailach Sadie iskrzyła pewnością siebie. Internetowa Sadie umiała flirtować.

Nie była przy tym kłamstwem, nie. Tylko dzieckiem nadziei.

Czy związek, który zbudowaliśmy w mailach przez ubiegły rok, przejdzie próbę czasu na żywo?

Miałam poważne wątpliwości.

Ale zachowałam je dla siebie.

ja: No to powiedz, że jutro wracasz do domu.

on: Jutro wracam do domu.

ja: Nie rób sobie jaj.

on: Nie robię. To jest ta niespodzianka. Jutro przylatujemy z mamą.

Jutro!

Jezu!

ja: ☺ Najlepsza wiadomość w historii!

Byłam absolutnie gotowa, żeby go zobaczyć. Ale zupełnie niegotowa, żeby on zobaczył mnie.

on: Niesamowite, wiem! Myślałem, że mama żartuje, musiała mi pokazać bilety. Przyjedziesz po nas?

Na pewno nie sama. Już nie jeździłam samochodem. Przemieszczałam się za pomocą tenisówek albo starego skutera marki honda spree. A nawet, gdybym jakimś cudem przeżyła jazdę, to lotnisko... Nie narażałam się na taki tłum od czasu ostatniego ataku paniki w sklepie spożywczym.

on: Chodzi mi o to, czy się zobaczymy. Wiem, że ciężko znosisz tłumy, i nie prosiłbym, gdybym tak bardzo nie chciał cię zobaczyć. Ale jeśli nie dasz rady, poczekam, aż dojedziemy do domu.

To, że mnie rozumiał, dodało mi otuchy.

ja: Tak czy siak, będę. O której?

Ustaliliśmy szczegóły i puściłam go, żeby się spakował.

Max jutro będzie w domu!

Od roku się tak z niczego nie cieszyłam.

Zgasiałam lampkę, ułożyłam się pod kołdrą i patrzyłam na skrawki księżycowego światła wpadającego do pokoju przez żaluzje. Leciąło tu przez kosmos. Wyruszyło prawie czterysta tysięcy kilometrów stąd. Aż nie do uwierzenia, jaką miało moc.

Max pokona jutro tylko dwa tysiące kilometrów, ale o jego podróży myślałam tak samo, jak o tym wariackim, potężnym świetle. Co sobie o mnie pomyśli? Zaczęłam się martwić. Jego reakcją i tym, czy osoba, która przegrzebała Biga, zacznie pokazywać moje zapiski innym. Ale potem sobie darowałam i podniosłam Biga z podłogi.

– Możesz ze mną spać, jeśli tylko będziesz trzymał swój otwór na kłódkę!

Big nic nie odpowiedział, więc wtuliłam się w niego i słuchałam wiatraka, który całą noc kręcił się na suficie.

Rozdział 5

Kilka maili do Maxa, gdy był w Salvadorze:

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 11 lipca

Temat: re: jak się masz?

Max,

dzięki za maila! Nie byłam pewna, czy będziesz tam miał Internet, ale strasznie się cieszę, że jednak masz. Cały czas nie wierzę, że jesteś w Salvadorze. Patrzę na ciemne okna w Twoim pustym domu i nie ogarniam, że cię nie ma. Moja mama powiedziała, że Twoi rodzice poznali się w San Vicente, gdy byli w Korpusie Pokoju. Nie zaskoczyło jej, że Twój tata przyjął to zlecenie na most, bo dobrze jest wrócić tam, gdzie byli, zanim się to wszystko stało.

Dla nich może i dobrze, ale uważam, że to nie fair wobec Ciebie. Jakoś nie wierzę, że Trent po prostu wyjechał na wakacje.

Trudno mi się nawet pisze jego imię.

W ogóle ciężko mi się pisze. Prawą rękę mam cały czas w gipsie, więc wszystko wystukuję lewą. Mówię też jeszcze powoli, ale lekarze zapewnijają, że mój mózg działa normalnie. Uważają też, że mam szczęście. Wiem, że pytałeś, jak się mam, ale odpowiem w następnym mailu. Wcale niełatwo to sformułować.

A jak Ty? Jak Twój głos? Czy struny głosowe się goją? Na pewno musi być trudno w ogóle nie móc mówić. Czy ludzie tam wiedzą o Trencie?

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 13 lipca

Temat: re: re: jak się masz

Napisałeś, że na szczęście nikt nie wie. Jak to? Jeśli nie wiedzą, nie dowiedzą się też, kim był Trent i kim Ty byłeś z nim. Szkoda, nie sądzisz?

Ja cały czas myślę o ludziach, których być może spotkam jeszcze w życiu i że oni go nie poznają. I wydaje mi się, że to kolejna tragedia.

Chyba starasz się być dzielny.

Ale przy mnie nie musisz.

Zresztą, jeśli szukasz odwagi, to źle trafiłeś. Jestem pusta. Może w tych mailach będziemy po prostu szczerzy? Jak będziesz się czuł samotny, przerażony, smutny, wściekły albo wszystko jedno jaki, to mi napisz. Ja też napiszę.

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 17 lipca

Temat: re: re: re: jak się masz

Punkt dla Ciebie. Ja tego nie zrobiłam. Więc nadrabiam:

czuję się samotna, choć otaczają mnie ludzie. Myślą, że mnie rozumieją, ale przecież nie siedzą w mojej głowie. Wydaje mi się, że siedzę w środku jakiejś koszmarnej opowieści puentowanej zdaniem: „bo trzeba tam być, żeby zrozumieć”.

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 22 lipca

Temat: re: re: re: re: jak się masz

Max,

fakt. Nie przeżywam tego sama. Razem jechaliśmy tym autem.

Dziękuję, że mi napisałeś o tym, że jesteś wściekły. Mów mi takie rzeczy. Nawet, jeśli nie będę wiedziała, co odpowiedzieć, zawsze wysłucham.

Zapłaciłabym milion dolarów za maszynę cofającą czas albo za magiczną różdżkę. Całe życie naprawiałam różne sytuacje, a teraz nie mogę, bo się nie da. Nie mogę tego znieść.

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 26 lipca

Temat: re: Gina i Gray

Max,

masz rację, ale nie masz. Technicznie rzecz biorąc, rzeczywiście, mam Ginę i Graya, ale tak naprawdę ich nie mam. Na razie wszystkie nasze spotkania polegają na wspomnianiu i pogarszaniu tego wszystkiego. Kończy się na tym, że wszyscy płaczą, a to nikomu nie pomaga. Ostatnio, kiedy któreś z nich przychodzi, udaję, że śpię. To straszne, wiem, ale nie mogę już więcej płakać. Poza tym nie chcę, żeby na

mnie patrzyli w takim stanie. I nie chcę też na nich patrzeć.

Mama mówi, że wyglądam lepiej. Jasne, ale mama to wariatka. Moja twarz wygląda jak spękana ziemia na pustyni. Jak dojdę do siebie, zrobią mi kilka operacji plastycznych. Mam nadzieję, że to coś da. Może wtedy będę mogła rozmawiać z przyjaciółmi, rodziną i nieznajomymi o czymś innym niż o mojej twarzy albo o wypadku.

To dziwnie. Teraz, kiedy najbardziej się potrzebujemy wzajemnie, nie wiemy, co z sobą robić.

Lekarze wsadzili mi w ramię stalowy pręt. Gdyby byli choć trochę domyślni, wszczepiliby mi w pierś przycisk z napisem „zapomnienie”. Współczesna medycyna jednak ma pewne ograniczenia.

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 28 lipca

Temat: re: re: Gina i Gray

Max,

nie zdziwiłam się, że Gina i Gray do Ciebie napisali. Poprosili mnie o Twojego maila. Dobrze im odpisałeś. Ja też nigdy nie zdradzę im nic z tego, co mi mówisz. Masz rację, powtarzają „przykro mi”, jakby to było jedyne, co umieją powiedzieć.

Wcale nie chcę, żeby było im przykro. Chcę, żeby na mnie patrzyli. I widzieli taką, jak kiedyś. Chciałabym wierzyć, że osoba, którą byłam przez szesnaście lat, jest silniejsza niż ten obraz, który widzą teraz. Bo co, już nie mogę być zwariowaną, zabawną dziewczyną?

Poza tym mogliby sobie darować takie bezsensowne gadanie. Mam dość tego ich: „Wyglądasz o wiele lepiej!” Niby skąd mają to wiedzieć? Żadne z nich przecież na mnie nie patrzy...

Mama mówi, że czują się winni, bo spowodowali wypadek, i ja to rozumiem, ale straciłam ich, Trenta i nawet Ciebie (w pewnym sensie), i to dla mnie za dużo.

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 30 lipca

Temat: tylko nie Skype, proszę

To, że mnie nie widzisz, bardzo mi dobrze robi. Łatwiej jest pisać prawdę niż mówić ją w twarz. Może gdyby Gina i Gray wyjechali, byłoby między nami inaczej. Może to ja powinnam wyjechać.

Nie spędzaliśmy razem tyle czasu, co ja i Trent, jak jeszcze mieszkaliśmy obok siebie, ale miło jest mieć coś nowego, co nie istniało, zanim nasz świat wszedł w tryb szybkiego wirowania. Mama mówi, że bolesne doświadczenia są jak buldożery: tworzą dziury, którymi jedni ludzie wychodzą, ale inni wchodzą. Te nasze maile są jak kolorowa wycieraczka rozłożona przed wejściem do ruin i jak szept: „Wejdz, Max”.

To trochę straszne, ale pomaga. Tylko pamiętaj, jeśli to będzie dla Ciebie za duża presja, daj mi znać.

Moim zdaniem tak jest dobrze. Ale możliwe też, że po prostu tak jest łatwiej.

A ja potrzebuję czegoś łatwego.

Inni ludzie mają dobre chęci, ale nie chcą albo nie mogą mnie zrozumieć. Pytają, jak sobie radzę, a ja nie wiem. Bo na to pytanie składają się dwie kwestie:

Jak się czuję fizycznie.

Jak sobie radzę bez Trenta.

Nie umiem odpowiedzieć na żadne z nich. Ty umiesz?

Co do pytania drugiego, mogę się tylko domyślać. On był twoim bratem, a moim przyjacielem, więc chyba wiem dokładnie, jak sobie radzisz bez niego. Biorę swoje uczucia i mnożę przez miliard.

Sadie

Rozdział 6

Następnego dnia rano złamałam się i poprosiłam o podwiezienie na lotnisko. Poszło lepiej, niż się spodziewałam. Mama tak samo jak ja cieszyła się ze spotkania z McCallami. zaproponowała nawet, że wyprostuje mi włosy i zrobi makijaż. Chętnie się zgodziłam. W tej kwestii przyjąłabym każdą możliwą pomoc.

Po jakichś czterdziestu pięciu minutach odłożyła zalotkę i oznajmiła:

– Jest dobrze. Pomalować ci paznokcie?

– Neeee, i tak będę obgryzać.

Plasnęła mnie w rękę, którą odruchowo podniosłam do ust.

– Przecież to Max! Nie musisz się denerwować.

– Właśnie dlatego się denerwuję. Nie chcę wszystkiego schrzanić.

– Pokręć parę razy głową. – Zrobiłam, jak kazała. Gdy się wyprostowałam, wsadziła mi na głowę słomiany kapelusz, fedorę, i wcisnęła dwa luźne źdźbła. – Pięknie! – szepnęła.

Włożyłam parę sandałów i odparłam:

– Mam nadzieję, że Max się z tobą zgodzi.

Mama oparła ręce na bidorach:

– Jak się nie zgodzi, zwolnimy go.

Roześmiałam się i podziękowałam.

– Od tego tu jestem!

Potem wyciągnęła mnie z domu i dopieszczała: zabrała mnie na jedzenie na molo (stolik w ciemnym kącie) i na lody (czekoladowe). Prawie się spóźniłyśmy na lotnisko.

Kupowanie chłopakowi kwiatów jest niezgodne z protokołem? Miałam do wyboru róże, kolorową gazetę albo napój. Po całym roku nie mogłam się pokazać z pustymi rękami, więc zdecydowałam się na róże. Żółte, bo to bardziej męski kolor niż różowy.

– Żółty oznacza przyjaźń – podpowiedziała mama.

– Cholera.

Roześmiała się.

– Ale Max pewnie o tym nie wie.

Z mojego kąta w małej poczekalni wpatrywałam się w tablicę przylotów. Mama usiadła na jednym z tych niewygodnych skórzanych fotelików i sprawdzała maile w komórce. Gdy lot numer 4563 z Miami zmienił status z „oczekiwany” na „wylądował”, podeszłam do niej. W tej samej chwili w kieszeni zawibrowała mi komórka.

Max: „Wylądował”.

Ja: „Czekamy!”

– Gotowa? – spytała mama.

– Sama nie wiem... – przyznałam.

Ręce mi się spociły, więc żeby pokazać mamie, jaka jest sytuacja, wytarłam je w jej rękawy. Ona kiedyś myła mi twarz chusteczką, na którą pluła. Powinna spodziewać się zemsty. Spojrzała na mnie z obrzydzeniem, ale potem się uśmiechnęła.

– Wyglądasz świetnie – zapewniła.

– Zrobiliśmy co w ludzkiej mocy.

Żeby przestać krążyć, kucnęłam u jej stóp i zajęłam się wączaniem róż. Max się na pewno uśmieje. To dobry sposób na powitanie. Może odwróci uwagę od mojej twarzy.

Max: „Jestem przy bramce. Ostrzegam: cuchnę samolotem i brzmię jak silnik”.

Ja: „Nie szkodzi”.

Max: „☺”.

Stałyśmy z mamą i nie mogłyśmy się doczekać. Sonia pojawiła się pierwsza.

– Sadie, Tara, cześć! Zaraz przyjdę! – Jej głos rozniósł się po korytarzyku, nim zniknęła w damskiej toalecie.

Za nią wyszedł Max. Prawie zemdlałam na jego widok. Jak wyjeżdżał, miał z metr sześćdziesiąt osiem wzrostu i ważył osiemdziesiąt kilo. W życiu bym nie pomyślała, że jak wróci, będzie mierzył ponad metr osiemdziesiąt. Z pulchnego chłopczyka zmienił się w smukłego, wysokiego i... seksownego chłopaka.

W życiu bym nie pomyślała, że użyję w stosunku do Maxa McCalla słowa „seksowny”.

Im bardziej się zbliżał, tym wyraźniej widziałam, że wygląda prawie dokładnie jak Trent. Obniżyłam rondo kapelusza, żeby na pewno zakrywało całe Idaho i przygotowałam się psychicznie na spojrzenia. Prawie przebiegł przez bramkę i w przelocie machnął przepraszająco do strażniczki.

Wyobraziłam sobie, że się do niego uśmiechnęła, bo kocha swoją pracę polegającą na obserwowaniu jednoczących się, wytęsknionych rodzin.

– Sadie! – Było to niewiele więcej niż szept, ale pełen szczęścia.

– Max!

Bez wahania rozłożył ramiona, tak jakby zamierzał objąć całe niebo, i przycisnął mnie do siebie.

Instynktownie go objęłam. Fedora spadła mi z głowy.

Zapach samolotu oznaczał mieszankę fajity, potu i Maxa. Zapach doskonały. Rzuciłam różę na kapelusz i cała do niego przyłgnęłam. W jego objęciach było bezpiecznie i ciepło, jak w wygodnym śpiworze w styczniową noc.

Położył brodę na czubku mojej głowy. Zamiast powiedzieć: „Wyglądasz jak Trent”, zdziwiłam się:

– Jaki jesteś wysoki!

– Ja też się cieszę, że cię widzę. – Podniósł mnie i kołysał. Zupełnie w stylu Trenta. Teraz pewnie był to już styl Maxa. Od dawna nie przytulał mnie nikt poza rodzicami. Trudno opisać słowami uczucie fizycznej przyjaźni, bliskich sobie ciał.

Nawet nie próbowałam tego robić, po prostu się cieszyłam.

Gdy wypuścił mnie z ramion, złapał za troczki plecaka i przyjrzał mi się. Nie pozwoliłam na to. Podniosłam kapelusz, wsadziłam sobie na głowę i zerknęłam na mamę, czy jest dobrze. Kiwnęła głową.

W tej samej chwili Max powiedział:

– Wyglądasz niesamowicie.

Ten jego chropowaty głos zadziałał. Czułam, że mówi szczerze, ale i tak wbiłam wzrok w dywan, bo nie wiedziałam, co powiedzieć ani czy protestować. Kapelusz skrywał Idaho, dzinsy Pink Floyd, a rękaw Tennessee. Z tych większych blizn została nienazwana jeszcze ta wychodząca z kącika moich ust. Zastanawiałam się nad Missisipi, bo rozwidłała się na dwie nierówne linie, z boku trochę przypominające piorun, ale jakoś się nie przyjęło. Gdyby Max zobaczył te wielkie blizny, plus wszystkie mniejsze, wtedy na pewno nie użyłby słowa „niesamowicie”. Poskładanie do kupy potwora doktora Frankensteina wymagało czasu i pieniędzy.

Max spojrzał mi w oczy.

– Serio. I fajny kapelusz.

Zmieniłam temat.

– A ty... – Przyjrzałam mu się. Dzinsy z odciętymi nogawkami, sandały, sprana koszulka z logo uniwersytetu w Salwadorze, długie, lekko zmierzwiłone brązowe włosy, trochę wypłowiałe od słońca, i przybrudzona czapeczka wystająca z kieszeni. Nie ubranie jednak zwróciło moją uwagę, ale jak w nim wyglądał. Podobnie pasowałoby do Trenta.

Wskazał głową w stronę damskiej toalety.

– Mama też mówi, że wyrosłem, ale nic nie opowiadałem. Nie chciałem psuć niespodzianki.

Nie miałam pretensji, w końcu też go nie uprzedziłam, co się ze mną stało.

Sytuację uratowała mama.

– Dobrze cię znów widzieć, skarbie.

Max odchrząknął i dotknął gardła. Gdy się znów odezwał, mówił trochę głośniej.

– Dzień dobry. Też się cieszę, że wróciłem.

Objęli się serdecznie. W końcu przez całe lata mama funkcjonowała prawie jako matka zastępcza chłopaków. Gdyby na miejscu Maxa był Trent, pewnie powiedziałby coś totalnie głupiego. Ale Max był Maxem i wystarczył uścisk.

Podniosłam rękę i zaznaczyłam, jakiego jest wzrostu.

– Boże, czym oni cię tam karmili?!

– Fasolą! – Roześmiał się.

– Jesteś wyższy niż on.

Max wyprostował się i zadarł brodę, z dumą prezentując piętnaście centymetrów, które mu przybyły przez rok.

– Ale niewiele.

Zobaczyłam w wyobraźni, jak duch Trenta zakłada Maxowi nelsona i syczy: „I tak zawsze będziesz moim małym braciszkiem”. Potem powaliłby go na podłogę i trzymał, aż Max błagałby o litość.

Pokręciłam głową, żeby pozbyć się tego obrazu i powiedziałam:

– Mogę przy tobie nosić nawet najwyższe szpilki! – Co było totalnie głupie, bo i tak nigdy nie nosiłam szpilek. Poklepałam go w pierś, bo nie mogłam opanować radości, że przyjechał. Chwila pierwszego skrępowania już minęła. – Ciągle nie wierzę, że jesteś!

– Ja też! Już mnie twarz boli od uśmiechania się. – Rozmasował szczękę.

Słyszałam, że głos też go boli. Aż się trochę zatroskałam.

Mama Maxa pojawiła się obok nas znikąd, niosąc dwie siatki na zakupy i torbę z papierków po KitKatach.

– Tara! – wykrzyknęła.

Upuściła torby, objęła mamę, a potem mnie. Czas działał na jej korzyść. Nie ugięła się już pod ciężarem rozpaczy, ale nosiła ją jeszcze w oczach i siwych włosach na skroni. Zdaje się, że wyjazd, nazywany przez Maxa „operacją: uzdrowić rodzinę”, okazał się dobrym posunięciem. Mimo to powrót do domu musiał być dla niej słodko-gorzki.

– Tata przyjechał wczoraj – wyjaśnił Max, kiedy zaczęłam się rozglądać. Dotknął gardła, odchrząknął i dodał: – Miał coś do załatwienia w Nowym Jorku, stamtąd leciał do Panamy.

– Z twoim głosem jest o wiele lepiej, niż się spodziewałam!

Zignorował komplement, tak jak ja wcześniej zignorowałam jego. Podniósł za to kwiaty, które mi wypadły.

– Nie trzeba było!

– Musiałam coś zrobić z rękami.

Są dwa rodzaje śmiechu: śmiech z kogoś i śmiech z kimś. Max był mistrzem we wspólnym śmiechu.

– Ani trochę się nie zmieniłaś.

– Zmieniłam się o kilka tysięcy dolarów.

Sonia wpadła synowi w słowo.

– Max chce powiedzieć, że róże są śliczne. – Zabrałam mu bukiet i podałam Soni. Czułam, że robię się czerwona ze wstydu. W sumie byłam ciekawa, jak rumieniec komponuje się z blizną. – Wstawimy je do wody jak tylko dotrzemy do domu. Miło będzie mieć taki zapach. – Potem zwróciła się do mamy. – George mówił, że dom wygląda ślicznie. Dziękuję ci bardzo, że się tym zajęłaś!

Mama dotknęła jej ramienia.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Wzięły się pod ręce jak siostry i zetknęły głowami. Max i ja zostaliśmy w tyle. Wskazał na znaczek na walizce i ruszyliśmy.

Gdy dotarliśmy do karuzelek bagażowych, mama się oddzieliła, zapowiadając, że idzie po samochód.

Max natychmiast wypatrzył ich ekwipunek. Ściągnął z taśmy dwie duże skrzynki i trzy torby, a potem ustawił obok mnie.

Kiedy szłam po wózek, jakaś mała dziewczynka, na oko trzy- albo czteroletnia, pociągnęła mamę za bluzkę:

– Co się stało tej pani w usta?

– To nieładnie pokazywać palcem! – zbesztła ją matka, a na mnie spojrzała przepraszająco.

Wzruszyłam ramionami, żeby się nie martwiła, ale wszyscy już zaczęli odwracać głowy. Cudownie. Uwielbiam być gwiazdą gabinetu osobliwości. Wbiłam sobie do głowy, że muszę się przestać uśmiechać. Gdy mam minę zimnej suki, blizna ogranicza się do cienkiej czerwonej kreski.

Max zaczął mnie masować po plecach, tak jak kiedyś zrobiłby to Gray.

– Nie przejmuj się. Dzieci takie są.

Jasne.

– Wiem – zapewniłam, ale czułam, że moja pewność siebie ulatuje.

Max przytulił mnie jeszcze raz.

Słyszałam głos Trenta, dobiegający z dalekiej przeszłości: „Trzymaj się. Trzymaj się. Trzymaj się”.

Rozdział 7

W nocy biegałam we śnie. Trasą dłuższą niż zwykle. Szukałam Fontanny Młodości Juana Poncegi de Leóna. Byłam pewna, że jeśli ją znajdę, wszystko będzie dobrze. Obudziłam się wykończona, ale potem przypominałam sobie o Maksie.

Wrócił, dzisiaj się zobaczymy. Moje życie towarzyskie: od możliwości do realizacji. Obiecał, że zadzwoni, jak tylko skończy załatwiać wszystko, co zleciła mu mama. Znajac Sonię, będzie wolny późnym popołudniem. A to znaczyło, że mam czas na wyprawę na złomowisko.

Słońce jeszcze nie całkiem wstało. Napisałam wiadomość dla rodziców. „Wysłałam”, bez szczegółów. Sprawdziłam skrzynkę pocztową – pusta – i wskoczyłam na skuter. Skuter to kompromis. Rodzice nie chcieli, żebym była od nich zależna, a ja nie chciałam jeździć samochodem. Fletcher zasugerował, że skuter będzie dobrym rozwiązaniem. Wybrałam czarnego spree i bardzo drogi kask. Niestety, jechał tylko odrobinę szybciej niż melex na polu golfowym i poruszałam się z godnością staruszka.

Ale ponieważ i tak panował za duży upał, żeby wszędzie łązić na piechotę, bardzo się nie broniłam. Poza tym doznanie podmuchów powietrza na skórze było przyjemne. Jenni, właścicielka kawiarni Donut Barista, wychyliła się przez okno i do mnie pomachała. Wyłączyłam silnik, wyjęłam kluczyki i poszłam złożyć zamówienie, nie zdejmując nawet kasku.

– To, co zwykle we wtorki? – spytała jak zawsze radosna.

– Tak jest!

– Za chwileczkę, za momencik będzie gotowe! Śliczny mamy dzień, prawda?

Gdyby ogłoszono piąty stopień zagrożenia huraganem, według niej dzień byłby i tak śliczny. Jenni uwielbiała pączki, kawę i obsługiwanie ludzi, tak samo jak pastor długie modlitwy. Miała serce na dłoni i lubiłam ją bardziej, niż umiałabym wyrazić. Nigdy jej nie spotkałam poza tą budką, ale wyobrażałam sobie, że jest babcią. W domu pewnie nosi dzinsy z gumką w pasie, białe tenisówki z miękką podeszwą i zajmuje się maluchami, które mówią do niej Nana.

Wyobrażałam sobie różne rzeczy o ludziach.

Niewiele osób zostało w moim życiu, więc z tymi, które jeszcze były, starałam się nawiązać prawdziwą więź.

– Pamiętasz Maxa, Jenni? Tego chłopaka, o którym ci mówiłam?

– No przecież! Twoja miłość z Salwadoru.

Pokiwałam głową.

– Wczoraj przyjechał.

Aż pisnęła z radości.

– Zrobić potrójne zamówienie?

– Nie, widzimy się dopiero później. Ale chciałam komuś powiedzieć.

Słyszała, jaka jestem szczęśliwa. Boże, nawet ja to słyszałam! Aż mi z tym było dziwnie.

– Musisz go przyprowadzić! – Poprawiła przykrywkę na parującym kubku i wetknęła rurkę do mojej latte z lodem, a zanim sięgnęła po moją kartę płatniczą, poklepała mnie po ręce.

Podniosłam szybkę w kasku i podziękowałam. To bardzo przyjemne móc się z kimś podzielić radością.

– Dzięki.

– Proszę bardzo, panno Sadie Kingston.

Jak u niej byłam pierwszy raz, Jenni zapamiętała moje imię i nazwisko i powtarzała je przy każdej wizycie. Dorzuciłam do rachunku trzy dolary napiwku. Nie mogłam sobie na to pozwalać za każdym razem, ale dzisiaj był wyjątkowy dzień. Chciałam robić prezenty. W skrzynce na listy pusto, rodzice cieszyli się z mojej wyprawy na lotnisko, a ja podejrzewałam, że Max znów mnie dziś przytuli.

A może i coś więcej.

Jenni chyba też chciała dzisiaj robić prezenty, bo torebka z pączkami ważyła zdecydowanie więcej, niż powinna.

System zraszaczy przy głównej drodze zmusił mnie do jazdy bocznymi uliczkami i nimi dotarłam za miasto. Słońce pięło się po niebie i w ciągu kilku minut poczułam na karku strużki potu. Wypiłam połowę swojej mrożonej kawy, zanim jeszcze dotarłam do złomowiska Metalowego Pete'a i zastanawiałam się, czy nie wypić jej do końca.

– Florydo, wyluzuj – błagałam w myślach.

Ale Floryda pokazała mi oba środkowe palce i zabrała nawet ten mikroskopijny wiaterek, który czasem dmuchał.

Podciągnęłam rękawy do trzech czwartych długości, zaparkowałam skuter i wyjęłam z koszyka śniadanie Metalowego Pete'a.

Złomowisko mnie fascynowało. Z ulicy wyglądało jak kompletnie niezorganizowane zbiorowisko blachy, ale okazało się, że jest zupełnie inaczej. Rzędy uszkodzonych samochodów w różnym stadium rozkładu zajmowały sześć hektarów. Każde auto, ciężarówka, kamper, szkolny autobus, motor i łódź znalazły się w rejestrze i zostały wyeksponowane z myślą o klientach. Przyjeżdżałam tu dziesiątki razy, ale morze złomu wciąż robiło na mnie takie samo wrażenie i wpatrywałam się w nie z zachwytem, ale i smutkiem.

– Pete! – zawołałam. Zamiast niego podbiegła Czołówka, merdając ogonem i wsadzając nos w torbę z pączkami. – Gdzie Metalowy Pete, szukaj!

Nastawiła uszy i potruchtała do biura. Drzwi były otwarte i weszłam do środka pewnie, jakbym tam pracowała.

– Czołem – powitał mnie Metalowy Pete, który akurat smarował zniszczoną twarz balsamem do opalania. – Już myślałem, żeś zapomniała o swoim ulubionym złomowisku.

– Próbowałam się odzwyczaić – zażartowałam, ale on dobrze wiedział, że to nieprawda.

Postawiłam na biurku jego kawę, a obok położyłam torbę z pączkami. Stół zrobił z kambuza jachtu. Stały na nim doniczki z paprociami, pospinane pasami bezpieczeństwa. Wszystko tutaj dostało drugie życie.

Metalowy Pete zajrzał do torby z pączkami, poklepał się po nieistniejącym brzuchu i przyznał:

– Ja też.

Nigdy nie odmawiał pączka, ale całe dni chodził po placu i zdecydowanie nie chciał jeździć przemysłowym wózkiem, choć mu proponowałam. Plac stanowił jego siłownię i trzeba przyznać, że to działało. Był w świetnej formie.

– Wyglądasz inaczej – zauważył i wpakował do ust całego pączka z dziurką.

– Max przyjechał!

– To co tu robisz?! Dziewczyno, dawno nie byłem w twoim wieku, ale nie tak działa chodzenie ze sobą!

– Rano jest zajęty. Poza tym nie chodzimy z sobą. My tylko...

– Chodzicie ze sobą – podsumował. – A ja, jak zwykle, odwracam twoją uwagę od sytuacji stresowej.

Uśmiechnęłam się mimo trzymanej w ustach rurki.

– Dobra. – Zabębnił palcami w biurko. – Dam ci dolara, jak mi znajdziesz czerwonego chevroleta impalę z 1998 roku z nienaruszonym zderzakiem.

Zaczynał się scenariusz, który już tyle razy przerabialiśmy.

– Przecież dobrze wiesz, gdzie on jest.

– Ja tak, ale ty nie. Poza tym wyglądasz blado, więc może przeszłabyś się po placu, w słońcu?

– Za dolara?!

– Twarda zawodniczka. A za dwa?

– Pięć i zgoda.

Tak się bawiliśmy. On chciał płacić za swoje śniadanie, a ja mu nie pozwalałam. Ale polowanie na placu to inna sprawa. Za to liczyłam podwójnie.

– Podpowiedz chociaż, w którą stronę iść.

Metalowy Pete trzema kęsami pochłonął kolejnego pączka i podrapał się po brodzie.

– Niedaleko miejsca, w którym i tak wylądujesz.

Dobrze się rozumieliśmy. Jego żona umarła pięć lat temu i nigdy dotąd go nie widziałam poza placem, nigdy nie miał na sobie nic innego poza szarym podkoszulkiem z dekoltem w serek i nie zadawał się z nikim, kto nie miał smaru na rękach. Ze złomem łatwiej się uporać niż ze złamanym sercem. Zrobił dla mnie wyjątek, a ja dla niego.

Nalałam do kubeczka wody i wychodząc, podlałam paprocie.

– Zabieram Czołówkę.

– Złodziejka!

– Sknera!

– Czerwony chevrolet impala, start!

Pokazał na mnie znacząco palcem i się roześmiał. Byliśmy parą dziwnych przyjaciół.

Lubiłam myśleć, że potrzebuje mnie tak samo jak ja jego.

Gdy tylko skręciłam za róg pierwszego rzędu samochodów i zniknęłam mu z oczu, rozebrałam się do koszulki na ramiączkach, a bluzkę z długim rękawem powiesiłam na lusterku starego pick-upa. Przez chwilę stałam bez ruchu. Czuałam się obnażona. Wpatrywałam się w niebo, jakby to było jakieś przedstawienie.

– Dzień dobry, niebo – szepnęłam.

Przysięgam, że słyszałam, jak Bóg odpowiedział:

– Wnieście witaminę D!

Dobra, może nie Bóg, ale czasem się łądziłam, że niebo mnie słucha. Trent i Gray wymyślili odzywkę o witaminie D, kiedy bez przerwy marudziłam, że się nie smarują balsamem do opalania. Obaj pracowali w Relax Rental, firmie wypożyczającej leżaki i parasole dla mieszkańców letnich wieżowców przy plaży. W innym życiu byłabym tam teraz z nimi, pomagała nosić fotele albo robiła dziury w piasku na parasole. W tym życiu wałęsałam się po złomowisku i wyczekiwałam wieczoru, żeby się zobaczyć z Maxem.

A i tak po drodze myślałam o Grayu. O tym, jak tamtego wieczoru na plaży wyglądał jednocześnie dobrze i niedobrze. Był szczupły. Zbyt szczupły. Moim zdaniem powinien odstawić dietę wysokobiałkową i hantle, aż jego szyja znów będzie wyglądała na mogącą utrzymać głowę.

Ale co ja tam wiedziałam? Przecież chodziłam w koszulce z długim rękawem między rzędami popsutych aut. Zdarzały się gorsze obsesje niż nadmierne ćwiczenia. Nie da się ukryć, że nawet w te dni, kiedy nienawidziłam Graya Garrisona, chciałam, żeby wszystko było u niego dobrze.

A on nie wyglądał, jakby było dobrze.

Chciałabym coś z tym zrobić, ale przebaczenie wisiało przede mną jak marchewka na bardzo długim kiju.

Przestałam o nim myśleć, gdy znalazłam impalę. Smarem z opon zapisałam na ręce położenie i skierowałam się do miejsca, do którego zmierzałam przez cały poranek.

Do toyoty yaris Trenta.

Rozdział 8

Ile razy bym jej nie odwiedzała, tylekroć pierwszy rzut oka wystarczył, by wyssało mi ściśnięty żołądek do gardła.

Metalowa bestia stała cicho, ujarzmiona, zmasakrowana i smutna. Maskę miała tak uszkodzoną, że w zasadzie nie było co zbierać. Ktoś za to kupił kanapę, tylne reflektory i obie tylne opony. Kiedy za pierwszym razem przyszedłam do Metalowego Pete'a, poprowadził mnie przez plac, ale ostrzegł, że to nie będzie łatwe. Nie byłam pierwszą, która przeżyła wypadek i przyszła tu, żeby zamknąć ten etap.

Przeciętnie cztery–pięć godzin tygodniowo spędzałam na siedzisku z opon jak na tratwie płynącej po dzikiej rzece wśród zepsutych aut. Poza tym byłam dla Metalowego Pete'a chłopcem na posyłki. Kimś w rodzaju Karate Kida dla pana Miagi. No, oczywiście bez karate. Przeganiał mnie to tu, to tam i wszędzie, udając, że to cena za czas spędzany na jego złomowisku.

Poklepałam zmiażdżony dach, jakbym była jej coś winna.

– Cześć, toyoto.

Yaris nie odpowiedziała.

Dwudziestego dziewiątego czerwca miała wiele do powiedzenia, ale od tamtej pory milczała jak zaklęta.

I tak jej zdałam relację:

– Przyjechał Max. Może wpadniemy do ciebie z wizytą.

Ujrzenie jej po raz pierwszy było tak wstrząsające, jak ostrzegwał Pete, ale teraz nie mogłam na nią patrzeć inaczej, jak z myślą: „Jakim cudem ktokolwiek uszedł z życiem?!” Przypominała mi, że Max i ja jesteśmy takimi cudami. Maski i przednie siedzenie stanowiły teraz w zasadzie jedność. Gdy na to patrzyłam, nienawidziłam swoich blizn trochę jakby mniej.

Nieodłączną partnerką tego cudu było poczucie winy. W każdym pozginanym kawałku metalu, płatku rdzy i odłamku szyby szukałam odpowiedzi na pytanie, czemu Trent, czemu nie ja.

Powiedziałam Fletcherowi o moich wizytach na złomowisku, a on wyjaśnił mi zjawisko syndromu KZ i zapewnił, że to zupełnie normalne. Potem spytał:

– Masz dostęp do wehikułu czasu, żeby móc zmienić przeszłość?

– Nie.

– Więc nie możesz w żaden sposób wpłynąć na to, co się stało pod wzgórzem Willit, prawda?

– Nie – przyznałam i już czułam, dokąd to zmierza.

– W takim razie musisz jakoś się pogodzić z tym, że żyjesz, i znaleźć na przykład jakiś powód. Znajdź go. Znajdź powód.

Często sobie powtarzałam jedno i drugie: „znajdź powód” i „nie mam wehikułu czasu”.

A przecież miałam dobre wspomnienia związane z tym samochodem. Ja i Gray całujący się na tylnym siedzeniu. Trent, Max i ja jeżdżący w niedzielę rano na fistaszki. Gray, ja, Gina i Trent na kolacji przed balek chłopaków. Trent przyczepił wtedy do yariski napis „limuzyna” i cały wieczór się z tego śmialiśmy, bo przecież była niewiele większa od gokarta. Desperacko próbowałam zastąpić to ostatnie wspomnienie szczęśliwymi, żeby może kiedyś znów posadzić tyłek za kierownicą.

– Jeszcze będę jeździć, prawda, Czołówko? – Czołówka siedziała w moim cieniu i trzymała nos w ziemi. Strzepnęłam jej kurz z futerka i porządnie ją wyprzytulałam. Jej gruzelkowy ogonek zaczął delikatnie merdać. Przypominała mi tutejsze samochody, w tym jak kulała, zataczała się i ciężko wzdychała przy chodzeniu. A jednocześnie momentami działała całkiem sprawnie. Metalowy Pete ratował nie tylko samochody.

– No jak tam, koleżanko, co ty na to?

Wstała, oparła się przednimi łapkami o oponę i polizała mnie po policzku.

– To dobrze, bo ja też tak myślę. – Ucieszyłam się i podrapałam ją za uszami. – Ale to nie będzie dzisiaj. Dzisiaj tylko popatrzę.

Położyła się i zamknęła oczy. Ja też się rozluźniłam i dałam sobie zgodę na przywołanie dobrych wspomnień.

Nie słyszałam, że podszedł Metalowy Pete. Miał na nosie okulary większe niż jego najszerszy uśmiech. Zanim zdążyłam zapytać, rzucił mi na kolana koszulkę z długimi rękawami. Włożyłam ją.

– Prażysz się jak prosię na ruszcie – ostrzegł.

– Zamyśliłam się.

– To się zamyślaj z porządnym faktorem. – Wyjął z kieszeni balsam i też mi rzucił.

Nasmarowałam się grubą warstwą, a on przyturlał sobie porzuconą felgę i usiadł. Oddalam mu krem.

– Lepiej?

– Kiedyś, jak już będziesz stara, ja będę zbyt nieżywy, żebyś mi mogła podziękować, ale pamiętaj wtedy, że to dzięki Metalowemu Pete’owi masz wciąż tak ładną skórę.

Ja i ładna skóra, jasne...

– Jasne, obiecuję.

– Nie denerwuj mnie, Sadie!

– Gdzieżbym śmiała! – zapewniłam, z pełną świadomością, że groźby Pete’a są równie nieszkodliwe co Czołówki.

– Dam ci pięć dolców, jak powiesz, co myślisz.

– To samo pięć co za impalę?

Wzruszył umięśnionymi ramionami.

– To i tak pieniądze z Monopolu.

Miałam nadzieję, że w moim głosie nie słyhać strachu:

– Rodzice każą mi wrócić jesienią do szkoły.

Metalowy Pete kopnął w moją oponę.

– Bardzo słusznie.

– Powinieneś trzymać moją stronę.

Rozłożył ręce, jakby mówił: „Ale co ja poradzę?”

Wiem, że wysłuchałby nawet mojego trąkotania o niczym, ale tylko odczytałam mu położenie impali i wyciągnęłam rękę.

Wylądował na niej banknot pięciodolarowy.

– Dziękuję.

– Dziękuję za paczki.

Rozmowa skończyła się jak zwykle.

– No to chyba lepiej wróć odbierać telefony. Do następnego, Sadie May!

Rozdział 9

Kilka maili do Maxa, gdy był w Salvadorze:

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 6 sierpnia

Temat: re: film

Max,

film z klasztoru jest super! Od razu mi lepiej, bo już wiem, gdzie mieszkasz. Wyobrażałam sobie coś znacznie gorszego niż ściany z pustaków, własny pokój i McDonald zaledwie dwadzieścia kilometrów dalej. Pysznic jest trochę oldskulowy, fakt, ale przynajmniej jest bieżąca woda! A w ogóle możesz tam pić wodę? Nie masz żadnych sensacji żołądkowych? Zapomniałam spytać w poprzednim mailu.

Musisz się koniecznie wspiąć na wulkan. Na brak ładnych widoków nie możesz narzekać. Pięknie tam masz!

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 8 sierpnia

Temat: re: koszmary

Nie wierzę, że ci powiedzieli, że możesz pić wodę, a ty się pochorowałeś. Coś straszego!

Cieszę się, że napisałeś o koszmarach. Wątpię, czy mają coś wspólnego z tym zatruciem. Też mam koszmary. Tak często, że rodzice zmusili mnie do wizyty u terapeuty, doktora Fletchera Glassona. W zeszłym tygodniu. Nie było wcale tak źle! Na początek głównie papierkowa robota, a jako pierwsze zadanie zasugerował, żebym pisała dziennik bez hamulców, o wypadku też.

Myślisz, że mogę mu mówić, co czuję? Nie napiszę wszystkiego, jeśli on to potem pokaże rodzicom. Tam będą moje uczucia i gdyby oni je poznali, martwiliby się jeszcze bardziej niż dotąd. Co prawda Fletcher (tak mam do niego mówić) zapewnił, że tego nie robi, jeśli nie będzie musiał. Chciałabym mu wierzyć.

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 15 sierpnia

Temat: re: re: sen

To właściwie dobry pomysł. Ale jeśli mam pisać taki dziennik w listach do Ciebie, musisz mnie przestać przeproszać za to, że pozwoliłeś mi wtedy usiąść z przodu. Przecież nie wiedzieliśmy, że będziemy mieli wypadek. To jak? Umowa? (Głupio tak pisać „umowa”, skoro jesteś w innym kraju i nie ma jak tego przypieczętować).

No to zaczynam. Dużo pamiętam z tamtego dnia, ale zacznę od tego, jak wsiadaliśmy do samochodów.

Gina i ja opróżniłyśmy chłodziarki i władowałyśmy je do dzipa Giny. Ty, Trent i Gray zamocowaliście deski do pływania na dachu yariski. Trent wspomniał coś o kiteboardingu, a Gina na to, że nie musimy robić wszystkiego naraz. Trent i Gina poszli na chwilę do domku, coś jeszcze „przedyskutować”.

Jak Trent wrócił, kazał mnie i tobie wskakiwać do auta, bo jedziemy do domu. Gina miała łzy w oczach, Trent się nie uśmiechał. Uściskałam ją i przypomniałam, żeby zadzwoniła, jak odstawi Graya do domu.

On nachylił się do auta po buziaka i szepnął:

– Jeśli oni zerwą...

– Nie zerwą – pocieszyłam go.

To było kłamstwo. Też bardzo chciałam, żebyśmy bywali wzajemnie na swoich ślubach i całe to sentymentalne bla-bla, ale sytuacja robiła się poważna. Trent był... niespokojny. Wspomniał, że zamierza z Giną zerwać. Tobie też mówił.

Starałam się nie wtrącać. Oboje byli moimi przyjaciółmi i nie wiedziałam, jak po ich zerwaniu będzie wyglądać nasza grupa. Nie chciałam stawać po niczyjej stronie, a bałam się, że będą tego oczekiwać.

Akurat miałam się czym przejmować!

Przez chwilę siedzieliśmy w aucie, już nie wiem czemu. Może Trent gadał przez telefon albo wybierał stację radiową, albo czekaliśmy, aż się ochłodzi. Zamknęłam oczy, byłam śpiąca w taki sposób, w jaki się jest po całym dniu na słońcu. Starałam się nie myśleć o tym, o czym oni przez te dwadzieścia minut rozmawiali. Chciałeś otworzyć okno, ale Trent powiedział:

– Daj spokój, jest gorąco!

Jak już wyjechaliśmy na drogę, śpiewaliśmy z radiem. To nie byli Eagles, ale jakaś inna stara kapela, którą uwielbiał. To ci od *You shook me all night long*. Trent mówił o powrocie winyli i o tym, że szkoda, że toyota nie ma gramofonu. Znałam słowa refrenu, ale wy znaliście całą piosenkę i chyba się z tego powodu z was nabijałam. Pamiętasz? Czy sobie to wymyśliłam?

Piosenka się skończyła i Trent zaczął mówić o St. Augustine i Parku Fontanny Młodości. Powiedział, że jest w nastroju odkrywcy.

Zaproponowałam, żebyśmy tam pojechali jutro, a on to podchwycił.

– Skoro świt, Sadie May. Zapukam do okna.

– Serio?

Pokiwał głową i pamiętam, jak pomyślałam, że mówi serio. I naprawdę pojedziemy na wycieczkę.

– Napiszę do Giny i Graya, żeby się urwali z pracy.

– Pewnie – zgodził się i od razu poczułam się lepiej.

Cokolwiek się działo między nim a Giną, nie było to nic poważnego. Jeszcze nie. Jutro wskoczymy w yariszkę i pojedziemy do St. Augustine. Zamknęłam oczy i wyobrażałam sobie, że jesteśmy już starzy (czyli koło trzydziestki) i naprawdę znajdujemy Fontannę Młodości. Znając nasze szczęście, pewnie będzie gdzieś na bagnach w Everglades, ale co z tego, poszukiwania też będą super.

– Pójdę do Callahana. Może da mi się przejechać na motorze – stwierdził Trent.

To zabrzmiało jak jakiś szyfr.

– Iść z tobą? – spytałam.

– Może... Towarzystwo Sadie May zawsze się przyda.

– Mówisz, masz.

Powiedziałam to, bo Trent uwielbiał *Narzeczoną dla księcia* i zawsze się głupkowato uśmiechał, kiedy cytowałam dialogi z filmu. Potem zasnęłam. Następne, co pamiętam, to że zarzuciło nami w prawo.

Gwałtownie otworzyłam oczy. Samochód Giny i Graya stał przed nami. Tętno mi skoczyło chyba do sześćdziesięciu tysięcy i złapałam za uchwyt w drzwiczkach.

– Trzymaj się! – krzyknął Trent.

Krzyknęłam.

Nie zobaczyłam drzewa.

Toyota też krzyknęła. Metal uderzył w korę.

Czas albo się zatrzymał, albo bardzo zwolnił, bo zapamiętałam aż za dużo szczegółów.

„Trzymaj się! Trzymaj się! Trzymaj się!” Słyszę te słowa w snach.

Fletcher prosił, żebym opisała tę chwilę. Powiedziałam, że czułam się jak brzoskwinia w blenderze.

Tylko dzięki zdjęciom i relacji Giny – sprasowana maska, wgnieciony dach – zrozumiałam, co się stało po tym, jak uderzenie wyrzuciło mnie z auta. Dżip Giny zgasł pod wzgórzem Willit. Trent skręcił, żeby go ominąć i wpadliśmy na drzewa.

Ty zostałeś uwięziony na tylnym siedzeniu. Ja wyleciałam w powietrze. A Trent...

Nie mogę dalej pisać. Przepraszam.

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 20 sierpnia

Temat: re: re: re: sen

Max, tak mi przykro! Aż do teraz nie wiedziałam, że byłeś przytomny. Że go trzymałeś za rękę. Jesteś... najodważniejszym człowiekiem, jakiego znam.

Tylko się nie obwiniaj. Nic nie mogłeś zrobić. Trzeba czuć, to nic złego. Boże, gadam jak dr Fletcher Glasson. Nie czytaj tego i rób, co czujesz.

Chciałabym, żeby wszystko było po staremu. U ciebie. U mnie. U naszych rodzin. Żeby Trent zapukał w moje okno... Żebyśmy jutro wsiedli do samochodu i pojechali do Fontanny Młodości.

Dobra, mam dość. Zgaszę światło i będę udawać, że śpię.

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 25 sierpnia

Temat: Trent

Max,

chcę się odnieść do twojego stwierdzenia. „Mój brat chyba nie ufał mi tak jak tobie. Mówił mi tylko to, co musiał”.

Posłuchaj, on ci ufał absolutnie. Nie sugeruj się tym, że ci się nie zawierzył z planów zerwania z Giną. Jest milion powodów, dla których akurat o tym ci nie mówił. Może się wstydził? Wiedział, że go idealizujesz, i może chciał ochronić tę wizję. Ale najprawdopodobniej nie był jeszcze gotowy do działania i nie chciał psuć nastrojów w całej grupie, aż będzie pewien, co czuje.

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 28 sierpnia

Temat: Festiwal Owoców Morza

Dzięki za zrozumienie.

Nie, nie idziemy z Grayem na festiwal. Nie musisz nam zazdrościć jedzenia, które cię ominie. Ciągłe nie chodzę w miejsca publiczne, a Gray... Kto go tam wie.

On zmiążdżył więcej niż karoserię naszego auta.

Sadie

Rozdział 10

Po południu kontynuowałam zajęcia z Eksperymentów Społecznych, jak je nazwałam. Liczyłam na spokojny wieczór z Maxem. Może spacer na plażę, patrzenie w gwiazdy na pomoście, rozmowę... Dostałam kolację rodzinną. Przynajmniej rodzice byli zadowoleni, że się integruję.

Cały dom McCallów był rozświetlony. Dziwne, po całym roku panujących tam ciemności. Sonia zaprosiła nas na kolację. Jej potrzeba bycia wśród ludzi wygrała ze zmęczeniem podróżą i listą pilnych spraw do załatwienia. Wzięliśmy z sobą ciasto z kremem cytrynowym i bochenek świeżego chleba. Ja dodatkowo miałam zapas paniki, chociaż nie wiedziałam dlaczego. Uwielbiałam tych wszystkich ludzi, a oni kochali mnie.

Mama zapukała.

– Masz klucze – przypomniałam.

– Przecież oni tu znów mieszkają.

No tak. Spotkaliśmy się na lotnisku, przywitaliśmy się i potem zniknęli.

Sonia zaprosiła nas do środka i wymieniliśmy powitalne uściski. Ubrałam się w cienki żółty sweter i podarte dzinsy. Włosy rozpuściłam, ale schowałam pod słomianym kowbojskim kapeluszem. Zresztą, Sonia mi się nie przyglądała. Odepchnęła stopą pudełka, otworzyła kilka butelek wina, przeprosiła za bałagan, który nie istniał, i przeniosła róże ze stolika w przedpokoju na stół jadalniany.

Moi rodzice przyłączyli się do przygotowań, a ja patrzyłam. Sonia zauważyła, że nie mam co z sobą zrobić, i zaproponowała:

– Max jest u siebie, może go zawołasz?

– Chętnie! – Od razu ruszyłam korytarzem.

Gdy ich nie było, zajmowaliśmy się ich domem. Tata rozpylał jakiś spray przeciwko robakom, pilnował, czy woda nic nie uszkodziła, i kosił trawnik. Mama sprzątała i co miesiąc wymieniała waniliowe odświeżacze powietrza. Robili to, co trzeba. Ja się na niewiele przydawałam. Kiedy tu przychodziłam, miałam ochotę usiąść przy biurku Trenta, pożyczyć koszulkę Maxa albo jeść owocowe płatki przy kuchennym blacie. Raz zwinęłam się w kłębek w łóżku Trenta i zasnęłam. Chociaż nigdy w życiu tego nie robiłam, kiedy żył. Mama mnie przyłapała. Po tej małej wpadce już mnie nie zabierali. Kiedy więc zapukałam do drzwi pokoju Maxa i usłyszałam dochodzące zza nich zachrypnięte „proszę!”, czułam się, jakbym otwierała drzwi do nowego świata.

Szybko się rozejrzałam.

– Nie ma już Power Rangersów! – oznajmił.

– Ale...

– Genialnie, nie? Tata to zbudował w Boże Narodzenie.

Całą jedną ścianę i kawałek sufitu zakrywała płyta ze sklejki z uchwyty jak na ściance do wspinaczki. Pan McCall zbudował miniaturkę tego, co miałam kiedyś na siłowni. W rogu leżał materac, a na wieszaku wisiły różne różności. Reszta pokoju wyglądała normalnie: łóżko, komoda i szafa. Miał i Everest, i Abercrombie.

– Na święta pojechaliśmy do Jacksonville – przypomniałam sobie. – Nie wiedziałam, że twój tata przyjechał i coś takiego zrobił. I nigdy nie pisałeś o wspinaczce!

– Tylko kilka razy włąziłem na skałki. – Włożył dłonie do woreczka z kredą. – Mieliśmy je niedaleko klasztoru i parę razy miejscowi mnie zabrali. Było...

– Genialnie? – skończyłam za niego.

– Coś w tym stylu. Tata nie może usiedzieć bezczynnie. Popatrz na to. – Max postawił stopę na najniższym stopniu i krok za krokiem wspiął się aż pod sufit na wysokość dwa i pół metra. Potem złapał się jedną ręką, podciągnął i zawołał z góry: – Sama powiedz, jest super!

Było super.

– Zachowujesz się jak małpa – poinformowałam go.

Nagle znalazł się obok i trącił mnie w ramię.

– Nauczę cię – zaproponował. – W lecie albo po szkole. – Zamarłam, a on to poczuł. Popatrzył mi prosto w oczy i zapewnił: – Będzie dobrze. Przecież ja też wracam do szkoły.

– Słyszałeś to dziecko na lotnisku.

– Dzieci to dzieci.

– One są szczerze. – Całkiem mocno dźgnęłam go w żebra, zmusiłam się do uśmiechu i zaczęłam go podpuszczać: – Znacznie bardziej szczerze niż ty.

– Prawda jest prawdą, jest prawdą, jest prawdą.

Riposta zaczerpnięta z repertuaru Trenta.

– Kolacja już gotowa. – Pociągnęłam go za koszulkę, trochę zalotnie, i wyszłam z pokoju, zanim zdążył zaprotestować. Ruszył za mną do jadalni, gdzie nasi rodzice się z czegoś śmiali.

Boże, to było fajne. Zatrzymaliśmy się w drzwiach.

– Czują się... – Nie wiedziałam, jak dokończyć.

– Lepiej – wyręczył mnie Max.

Tak, to odpowiednie słowo. Śmiech nie musi oznaczać szczęścia. Pustki, którą niosła dzisiejsza kolacja, nie da się wypełnić śmiechem.

Pan McCall nas zauważył i na powitanie objął mnie jedną ręką. Wyszczupłał, a pulchniejsze miejsca zastąpiły mięśnie. Cała ich rodzina wyglądała zdrowiej, tak jakby całe dni spędzali w siłowni, a potem jedli łososia z sałata.

– Dobrze cię widzieć.

– Pana też.

Po raz kolejny próbował mnie skłonić, żebym mówiła do niego po imieniu, ale się nie dałam. Sonia to Sonia, ale pan McCall to pan McCall.

– Świetna ta pana ścianka.

Chwycił Maxa za rękę, mocniej niż trzeba było, bo Max aż się skrzywił.

– Plany dobrze robią duszy – oznajmił, a zaraz potem dodał: – Kolacja gotowa. Myjcie ręce.

Jedliśmy przy tym stole dziesiątki posiłków, ale nigdy w szóstkę. Decyzję o wyjeździe McCallowie podjęli w miesiąc po śmierci Trenta, więc nie było czasu na spotkania, nie licząc pogrzebu. Gdy siadaliśmy, policzyłam krzesła. Ktoś, pewnie Sonia, wykazał się taktem i usunął krzesło Trenta, który siedział zawsze między mną a Maxem.

Początkowo obyło się bez łez, ale to się zmieniło, gdy pan McCall poprosił Maxa o odmówienie modlitwy, a on wybrał tę, którą miliony razy słyszałam z ust Trenta. Jego chrapliwy głos w niczym nie przypominał Trenta, ale modlitwa i tak była piękna.

– Boże, dziękujemy ci za to jedzenie, spokój i dom. – Zamilkł i złapał mnie za rękę. – I za wszystko, co dobre. Za wiatr, deszcz i słońce, co nas budzi. Ale najbardziej za ukochanych ludzi.

W czasie modlitwy powinno się mieć zamknięte oczy, ale ja nie zamknęłam. Trzymałam Maxa za rękę tak jak kiedyś Trenta i patrzyłam na płynące po policzkach łzy. Było ich kilka. U mnie także.

Dwukrotnie ścisnęłam jego dłoń, zapewniając, że dobrze mu poszło.

Odwzajemnił uścisk i szepnął:

– Cały rok próbowałam wypowiedzieć te słowa.

Potem zaczęło się opowiadanie historii, które fruwały ponad stołem jak półmiski z ciastkami i koszyki z chlebem. Na szczęście nikt nie mówił o rehabilitacjach, bliznach ani sparaliżowanych strunach głosowych. Pan McCall opowiedział o ekipach pracujących przy budowie mostu, z którymi się widywał na co dzień. Z tego, co mówił, ten kontrakt zesłały mu niebiosy. Sonia, pielęgniarka, odnalazła się w społeczności jako położna.

– Przyjmowanie na świat dzieci zawsze zapiera mi dech w piersiach. Nawet, gdy odbywa się na brudnej podłodze w starej chacie. Czuć się potrzebną to cudowna rzecz.

W tej chwili wydawała mi się piękna, pełna życia i silna. Zazdrościłam jej.

Max mówił o rzeczach, o których nie pisał w mailach ani na czacie. O piłce nożnej, małym chłopcu o imieniu Dixon i pomocy przy budowie domów w osadzie dla ludzi zakażonych wirusem HIV, niedaleko San Vicente. Poczucie winy wspięło mi się po kręgosłupie i ścisnęło mnie w gardle. McCallowie przez cały rok szukali powodów, żeby iść dalej naprzód, a ja nie czułam motywacji, żeby wyjść ze swojego pokoju. Trent był ich synem i bratem. Co jest ze mną nie tak? Przecież nie musiałam się tak izolować.

– Co dalej? – spytał tata pana McCalla. – Kolejny kontrakt?

– Tak, tu, w kraju. Nieduży most niedaleko Shalimar. Być może wezmę coś na północnym wchodzie, jak Max pójdzie do college’u.

Potem przestałam słuchać i ocknęłam się dopiero, gdy moja mama zgodziła się z Sonią, że następnego dnia pójdziemy – ja, Max, ona i Sonia – na zakupy.

Nie chciałam być nieuprzejma, więc spojrzałam mojej mamie w oczy i dałam jej znać, że nie! Potem czekałam, aż się wycofa, ale tego nie zrobiła. Czyli Eksperymentów Społecznych ciąg dalszy.

– Mówiłaś, że mamy plany na jutro – podjęłam próbę.

Dobrze wiedziała, o co mi chodzi, ale nie zwróciła na to uwagi.

– To może poczekać. Ty i Max potrzebujecie nowych rzeczy. Przyjemniej będzie to załatwić wspólnie.

– Podkreśliła słowo „przyjemniej”, a ja podkreśliłam wewnętrzny jęk.

– Przepraszam, ale już pójdę. – Wstałam od stołu.

Mama i Sonia spojrzały na siebie – tajny kod mam – ale moja dzielnie powiedziała, że nie ma sprawy.

Pożegnałam się ze wszystkimi, podziękowałam kilka razy za uroczą kolację i zasunęłam krzesło.

– Wychodzisz przed deserem? – spytała Sonia.

– Muszę pobiegać.

Max spytał wzrokiem, czy wszystko w porządku. Od jakichś dziesięciu minut nic nie mówił, więc uznałam, że jego głos musi odpocząć.

– Do zobaczenia jutro.

Gdy piętnaście minut później dotarłam na plażę, Gray już tam był.

Uśmiechnęłam się na jego widok, a potem się zatrzymałam.

– Nie mam wehikułu czasu – szepnęłam do siebie i dopiero potem weszłam na wydmy.

Uściskał mnie, szybko i niezręcznie. Coś jak serdeczny uścisk dłoni przywódców państw będących w stanie wojny.

– Miałem nadzieję, że cię tu spotkam – wyjaśnił. – Nie wiem, o której biegasz, więc przyszedłem zaraz po pracy.

Był tu od wpół do piątej!

– Przychodzę dopiero po zmroku – poinformowałam go i natychmiast pożałowałam. A jeśli będzie się tu zjawiał codziennie?

– Chciałem cię zobaczyć. Jakoś cały czas myślę o tamtym wieczorze. I jeszcze rocznica... Nie wiem. Jesteś zawsze... – Ale wiatr porwał resztę zdania.

– Wszystko dobrze? – spytałam.

– Jasne. U mnie zawsze jest dobrze.

Oczy miał smutne, ale nieporuszone. Zdenerwowało mnie to. Dlaczego nie mógł po prostu szczerze z siebie wyrzucić, co czuje, tylko porywał się na taką koszmarną niby-odwagę?

– A u ciebie?

Zdecydowałam się na szczerość.

– U mnie już od dawna nie jest dobrze.

– Chyba i ja się do tego przyczyniłem?

– Nie pomogłeś.

Podeszliśmy do wody i usiedliśmy w tym magicznym miejscu, w którym tyłek ma się suchy, a palce u stóp mokre. Gray uwielbiał ten punkt i zawsze robiliśmy to, co on lubił. Bez zastanowienia rozwiązał sznurówki moich tenisówek. Zdjął mi buty potem skarpetki i ustawił za nami.

Nie skomentowałam tego, ale też go nie powstrzymałam. Obciągnęłam nogawki spodenek i czekałam, co ma do powiedzenia.

Przestawił kraba, który szedł w naszą stronę, a potem spytał:

– Rozmawiałaś z Giną?

– Od ostatniego spotkania nie. – Przyjrzałam mu się uważnie, a potem spytałam: – A ty rozmawiałaś?

– Cały czas jesteśmy przyjaciółmi. Powinnaś spróbować.

– Próbowałam. Nie wyszło najlepiej. – Nie do końca prawda, ale te słowa sprawiły mi przyjemność. Sprawiały wrażenie namacalnych. – Co tu robisz?

Przesunął dłoń bliżej mnie, aż prawie się zetknęliśmy palcami.

– Mówiła, że ty i Max jesteście... Nie wiem. Chyba razem. Chciałem to usłyszeć od ciebie.

– Max i ja jesteśmy... – Nie wiedziałam, jak to określić. – Blisko.

Głęboko westchnął.

– Chciałbym cofnąć czas i tyle rzeczy zrobić inaczej.

Słyszałam, że mówi szczerze. Wszystkie moje pierwsze razy wydarzyły się z Grayem Garrisonem. Pamiętałam je teraz tak dokładnie, jakbym oglądała tablicę zdjęć na Pinterescie. Pierwszy raz, kiedy pomyślałam, że jest słodki. Pierwszy raz, kiedy stwierdziłam, że może mu się podobać. I kiedy uznałam, że on mi też. Pierwszy raz, kiedy mnie wziął za rękę. Pierwszy raz w naszym miejscu do całowania i macanek. Pierwszy raz.

Z daleka wyglądał jak większość chłopaków. Można by go bez zainteresowania minąć na chodniku, ale już kiedy grał w siatkę, zapiaszczony i bez koszulki, trzeba się było odwrócić. Z bliska oscylował gdzieś pomiędzy ładnym a przystojnym. Był rzetelnie śliczny. Może nie nosił modnej fryzury ani drogich ubrań, ale za to miał seksowny głos, długie rzęsy i uśmiech pełny zainteresowania. Dzięki Bogu za te nierówne uszy. Dzięki takim niedoskonałościom nie mógł myśleć, że każda dziewczyna na niego leci. Choć oczywiście wiele leciało.

Gdybym się nachyliła, pocałowałby mnie? Nie chciałam tego, ale chciałam, żeby on chciał.

Odwrócił się do mnie. Widziałam jego usta bardzo blisko siebie.

– Myślisz jeszcze o nas? – spytał ze wzrokiem wbitym w piasek.

– Już nie.

Kłamstwo! Od miesiący przecież piszę na piasku, że chcę wybaczyć Ginie i Grayowi.

– Spieprzyłem wszystko i nawet nie mogę wytłumaczyć.

– Spróbuj.

– To skomplikowane.

– A co nie jest?

– Mogę cię o coś spytać?

– Właśnie spytałeś.

Rzucił mi na nogę garść piasku.

– Już długo jesteś zła na mnie i Ginę... – Zamilkł. – Ale czy przyszło ci kiedyś do głowy, że ja mogłem się czuć tak samo? Wcześniej. Czasem ty i Trent wyglądaliście...

– Mówiłam ci, że między nami nic nie było.

– Ale było – upierał się.

– On był jak brat.

Złapał mnie za rękę.

– Powiedział mi, że zerwie z Giną. I dał mi do zrozumienia, że z twojego powodu. To brzmiało jak ostrzeżenie. W dniu wypadku, jak o tym wspomniałem, powiedziałaś, że nie zerwą, ale kłamałaś i oboje o tym wiemy.

Trent, do diabła, czemu cię tu nie ma?! Czemu muszę się w tym sama babrać?

– Źle to interpretujesz.

– Tak mi powiedział!

– Ale ty go źle zrozumiałaś.

– A może ty teraz kłamiesz? – Może i kłamałam. – I jesteś z Maxem? To taka sama kiszka jak ze mną i

Ginę. Co się dzieje?

– Moje życie to już nie twoja sprawa. – Wstałam i wzięłam buty.

– Kiedyś byłem o wszystkich zazdrosny – przyznał. – O Trenta, bo mieszkał obok ciebie. O Ginę, bo u ciebie nocowała i słuchała twoich sekretów. Jezu, nawet o twoich rodziców, bo każdego wieczoru z tobą przebywali. Uwielbiałem z tobą być. Nawet już po wszystkim. Jak udawałaś, że śpisz, żeby ze mną nie gadać. Po prostu chciałem, żebyś wiedziała, że jestem. Ale ty się odwróciłaś do Maxa.

– A ty do Giny – odszczeknęłam.

W tej samej chwili powiedzieliśmy to samo.

– Bo on rozumiał.

– Bo ona rozumiała.

Nie mógł tak tego zostawić.

– Wtedy na plaży, wieczorem. Jak nas przyłapałaś na całowaniu...

– Leżałaś na niej.

Przeczesał włosy.

– Wiem. Teraz to nie ma znaczenia, ale chcę ci powiedzieć, że nie spaliśmy ze sobą. Tylko ten jeden pocałunek, a ja byłem nawalony. Chciałbym też, żebyś wiedziała... – Zaczął skubać zębami paznokcie. – Że potem mnie odepchnęła. Rozmawialiśmy o Trencie. Powiedziała, że jest samotna. Ja też byłem samotny. I nagle ją pocałowałem. Nie wiem, co by było, gdybyś nas nie przyłapała.

Jeśli od słów można dostać zawrotów głowy, to ja właśnie dostałam.

– Teraz jesteś pijany?

– Może trochę – przyznał. – Chodzi mi tylko o to, żebyś nie była już zła na Ginę. To ja byłem zdradzieckim dupkiem. – Zacytował jedno z moich wyzwisk.

– Ja też się czułam samotna – oznajmiłam. Miałam ochotę go złapać za koszulkę i wrzasnąć: „Spójrz na mnie!”, ale tego nie zrobiłam. Stłumiłam gniew i spytałam: – Po co mi to wszystko teraz mówisz? Oboje jesteśmy już gdzie indziej. Nie mamy wehikułu czasu.

– Nie mamy. – Brzmiał bardzo przytomnie. – Martwiłem się o ciebie. Może teraz, jak Max wrócił, będziesz szczęśliwsza, ale ja nie mogę przestać o tobie myśleć.

– Już nie potrzebuję twojej opieki.

– Może ty nie. Ale ja muszę się tobą opiekować. Byłaś w moim życiu przez... Przez większość mojego życia. – Następnie wypowiedział magiczne, straszliwe słowa. – Ja cię cały czas kocham.

I co ja z tym niby miałam zrobić? Ja też go w pewnym sensie cały czas kochałam. Jak mogłam go nie kochać? Ale w tej przynajmniej sferze zrobiłam krok naprzód i chciałabym to ocalić.

Nie odpowiedziałam tak, jak sobie tego życzył.

– Muszę iść.

Złapał mnie za rękę tuż nad Tennessee, blizną na łokciu. Zanim zdążyłam go powstrzymać, zamknął oczy i mocno mnie pocałował w usta.

– Chciałem to zrobić od miesiący...

– Ale zrobiłeś dopiero teraz. – W miejscu gniewu pojawił się ból. – Wiesz, jakie to uczucie?

Czy wiesz, jakie to uczucie, że akurat ty, spośród wszystkich ludzi, na mnie nie patrzysz?

– Nie mogłem się zdecydować – przyznał. – Ale pamiętaj, że gdybyś mnie potrzebowała...

Jaki to luksus, nie móc się zdecydować! Przez dwie sekundy patrzyłam mu lodowato w oczy.

– Potrzebowałam cię osiem miesięcy temu. Już mi przeszło.

Jeśli tak dalej pójdzie, będę pisała na piasku: „Chcę wybaczyć Ginie i Grayowi”, przez następne dziesięć lat.

Rozdział 11

Następnego dnia obudziłam się pierwsza, ale na szczęście nie przed wschodem słońca. Wczorajszy bieg zadziałał lepiej, niż się spodziewałam. Po spotkaniu z Grayem przebiegłam większy kawałek niż zwykle.

Echo jego słów cały czas odbijało mi się w głowie: „Ja cię cały czas kocham”.

Gdy to powiedział, widziałam w nim chłopaka, w którym się zakochałam, a nie tego, który mnie skrzywdził.

Długo trwało, zanim mu powiedziałam, że go kocham. Zajęło mi to dokładnie pięć lat. Byłam pewna w wakacje po czwartej klasie. Stało się to na obozie artystycznym ze zdobienia ceramiki. W szkole podstawowej zaliczałam latem najróżniejsze obozy, od surfingowego, przez naukę pisania opowiadań, po fizykę. Mama musiała coś ze mną robić, bo sama pracowała, a ja potrzebowałam się czymś fascynować.

Byłam dzieckiem, które musiało mieć na jakimś punkcie bzika.

Przeczytałyśmy z Giną o tym obozie w szkolnej gazetce i namówiłyśmy rodziców, żeby nas zgłosili. Dowiedział się Trent. Miał na Ginę oko, odkąd pokonała go w wyścigu na szkolnym dniu sportu. To on przekonał Graya, że lekcje ceramiki wcale nie są dla frajerów, a nasze matki chętnie przypieczętowały umowę na jednym z ich cośrodowych, podlewanych winem spotkań klubu czytelniczego.

Potem wydarzenia nastąpiły jedno za drugim, jak mrówki maszerujące do koca piknikowego.

Gray był bardzo szczupły. Miał starszą siostrę, Gracie, której podbierał podkoszulki Marvela. Jako jedynaczka, niemająca komu podkraść podkoszulków, uważałam, że to superfajne.

Odłożyłam książkę i powiedziałam mu, że uwielbiam komiksy.

On na to, że jemu tę książkę czytała kiedyś mama. *Koniec chodnika* miałam wówczas przeczytany już chyba z dziesięć razy, ale się nie przyznałam.

Potem został posadzony obok mnie, z czego się bardzo ucieszyłam. W przeciwieństwie do zasmuconej Giny, która wylądowała przy innym stoliku. W tamtym tygodniu ja ozdobiłam pięć naczyń, robiłam jedno dziennie. Gray przez cały czas siedział nad jednym i tym samym wazonem z wierszem z *Końca chodnika* i rysunkiem z książki.

Zachwycił mnie ten pomysł. Żałowałam, że sama na to nie wpadłam, ale nie lubiłam papugować.

Ostatniego dnia mogliśmy zabrać swoje prace do domu, ale Gray nie przyszedł na zajęcia.

Tyle godzin pracował nad wszystkimi liniami nad drobiazgowym rysunkiem chodnika. Aż mi pękało serce.

– Co się stanie z pracą Graya? – spytałam nauczycielkę.

– Wystawimy ją na sprzedaż. Nie zmarnuje się, ktoś ją kupi.

Zrobiłam smutną minkę i obiecałam mamie, że będę zamiatać piasek z przedpokoju przez dodatkowy tydzień, więc za pięć dolarów kupiła wazon Graya.

Cztery lata później, na pierwszej randce, postanowiłam mu go oddać.

Roześmiał się i poprosił, żebym mu dała komórkę.

Poświecił w niewielki otwór wazonu i pokazał mi wydrapany napis.

„Dla Sadie”.

– Wstydzilem się ci go dać, więc powiedziałem mamie, że się źle czuję, i nie przyszedłem – wyznał z twarzą czerwoną jak burak.

– Ale mogłeś przynajmniej wziąć go sobie!

– Nie mogłem. On zawsze był dla ciebie.

Gdy zerwaliśmy, wyrzuciłam wszystkie listy miłosne, bilety do teatru, oddałam mu w pudełku jego podkoszulki, ale wazon zatrzymałam.

„Ja cię cały czas kocham”.

Westchnęłam z irytacją.

Na szafce przy łóżku leżało wszystko, co przez ubiegły rok przysłał mi Max. Pomyślałam, że może pojedę pod wzgórze Willit i wyrzucę wazon gdzieś do lasu. W końcu to tam się dla nas skończył chodnik.

Jezu, za wcześnie, żeby tyle myśleć.

Nalałam sobie szklankę soku pomarańczowego i pobiegłam sprawdzić pocztę. O szóstej rano na naszej ulicy było przyjemnie pusto. Na trasie od drzwi do skrzynki wmówiłam sobie, że będzie pusta.

Zmieniłam zdanie, gdy ją otworzyłam. Zobaczyłam kolejną kopertę z moim imieniem. Wydawało mi się, że jest zatruta. Złapałam ją dwoma palcami za róg i szybko wróciłam do pokoju, żeby otworzyć list, mając Biga na oku.

Czcionka i umiejscowienie tekstu takie same, jak poprzednio. Nowy był tylko sekret.

Podpuściłam Graya, że na pewno nie skoczy z Destin Bridge. I oberwało mi się, bo on powiedział, że na pewno ja nie skoczę z nim. Więc skoczyliśmy.

Od przyjaciela

Chyba nikt poza nami o tym nie wiedział. Wiele osób, zwłaszcza żołnierzy, skakało z tego mostu. Było to niebezpieczne i nielegalne, ale policjanci rzadko dowiadywali się na czas. Jak na moje sekrety, ten był całkiem niewinny, ale to nie zmienia faktu, że ktoś grzebał w moich rzeczach, a mnie od tego trafiał szlag.

– To nie ma sensu – powiedziałam na głos.

Od przyjaciela? Co za bzdura. Przyjaciel by ze mną porozmawiał. Nie bawiłby się tak. Nie naruszyłby mojej prywatności.

Ktoś bliski myszkował w Bigu, a ja nie miałam pojęcia, kto i dlaczego. Jeśli nawet, w jakiś pokręcony sposób, miał albo miała dobre chęci, czemu wybrał/a akurat te notatki ze wszystkich znajdujących się w Bigu? Decydował/a z jakiegoś powodu. Byłam tego pewna. Kapanie się nago i skakanie z mostu? Niezbyt szokujące jak na ewentualny szantaż. A może miało to prowadzić do czegoś jeszcze?

Obydwa te wieczory były wspaniałe.

Czy o to chodzi?

W każdym razie dołożyłam tę wiadomość do pierwszej i wsadziłam między stronicę książki. Ale nawet, gdy mi zniknęły z oczu, nie mogłam się ich pozbyć z głowy.

Gray niby przypadkiem pojawiający się wczoraj na plaży. Mówiący, że wciąż mnie kocha. Czy to przypadek? On wie, gdzie jest nasz zapasowy klucz. Wie, że zapisuję wspomnienia i myśli i trzymam je w Bigu.

To może być on.

Tylko że to nie w jego stylu.

Dużo można o nim powiedzieć, ale na pewno nie jest takim efekciarzem. Pasowałoby to do Trenta, ale Gray raczej walił prosto z mostu. A te listy były pokątne i dziwne.

Martwiłam się, że to Max. Dzięki mailom zdobył trochę informacji.

„Przestać podążać za kimś i zacząć przewodzić”. Oto nadarzyła się okazja. Musiałam eliminować podejrzanych i postanowiłam sprawdzić Graya. Na stratę tego „przyjaciela” mogłam sobie pozwolić. Szybko włożyłam krótkie spodenki, bluzkę z długim rękawem, słomkowy kapelusz i wyszłam na zewnątrz.

Trzy kroki i znalazłam się przy tylnej werandzie McCallów. Na hamaku leżał Max i czytał komiks. Opuścił książkę i mi pomachał.

Boże, wyglądał jak Trent. Tyle że Trent ani nie czytał książek, ani nie lubił science fiction. On wiosłował na desce, łowił ryby z mola, wynajmował kiteboardy albo działał w inny sposób, byle tylko odsunąć od siebie widmo coraz szybciej zbliżającej się matury i wyjazdu do college’u, z dala od plaży.

– Wcześniej wstałeś – zauważyłam i podeszłam, żeby nie musiał głośno mówić.

– Jetlag. A ty?

– Dół-lag. – Roześmiałam się.

– Chyba nie zamierzasz się wymigać od zakupów?

– Chciałabym. Idę do... – Nie chciałam kłamać. – Muszę o coś spytać Graya.

Max położył otwartą książkę na piersi i uniósł brwi.

– Jak to?

– To nie potrwa długo.

Nie powiedział, co o tym myśli. Zacytował tylko jeden z maili, który do niego napisałam w październiku:

– „Zbliżasz się do krawędzi ciemności, szukając właściwej rzeczy w niewłaściwym miejscu”.

– Wiem, wiem.

Kiedy wypłakiwałam sobie wtedy oczy, łzy wsiąkały w wirtualną koszulkę Maxa. Przeżył ze mną zdradę Graya i Giny, więc nie chciałam, żeby myślał, że to sprawa serca gna mnie do Graya. Ale nie zamierzałam też mówić o listach. Jeszcze nie. Na razie muszę podejrzewać wszystkich.

– To sprawa służbowa.

– Słowo?

Położyłam mu dłoń na ramieniu i przesunęłam palce na policzek, lekko przy tym muskając szyję. Widziałam, jak uśmiechają mu się oczy. Nie docierała do mnie intymność tego gestu, aż wyobraziłam sobie, że robi to samo w stosunku do mnie.

Jego dłoń przy moich ustach. Palce na Idaho. Jego usta na moich. Lubiłam sobie to wyobrażać.

Wyobraźnia była moim najpilniej strzeżonym skarbem.

– Hm – mruknął i położył dłoń na mojej. Westchnęliśmy oboje i uśmiechnęliśmy się do siebie. – Resztę dostanę później?

Jak na razie przeskok z maili do fizyczności szedł lepiej, niż się spodziewałam. Gdybym tylko mogła zapanować nad swoimi schizami i zachowywać się normalnie...

– Zobaczymy – odparłam zawadiacko.

– To się pośpiesz!

– Postaram się.

– Moja mama od roku nie była w centrum handlowym. Nie wyciągnę jej stamtąd bez posiłków.

Wczoraj pokłóciłam się z mamą o tę wyprawę. Tak jak w przypadku nauczania domowego, przegrałam z kretesem.

– Spoko, moja obecność jest obowiązkowa. Rodzice jako nasienie szatana pamiętasz?

Chyba zobaczył, jaka jestem tym przejęta.

– Nie będzie tak źle.

– Może dla ciebie.

– Jeśli tylko będziesz chciała, wyprowadzę cię stamtąd.

– Jak?

– Nie wiem. Coś ukradnę. Zadławię się. Albo powiem mamie, że muszę kupę.

Oboje się roześmieliśmy.

– Mam nadzieję, że nie będzie potrzeby.

Podniósł książkę.

– Ja też. A teraz idź, żebyś szybciej wróciła.

Rozdział 12

Droga na plażę trwała jednocześnie wieczność i pięć minut. Wszędzie byli ludzie, którzy rozkoszowali się weekendem. Biegacze, spacerowicze, rowerzyści... Żołnierze i kobiety w obcisłych ciuchach. Starsi ludzie w wózkach golfowych.

Podniosłam brodę i przyspieszyłam. Cały czas pamiętałam, co mówił Fletcher o moim lęku przed byciem wśród ludzi.

– Posłuchaj, Sadie. Świat nie wstaje rano z łóżka po to, żeby na ciebie patrzeć. Ludzie mają piosenki na iPodach, zmartwienia w pracy, nieudane związki, dzieci do wykarmienia... Większość z nich nie zwróci uwagi na twoje blizny.

Upierałam się, że może tak, jeśli chodzi o ludzi w jego wieku – wiem, byłam okrutna – ale moi rówieśnicy to wzrokowcy. Jesteśmy wytatuowanym pokoleniem instagramowców. Kurczę, to my wynaleźliśmy selfie!

Jego reakcja:

– Chciałbym, żebyś sobie zrobiła selfie.

Moja:

– Może kiedyś.

Na pewno nie dzisiaj.

Za godzinę na plaży będzie jeszcze więcej oczu, mogących na mnie spojrzeć. Gray był na szczęście sam. Rozstawiał fotele i parasole.

Zdjęłam japonki i zostawiłam na drewnianym deptaku. Patrzyłam, jak nosi wieże z dwunastu foteli ustawionych jeden na drugim. Dla niego to wymarzona praca. Stworzona dla kogoś silnego i na tyle uroczego, żeby dostawać napiwki. Mógł już legalnie pracować, więc jego terytorium sięgało od Worthy Wayfarer do Blue Waters.

Gdy stawiał fotele na piasku, strużka potu ściekała mu po plecach. Odwrócił się, żeby przynieść kolejną wieżę. Był szybki i wydajny, skupiony wyłącznie na pracy. Zeszłam do niego dopiero, gdy się wziął do parasoli. Kijem dłuższym niż moja noga zrobił dziurę w piasku, wbił parasol i otworzył go pod wiatr. Gumkę, którą zdjął z parasola, już miał wsunąć na nadgarstek, tak jak wszystkie inne, kiedy automatycznie wyciągnęłam rękę.

Włożył na nią gumkę.

– Ciebie się tu na pewno dzisiaj nie spodziewałem – zdziwił się.

Wzruszyłam ramionami i udawałam, że nie wiem, o co mu chodzi.

Odłożył kij i pociągnął mnie za koszulkę.

– Chciałbym, żebyś znów nosiła krótkie rękawy.

Gapiałam się w słońce, aż pojawiły mi się mroczki przed oczami.

– Przyzwyczaiłam się.

– Chcesz się przydać?

Nie chciałam i chciałam. Obiecałam Maxowi, że nie potrwa to długo, ale nie mogłam tak od razu wydobyć z Graya informacji. Lepiej okazać trochę dobrej woli.

Pokiwałam głową.

Obeszliśmy razem plażę, tak jak kiedyś. On donosił fotele, a ja je rozstawiałam. Uwinęliśmy się, zanim pojawiły się pierwsze rodziny z lodówkami turystycznymi i stosami jakiegoś plażowego szajsu. Gray wystawił dwa fotele dla nas, położył sobie na kolanie teczkę z tabelką wynajmów, a z plecaka wyjął butelki z wodą i krem do opalania.

– Posmarujesz się? – spytał.

Tak. Słońce świeciło mocno, a ja już długo krążyłam bez ochrony. Dodając do tego jeszcze wczorajsze opalanie, byłam na najlepszej drodze do spalenia się na raka.

– Wnieście witaminę D!

– Właśnie! – przytaknął radośnie.

Przyjęłam krem i odnotowałam, że nadal nie patrzy mi w oczy. Ale to go nie powstrzymało od flirtowania.

Uśmiechnął się zalotnie.

– Może ci pomóc?

Nie zamierzałam mu pozwolić smarować ani Idaho, ani Tennessee, ani żadnej innej blizny. Odsunęłam się ze śmiechem.

– Spoko, poradzę sobie.

– No widzisz, nie jest przyjemniej?

– Jak?

– Ja flirtuję, ty się śmiejesz. – Znów dotknął mojego łokcia. Tak samo, jak wczoraj, gdy mnie pocałował.

Odskokrzyłam. Nie na tyle gwałtownie, żeby wyszło niegrzecznie, ale jednocześnie znacząco, żeby wiedział, że mówię poważnie.

– Przecież wiesz, że jestem z Maxem.

Podał mi wodę, puścił łokieć i zapytał:

– Więc po co przyszłaś?

Teraz albo nigdy.

– Wkładałeś ostatnio coś do mojej skrzynki na listy?

– Jak to? – Zsunął tanią podróbkę awiatorów i spojrzał na lewą stronę mojej twarzy. – Na przykład co?

– Daj spokój. Albo wkładałeś, albo nie.

– Jezus, Sadie, musisz za każdym razem, jak się widzimy, być taka dzika?

– Nie jestem dzika. To proste pytanie.

– W takim razie ci nie odpowiem, dopóki nie powiesz, co było w twojej skrzynce.

– Koperta.

– Co ty? W życiu bym nie zgadł.

– Nie zachowuj się jak debil – mruknęłam, choć wcale się tak nie zachowywał, za to ja faktycznie byłam trochę dzika.

– Powiedz mi tylko – poprosił, angażując w to całą cierpliwość.

– Nie mogę.

– Nie możesz czy nie chcesz? – W tym pytaniu już słyszałam ostrzeżenie.

Olałam je i brnęłam:

– Mówiłeś komuś, że skoczyliśmy z Destin Bridge?

– Nie. – Podniósł dwa palce. – Słowo harcerza.

– Nie byłeś harcerzem – przypomniałam mu.

– Ale kłamcą też nie.

Tak twierdził, ale jednocześnie popatrzył na swoje palce u nóg i zagrzebał je w białym, lśniącym piasku.

– Pamiętasz tamten wieczór? – Nie podniósł wzroku.

– Jak skoczyliśmy? – Poczułam, że usta układają mi się w półuśmiech, ale szybko się go pozbyłam.

– Tak.

– Pewnie.

Każdą sekundę.

– Było świetnie – szepnął.

Nie wiem dlaczego, ale nie chciałam dać mu tej satysfakcji i potwierdzić. A potem jeszcze wszystko pogorszyłam.

– Skakałeś potem z kimś innym?

– Czemu to robisz?

– Co robię?

– Niszczysz każdy objaw radości.

– Z nas dwojga to nie ja zniszczyłam radość.

Popatrzyłam na niego. Zmarszczył brwi, zamknął oczy, na policzkach nie było widać dołeczków, opuścił głowę. Podniósł kołnierzyk koszulki, żeby osłonić kark przed słońcem. Albo przede mną.

Odchyliłam się i popatrzyłam na molo. Może zrobił to samo. Albo się zamyślił. Może planował dzisiejszy wieczór.

– Muszę iść i...

– ...pospisywać wynajmujących – dokończyłam, nawet w jego stronę nie patrząc.

Postukał palcem w teczkę i wstał. Odszedł jakiś metr, ale odwrócił się i podszedł do mnie.

– Dwie sprawy.

Zanim uniósł dwa palce, wiedziałam, że czeka mnie uderzenie prosto z mostu.

– Po pierwsze, mam w dupie twoją skrzynkę pocztową. Po drugie: nie.

– Co, nie? Nie włożyłeś nic do niej?

Pokręcił głową, jakby nie pojmował, jakim cudem nie rozumiem.

– Nie skakałem z mostu z nikim oprócz ciebie.

Odszedł.

– Gray.

Szedł dalej.

– Gray! – zawołałam.

Może moje słowa porwał wiatr, a może on miał je gdzieś. Nie zamierzałam go gonić. Nie w tym tłumie. Zresztą nie chciałam. Gonienie się to zabawa zakochanych.

Rozdział 13

Dwie godziny później ściągnęłam już z nadgarstka gumki, na łóżku miałam rozwaloną górę ciuchów i nie wymyśliłam jeszcze, jaka fryzura zakryje Idaho i Bezimienną. Sonia, Max i mama od dziesięciu minut siedzieli w samochodzie, a ja zjawiłam się spóźniona.

- Przepraszam za obsuwkę – pokajałam się i zajęłam wolne miejsce koło kierowcy.
- Nie ma za co – uspokoiła mnie Sonia, która zajęta była wypytywaniem Maxa o jego listę zakupów.
- Mamo, nie mam żadnej listy.
- To skąd będziesz wiedział, co kupić?
- Mam ciebie – szepnął, podchwycił mój wzrok w lusterku i wywrócił oczami.

Moja mama wykazała się dyplomacją i nie spytała mnie o listę.

Zdaniem Soni ubrania Maxa były zniszczone. Moim zdaniem po prostu miały charakter, ale według niej nie nadawały się nawet do oddania do lumpeksu.

Nie przejmowałam się Maxem, bo w głowie cały czas miałam kwestię, czy to Gray podrzucał koperty do naszej skrzynki, czy nie. Prawie wszystko, co powiedział, było dwuznaczne i niezdecydowane. Ale możliwe, że z powodu tego, co się między nami ostatnio działo, nie musiało to mieć nic wspólnego z anonimową pocztą.

Korek uziemił nas na Destin Bridge, więc zapatrzyłam się w okno i odpłynęłam. Crab Island, łąka piasku w zatoce, gdzie dobijali rybacy, żeby poimprezować, znajdowała się po mojej lewej. Z prawej wschodnie i zachodnie mola wyrastały naprzeciwko siebie jak dwa palce wskazujące. Uwielbiałam ten most i nie mogłam nie myśleć o skoku z niego. I o kąpaniu się nago.

Kto do diabła przysyłał mi te wiadomości?!

Jeśli nie Gray, to na pewno Gina albo Max.

Dwie mocne kandydatury.

Gina od miesięcy usiłowała poprawić stosunki między nami.

Max próbował ratować sytuację po cichu.

Jeśli tylko udało im się sięgnąć do bebeczków Biga, oboje mieli dość wyobraźni, żeby na coś takiego wpaść. Co prawda, gdy dostałam pierwszy list, Max był jeszcze w Salwadorze, więc to go przesuwano trochę niżej na liście podejrzanych, ale... Te myśli spisałam, zanim wyjechał, a w dniu, kiedy przyszedł pierwszy list, w domu był jego tata. Musiałby tylko przejść na drugą stronę ulicy, żeby w imieniu Maxa umieścić kopertę w naszej skrzynce. Łatwizna!

Boże, zresztą, czy to Gina, Gray czy Max, nie ma sensu marnować całego dnia na frustrowanie się tym. Zakupy były wystarczającą masakrą. Przeskoczyłam mentalnie do następnej myśli i popatrzyłam na miejsce, z którego Gray i ja skoczyliśmy, trzymając się za ręce i odmówiwszy krótką modlitwę w intencji

przeżycia.

Dwanaście metrów.

Trzymaliśmy się za ręce aż do chwili tuż przed uderzeniem w wodę. Potem przycisnęliśmy ręce do boków i wyprostowaliśmy się jak strzały.

On wrzeszczał jak dzikus. Ja wpatrywałam się w zbliżającą się do nas powierzchnię. Lecieliśmy bez końca.

Pamiętaliśmy, co nam podpowiedział jeden żołnierz. Wydmuchujcie bąbelki, upominał. Jak już wlecicie pod wodę, góra nie będzie górą. Na dole jest góra, z boku jest góra, wszędzie jest góra. Woda was zwiedzie. Wypuście bąbelki i płyńcie za nimi. Tak dopłyniecie do powierzchni.

Ja się wynurzyłam pierwsza i łapałam powietrze łapczywie, jakbym to robiła po raz pierwszy. On przeciął lustro wody tuż obok mnie, odgarnął włosy i zawołał:

– Boże, aż mnie zatkało!

Później tego wieczoru zrobił rzeczy, od których mnie też zaparło dech.

– Sadie?

Głos mamy wyrwał mnie z zamyślenia.

– Tak.

– Co tak? Po prostu powiedz. Chcesz czy nie?

Dotarło do mnie, że musiała mówić coś już od jakiegoś czasu, ale ja nie słyszałam.

Stukała kciukami w kierownicę i kilka razy zacisnęła usta, a dopiero potem powtórzyła:

– Pytam, czy chciałabyś, żeby Maria zrobiła ci grzywkę.

– Co?

– Nie wiem, czemu nie wpadłam na to wcześniej. Myślę, że poczujesz się – ściszyła głos, tak jakby nie chciała, żeby Max i jego mama słyszeli – pewniej.

Wytrzeszczyłam oczy i pokusiłam się o dowcip.

– A co? Grzywka to nowa mała czarna?

– Max? – Słyszałam, że jest poirytowana. – Proszę cię, powiedz jej, że tak będzie dobrze.

– Nie wciągaj go w to, mamó. Gdyby było dobrze, nie sugerowałabyś grzywki.

– Cicho.

Wpadliśmy do salonu Marii i zrobiłam sobie grzywkę. Tak po prostu. Sonia też zmusiła Maxa do strzyżenia, twierdząc, że przyda mu się nowy styl. Stanowczo poinformowała go, że koniec z samodzielnym obcinaniem włosów nożyczkami dla dzieci.

Matki i ich przekłete poczucie stylu.

Po postrzyżynach solidarnie poszliśmy razem z Maxem do toalety na końcu korytarza. Trochę po to, żeby strząsnąć z ubrań włosy, a trochę, żeby pozłorzeczyć.

– Sam powiedz, czy nie wyglądam jak Joker przed okresem dojrzewania? – jęknęłam i palcami wskazującymi rozciągnęłam uśmiech.

– Wyglądasz stylowo. Jak Audrey Hepburn – zaproponował Max. – To ja mam fryzurę, jakbym wpadł

pod kosiarkę.

– Audrey była boginią. I była brunetką. – Potem, żeby przestać marudzić, wyciągnęłam ręce i szesałam jego włosy, a raczej to, co z nich zostało, naprzód. – Przykro mi. Wiem, że zrobiłeś to, żebym nie była sama.

– No co ty! Ta kobieta zamierza mnie zreformować. Tylko poczekaj. Wsadzi mnie w ciuchy z Vineyard Vines i buty ze Sperry, podczas gdy ja chcę zwykłe podkoszulki i obcięte džinsy. A te już mam.

– Mówisz jak Trent.

– Trent lubił surferskie ciuchy. – Przeczesał włosy i się roześmiał. – Mogłem poprosić Marię, żeby mnie ufarbowała na blond.

– Miał świetną fryzurę.

– Jezu, nic dziwnego! Przecież pracował nad nią całymimi godzinami! – Stał przed najbliższym lustrem i udawał się, że z zaangażowaniem układa włosy.

Oboje się uśmiechnęliśmy i chociaż nie było nam do śmiechu, wyszło niezłe. Rozmawialiśmy o Trencie i nie płakaliśmy. Całkiem dobry wynik.

Matki czekały w samochodzie, zwarte i gotowe do zakupów. Musieliśmy znaleźć wyprzedaże i kupić ciuchy! Ruszyliśmy z kopyta, ale tylko po to, żeby znów utknąć w sobotnim korku, miałam więc mnóstwo czasu, żeby przyglądać się swojej grzywce, nie czując na sobie spojrzeń mamy czy Marii. Wyglądałam młodziej, co było słabe. I daleko mi było do Audrey, ale co do Idaho... Zaraz, jakiego Idaho?! Grzywka okazała się dobrym pomysłem.

Chciałam, żeby mama wiedziała. Na następnych czerwonych światłach wskazałam na swoje czoło i bezgłośnie wyszeptalam:

– Dziękuję.

Na jej twarzy eksplodowało szczęście. Kochałam mamę, ale rzadko jej za coś dziękowałam. Zakładałam, że czuje moją wdzięczność, ale w sumie nie miałam pewności, czy rodzice znają nas tak dobrze, jak się upierają. A jeśli nawet od czasu do czasu udawało im się wykazać przenikliwością, zwracali pewnie uwagę tylko na te problematyczne kwestie. Gdybym od czasu do czasu dała znać, że coś doceniam, mamie byłoby miło.

– Coś strasznego z tym sezonem turystycznym – jęknęła Sonia z tylnego siedzenia.

– Nie ma za co – odpowiedziała równie bezgłośnie mama i bez mrugnięcia okiem zwróciła się od razu do Soni: – Ruch jest koszmarny. Czasem lepiej w ogóle nie wychodzić z domu.

– Przypominam sobie, jak zwracałam wam na to uwagę – mruknęłam.

Mama od razu się do mnie odwróciła:

– A co, jesienią chcesz iść do szkoły w piżamie?

– Do jesieni jeszcze mnóstwo czasu, nie musimy sobie tym psuć dzisiejszego dnia.

– Wpadniemy tylko na chwilę – obiecała.

Ta chwila będzie oznaczała godziny mierzenia ubrań i wystawiania się na spojrzenia osób, które mówiły: „To super” albo „Tego nie kupuj”, co wcale nie robiło dobrze mojej pewności siebie.

Sonia się nachyliła:

– Planujesz tego lata jakieś warsztaty albo obozy, Sadie?

– Nie.

– Max mówił, że zaczęłaś biegać, więc pomyślałam, że mogłabyś się zapisać na bieg z przeszkodami po plaży.

– Świetny pomysł! – podchwyciła mama. Jej entuzjazm sugerował wcześniejsze ukartowanie sprawy, więc pożałowałam podziękowań. Śmierdziało to kolejnym etapem Eksperymentów Społecznych.

– Zastanowię się. – Lepiej od razu dać nadzieję niż cały dzień słuchać namów.

– Max chce wrócić do paintballowych piratów – dodała Sonia.

Zaskoczyła mnie. Odwróciłam się do niego:

– Tak? Nic nie mówiłeś.

– Zawsze to robiliśmy.

– Powinniśmy kultywować tradycję – ogłosiła Sonia. – Wszystkie cztery rodziny. Jacht. Kemping. Wy, grający w paintball...

– I wy, pijący procentowe trunki – dokończył Max, robiąc taki gest, jakby wznosił toast.

Sonia trąciła go w nogę.

– Oj przestań, nie rób z nas bandy pijaków – zachnęła się beztróska, a potem wróciła do wspomnienia, jak to kiedyś się świetnie bawiliśmy. Spojrzałam przez przednią szybę i zatopiłam się głębiej w fotelu. Zobaczyłam w lusterku przepaszające spojrzenie Maxa.

W outlecie kłębił się dziki tłum. Zaczęłam się bardzo niepokoić, gdy szukaliśmy miejsca do zaparkowania, a stres sięgnął zenitu, gdy mama otworzyła wszystkim drzwi. Jeśli wyprawa na lotnisko okazała się socjofobiczną przygrywką, centrum handlowe było uwerturą. Wszędzie tłoczyli się turyści.

Mama objęła mnie ramieniem.

– Jesteś blada.

– Wiem. – Bladość to czasem objaw zapierającego dech w piersi stresu.

– Może wypijesz napój energetyczny? – zaproponowała. Cukier i elektrolity. Brzmiało dobrze. Zgodziłam się. – Jeśli zamierzasz już zawsze nosić długie rękawy, musisz pilnować, żeby się nie odwodnić.

Pokiwałam głową i wzięłam od niej drobne do automatu z napojami. Jeśli nawet Sonia albo Max myśleli, że zachowuję się dziwnie, żadne nie dało tego po sobie poznać. Max napił się ze mną, a kiedy wyrzucaliśmy butelki, wyciągnął do mnie rękę.

Czasem ręka jest jak kotwica. Przycumował mnie do świata.

Chropowatym głosem spytał:

– Wszystko dobrze?

Otarłam ramieniem łzę.

– Kto, na litość boską, boi się centrum handlowego?

Wskazał na pięć minivanów zaparkowanych przed sklepem. Na przednim siedzeniu każdego z nich siedział facet.

– Na przykład ci koleś.

Ten żart mnie trochę odprężył.

Trzymaliśmy się za ręce. Miał dłoń inną niż Gray. Delikatniejszą, smuklejszą.

I ja byłam inna, kiedy szłam obok niego.

Byłam lepsza.

Nie schrzań tego, powtarzałam sobie w myślach.

Mama i Sonia wyszły ze sklepu obuwniczego i dołączyły do nas. Nie wiedziałam, co mama sądzi o naszych złaczonych dłoniach, ale nas nie zawstydzwały.

– Pomyślałam, żeby zacząć od Pac Sun – oznajmiła Sonia.

– No to chodźmy – zarządził Max.

Cztery sklepy i trzy torby z zakupami później wciąż udało mi się nic nie przymierzyć. Coś tam sobie wybierałam, a mama płaciła. Marzenie amerykańskiej nastolatki! Przyszła pora na dzinsy, a dzinsy trzeba przymierzyć. Przez cały zeszły rok nie kupiłam ani jednej pary spodni, chociaż wszystkie, które miałam, zrobiły się za duże. Schudnięcie może być problematyczne. Uda i łydki miałam umięśnione, ale w pasie zeszałam na pewno o rozmiar w dół. Jeśli nie dwa.

Kiedy ostatnio byliśmy z mamą na zakupach, lęk przed przymierzalnią zmienił się z poważnego dyskomfortu w pełno objawowy atak paniki. Tłumaczyłam sobie, że muszę tam po prostu wejść, przymierzyć spodnie i wrócić, całkiem ubrana. Ale niestety, niepokój wywoływał szybsze bicie serca, a oczekiwanie jeszcze wznagało doznania. Dla wielu osób przymierzalnia była jak wybieg.

Max znów uścisnął moją dłoń.

– Już prawie po wszystkim.

– Nie znoszę, gdy ktoś na mnie patrzy.

– Mam zrobić awanturę, żeby odwrócić od ciebie uwagę?

Pokręciłam głową.

– Nie, muszę się zmobilizować.

Mama przewiesiła mi przez ramię cztery pary dzinsów i poprowadziła na tył sklepu. Akurat w chwili, kiedy puszczałam rękę Maxa, z przymierzalni wyszła Gina.

– Sadie! – Popatrzyła na nasze dłonie, a potem powędrowała w górę smukłego ciała Maxa i wylądowała wzrokiem na twarzy, którą skądś znała.

Widziałam, jak zapiera jej dech w piersi i uginają się pod nią kolana.

– O Boże. – Złapała się za serce, jakby miała dostać ataku i zatoczyła się, wpadając prosto na sprzedawczynię, która pchnęła wieszak pełen ubrań. Razem z nim runęła na ziemię. W powietrze wzbily się ciuchy, skarpetki i szaliki. Osiem luster pokazywało pod najróżniejszymi kątami zaskoczenie Giny.

– Cholera. Cholera! – syknęła młoda sprzedawczyni. Żeby się podnieść musiała wypuścić z rąk naręczne ubrań.

– Przepraszam – jęknęła Gina.

Sonia i ja zajęłyśmy się nią, a Max i moja mama pomagali sprzedawczyni ustawić wieszak i zebrać z podłogi ubrania.

– Przepraszam. Strasznie przepraszam – powtarzała Gina.

Nie wiem tylko, czy kierowała te słowa do sprzedawczyni, czy do Maxa. Dziewczyna machnęła ręką, jakby miała już serdecznie dość widoku Giny Adler.

Patrzyłam, jak Sonia fachowo gładzi Ginę po ręce.

– Wszystko będzie dobrze, skarbie.

Ta dziewczyna niemal się wychowała w salonie Soni, rozciągnięta na kanapie obok jej smukłego, pięknego, nieokiełznanego syna. Pewnie nie raz się zastanawiała, czy Trent i Gina zostaną razem. W

czasie pogrzebu zaprosiła nawet Ginę do stołu rodzinnego.

– Nic się nie stało – przekonywałam Ginę i pomogłam jej usiąść na ławce.

Spuściła głowę.

– Jezu, jak mi wstyd.

– Niepotrzebnie. Miałam to samo.

Nie miałam, ale pomyślałam, że poczuje się lepiej. Nikt tego przecież nie sprawdzi.

Jak na razie wyjątkowo miło zachowywałam się wobec Giny.

Gdy Max skończył odwieszać ubrania, przywołałam go gestem dłoni.

Zawahał się, ale podszedł.

– Cześć. – Ledwie go słyszałam.

– Masz znacznie lepszy głos!

– W ogóle go mam – stwierdził gorzko.

– Tak się cieszę, że wróciłeś. – Wstała, żeby go porządnie objąć.

Wpatrywałam się w wykrzywioną wersję sceny, którą już widziałam. Gdyby cofnąć czas, to mogliby być Trent i Gina. Musiała też o tym pomyśleć, bo się odwróciła i spojrzała mi w oczy.

Nie miałam do niej żalu o te objęcia i kiwnęłam głową na znak zrozumienia.

Potem się odsunęła i zaproponowała:

– Spotkajmy się wszyscy wieczorem. Zadzwońię do Graya. Możemy iść na molo.

– Hm. – Max najpierw spojrzał na mnie.

Zareagowałam szybko, nie zamierzałam przeszarżować.

– Wieczorami biegam.

– Jeden wieczór możesz odpuścić! No proszę, tak bym chciała spędzić z wami czas. Z obojgiem.

Posłuchać o Salwadorze.

Jej nieustanne zaproszenia prowadziły wprost do nieustannych przeprosin. Wzruszyłam ramionami, poprawiłam narecze dzinsów, które musiałam odwiesić i powiedziałam:

– Może innym razem.

Wiedziała, że znów się nie udało, i pokiwała głową. Tyle razy odmawiałam, że już nawet nie była zaskoczona.

Znów objęła Maxa i popatrzyła na mnie smutno.

– Ale jeszcze tego lata. Proszę.

Skinęłam głową. Blizna przy ustach naprężyła się, gdy zagryzłam wargę.

– Może. – Potem pomyślałam o mojej liście na piasku i dałam jej nadzieję: – Pewnie w czasie gry w paintballowych piratów.

– Przepraszam za... No wiesz. – Max wykonał błyskawiczną pantomimę Giny wpadającej na sprzedawczynię.

– No co ty, to ja przepraszam. – Zarumieniła się. – Paintballowi piraci – powtórzyła. – Jesteśmy umówieni?

Max pomasaował sobie kark.

– Jeśli tylko Sadie będzie miała ochotę – zachrypiał.

– Robię, co mogę, żeby ją wyciągnąć z tej pustelni, w której się zamknęła. Błagam cię, przypomnij jej,

że kiedyś robiła z nami różne rzeczy. Jeździła na motorze...

W słowo weszła jej Sonia, przysłuchująca się całej rozmowie:

– ...zrywał się z lekcji, żeby pojechać do parku wodnego...

Pragnęłam, żeby podłoga się rozstąpiła i żeby mnie pochłonęła czeluść. Sonia McCall usiłowała wyciągnąć mnie z domu, zachęcając czymś, co kiedyś spowodowało mój miesięczny szlaban. Co za żenada.

Dotknęła mojego ramienia i dodała:

– Ona ma rację. Powinnaś mieć trochę przyjemności z lata.

Uznałam, że czas zakończyć rozmowę. Wzięłam swoje dzinsy, weszłam prosto do przymierzalni i ciężko opadłam na ławeczkę.

– Ślicznie ci z grzywką! – zawołała zza ściany Gina.

W głowie słyszałam głos Trenta. Tym razem zamiast „Trzymaj się! Trzymaj się! Trzymaj się!”, mówił: „Wybacz jej, Sadie May, to ją odzyskasz”.

– Ale ja nie chcę – odpowiedziałam.

Głos w głowie, nie wiem, czy to był Trent, czy moje sumienie, znał tę samą łacińską sentencję, co ja: „Od możliwości do realizacji”.

– Zamknij się – szepnęłam.

Głos odszedł, a ja poczułam się, jakbym kopnęła psa.

Rozdział 14

Kilka maili do Maxa, gdy był w Salvadorze.

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 13 września

Temat: modlitwy

Max,

wiem, że się czasem modlisz. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym cię poprosić o odmówienie modlitwy za mnie i Graya. Po raz pierwszy zaczynam się bać, że nam się nie uda.

Przyszedł do mnie wczoraj i... Myślę, że chciał ze mną zerwać, ale nie wiedział jak. Ja tylko siedziałam. Tak naprawdę nie wiem, czy walczyć, czy odpuścić.

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 15 września

Temat: złe wieści

W poniedziałek wieczorem poszłam na spacer i na plaży przyłapałam Graya i Ginę razem. Powiedziała, że była pijana. On przysięgał, że to nic nie znaczyło. Błagała, żebym zrozumiała, że to był przypadek. (WTF, jak można przypadkiem kogoś obmacywać?!). On przeproszał. Ona płakała. Zarzekali się, że tego nie planowali.

Potem już nie bardzo było o czym gadać.

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 18 września

Temat: nie

Max,

nie, nie chcę, żebyś mu wtukł. Ale nie wiem, co robić.

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 20 września

Temat: po sprawie

Zerwałam z nim.

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 24 września

Temat: teoria

Nie mogłam uwierzyć, że ta kartka przyszła od ciebie, tak z dnia na dzień. Po raz pierwszy od trzech dni się uśmiechnęłam. Dziękuję.

Mam teorię na temat tego, co się stało.

Krok pierwszy: Wszystko się zmienia. (wypadek)

Krok drugi: Udajemy, że nic się nie zmieniło. (jaki wypadek?)

Krok trzeci: Wściekamy się, że ta druga osoba nie może być taka sama jak wcześniej. (wypadek to twoja wina!)

Krok czwarty: Wywołanie zmiany na siłę (wypadek przy pracy...)

Chciałabym móc ich szczerze nienawidzić.

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 30 września

Temat: re: teoria

Max,

nie. Że to Gina, nie jest wcale najgorsze. Jest straszne, jasne, ale najgorzej, że wydaje mi się, że to moja wina.

Babcia, mama taty, Pазie, ma w domu jadalnię specjalnie na uroczystości, która jest tak wytworna, że nikomu nie wolno tam wchodzić. Niektórzy mają serca jak ta jadalnia i boją się, że właśnie stają się jedną z nich. Czuję, jak się zmykam, i już słyszę, że mówię ludziom: „Nie, już nie używamy tego serca. Jest zbyt kruche”.

Zaczęło się od wypadku. Tłumiłam w sobie emocje i prawdy, które powinnam była wyrazić, ale nie wiedziałam, jak powiedzieć to, co chcę. Bałam się, że to nas zniszczy. No cóż, milczenie też nas zniszczyło.

Nie twierdę, że oni są bez winy, ale może to, co się stało między Grayem i Giną, wydarzyło się dlatego, że zamknęłam serce w jadalni na wyjątkowe okazje i powiedziałam jemu (i jej), że ich tam nie wpuszczę.

Nie chcę, żeby to coś w piersi mnie wykończyło, ale boję się też drżeć o nie tak bardzo, żeby już nigdy więcej go nie użyć.

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 2 października

Temat: re: re: re: re: re: obiecuj

Max,

tak, dzisiaj już jest trochę lepiej. I obiecuję ci, że nigdy nie zagonię naszej przyjaźni do tej wystawnej jadalni. Nie mogę stracić i ciebie. Już nikt by mi wtedy nie został.

Sadie

Rozdział 15

Mama zapukała do drzwi przymierzalni.

– Sadie?

Otworzyłam, a ona wśliznęła się do środka. Zawsze udawało jej się wejść na moje terytorium.

– Skarbie... – szepnęła na mój widok. To słowo otworzyło zaporę. Wiele się we mnie zmieniło przez ostatni rok, ale rzadko wylewałam przed kimś żale. Mama usiadła, a ja położyłam jej głowę na kolanach.

– Przepraszam, że cię do tego zmusiłam.

To „przepraszam” wypełniło popękane miejsca we mnie i mogłam usiąść prosto. Mama ujęła moją twarz w dłonie i kciukami starła łzy.

– Nie wiem, czemu płaczę – wyznałam. – Dlaczego to jest dla mnie takie trudne. Dlaczego wszyscy muszą w tym uczestniczyć. Boże, nawet Sonia widzi, że jestem przeczolągana.

– Też nie wiem, czemu płaczesz, malutka.

– Nie chcę już być na nich zła. Wiem, że to był wypadek, ale kiedy ich widzę, Ginę albo Graya, coś się we mnie zaciska, tutaj. – Przycisnęłam palce do mostka. – Czy to kiedyś zniknie?

Mama odgarnęła mi z twarzy włosy i odpowiedziała szczerze:

– Nie wiem.

– Nienawidzę nienawidzić.

– Ja też, Sadie. Ja też.

Nie próbowała koić moich ran ani nie oferowała wyświechtanych frazesów. Rozmawiała ze mną za pomocą objęć, swoich ramion zaciskających się wokół mnie, aż uspokoiliam oddech. Supeł w żołądku rozwiązał mi się na tyle, że mogłam wstać.

– Chyba już wystarczy zakupów na dziś.

Potem zebrała džinsy, których nie zdołałam przymierzyć, i wyszła.

Poszłam jej śladem. Stała akurat przy kasie i płaciła za wszystkie cztery pary. Skierowałam się do drzwi i wyszłam na zewnątrz. Max znów wziął mnie za rękę i poprowadził z dala od tłumów. Gdy dotarliśmy do samochodu, podał mi torebkę.

– Jeszcze tego nie zapragnęłaś, ale jak zapragniesz, chcę przy tym być. – Potem cmoknął mnie w skroń i poszedł do swoich drzwi.

Dotknęłam miejsca, gdzie przez chwilę czułam jego usta, a potem zajrzałam do torebki z logo sklepu, w którym kiedyś lubiłam robić zakupy.

Bezrękawnik.

Z przodu napis: „Żyj, jakby świat miał się dziś skończyć”, ale wszystkie słowa z wyjątkiem „żyj” zostały przekreślone. Odwróciłam się do Maxa i podziękowałam.

– Ten błękit będzie pięknie pasował do twoich oczu.

– Dzięki.

„Włożyć koszulkę na ramiączkach”. Punkt pierwszy na mojej liście.

Optymizm Maxa tak naprawdę mnie zaniepokoił. A co, jeśli bliskość między nami opierała się nie na tym, kim teraz jestem, ale kim mogę się stać? Chociaż stracił brata, cały czas szedł naprzód. Ja tkwiłam wciąż w tym samym punkcie. Ciągle nie wiedziałam, jak zacząć nowy rozdział. Może powinnam przerwać więź opartą na trzymaniu się za ręce i serca, zanim oboje ucierpimy?

Nie chciałam.

Chciałam włożyć tę koszulkę i iść z Maxem zalaną słońcem plażą. Przez całą drogę wyobrażałam sobie świat, w którym by to było możliwe.

Gdy się zatrzymaliśmy, zaskoczyłam wszystkich, bo poszłam za Maxem do jego domu. Nie chciałam mierzyć dzinsów, wyrzucać ubrań ani patrzeć na mojego zdradzieckiego wypchanego strusia. Potrzebowałam towarzystwa.

Dla odmiany.

Siedzieliśmy blisko siebie, na tyle blisko, że opieraliśmy się o tę samą poduszkę na kanapie. Po roku bycia daleko przyjemnie było móc się przytulić zawsze, kiedy mieliśmy ochotę. Sonia uprażyła kukurydzę i włączyła starą wersję *Piotrusia Pana*. Nie bardzo oglądaliśmy, bo rozmawialiśmy o wszystkich filmach i programach telewizyjnych, które Max przegapił przez ubiegły rok. O Woodym Allenie, Christopherze Nolanie, Wesie Andersonie i Aaronie Sorkinie. Zrobił listę filmów, które chciał obejrzeć razem ze mną. Szacowałam, że zajmie to jakieś dziesięć lat. Podobał mi się taki pomysł.

– A wiesz, że moim najukochańszym serialem wszech czasów jest...

– *Buffy, postrach wampirów* – dokończył.

– Mówiłam ci? – Od razu pomyślałam o Bigu.

– Nie. Jestem po prostu dobrym obserwatorem.

Tak? A może niechcący coś mu się wymknęło?

Od razu zmieniłam temat.

– Skoro już jesteśmy przy obserwowaniu, chcę zobaczyć wszystkie twoje zdjęcia z Salwadoru.

Przejrzeliśmy chyba z tysiąc zdjęć, potem zjedliśmy kanapki przy kuchennym blacie i gadaliśmy, aż Max stracił głos. Ja nie miałam wiele do powiedzenia.

Koło szóstej dołączyliśmy do nas jeszcze kogoś. Max bez słowa zaprowadził mnie do pokoju Trenta i położyliśmy się na jego łóżku. On leżał na boku, ja się opierałam o ścianę. Leżałam z chłopakiem w łóżku i oboje myśleliśmy o jego bracie. Niezbyt romantycznie. Tego mi było jednak trzeba.

– Śpię tutaj – wyznał Max.

– Jak was nie było, też się tu raz zdrzemnęłam.

Próbowaliśmy się jakoś dotknąć, ale oboje byliśmy sztywni.

– A wiesz dlaczego? – spytał Max.

– Nie.

– W tym pokoju jest pełno tajemnic.

Przekręciłam się tak, żeby go widzieć. Leżał płasko na plecach, z dłońmi zaciśniętymi w pięści i wzrokiem wbitym w sufit. Nie mrugał. Nie poruszał się.

– Jak to? – spytałam i też się położyłam na plecach. Nade mną świeciły fluorescencyjne gwiazdki. Skupiłam na nich wzrok.

W głosie Maxa usłyszałam gniew, ale chyba także poczucie winy.

– Tu mieszkają cechy jego osobowości, o których nie wiedziałem albo ich nie rozumiałem. Miałem pokój za ścianą, jak mogłem przegapić... – Westchnął głęboko, ale to był dopiero początek wypowiedzi, a nie koniec. – Kiedy zrobił z klocków Lego tę świątynię, która stoi na biurku? Kto dał mu kartkę, którą trzymał pod materacem? Gina? Ty? Ktoś inny? W każdym razie ten ktoś musiał go kochać. – Nie śmiałam przerywać, ale przysunęłam się trochę bliżej. – Co się stało z jego deską do wiosłowania? Skąd wziął czarną skórzaną kurtkę? Na litość boską, przecież mieszkamy na Florydzie, po jaką cholere mu była ramoneska?! A te koszmarne tenisówki? Kiedy przestał nosić scotty? Wiedziałaś, że pisał dziennik? I wydarł z niego połowę kartek? Dlaczego? Co tam napisał? Boże, nie powinienem był tam zaglądać. – Zadawał tyle pytań, że wkrótce zaczął strasznie skrzypieć. Rzadko mówił całymi zdaniami, skracał się, żeby oszczędzić głos. Domyśliłam się, o co mu chodzi, zanim ostatecznie zamilkł: – Skopałby mi dupę, gdyby się dowiedział, że grzebię w jego rzeczach.

Pokiwałam głową na to ostatnie, choć tak naprawdę potakiwanie dotyczyło wszystkich pytań. Znałam odpowiedzi na niektóre z nich, ale nie chciałam się tym obnosić przed Maxem. Uznałam, że to by było okrutne. Zamiast tego zdradziłam mu to, o czym pomyślałam:

– Myślę, że chyba każdy jest tajemnicą. Nawet ludzie, których dobrze znamy. Gdybym ja umarła... – Odwrócił się do mnie i na zarumienionej twarzy zobaczyłam strach. Złączył z sobą nasze małe palce. – A ty przejrzałbyś moje rzeczy, zadałbyś takie same pytania. Dlaczego miałam to, tamto? Co ukrywałam, mówiłam, na co miałam nadzieję i w co wierzyłam? Wszyscy mamy takie sprawy i oszalejesz, jak się będziesz na tym skupiał. Chociaż ja też to robię, tylko z Giną i Grayem. Wydaje mi się, że odpowiedzi jakoś zmieniają to, co czuję. A to chyba tak nie działa.

– Sadie?

– Tak?

Odprężył się i niemal uśmiechnął.

– Powiedz mi coś, o czym nie wiem.

Splotłam ręce pod głową i się uśmiechnęłam.

– To ja zrobiłam Trentowi tę niby-świątynię z Lego. W ramach podziękowań za to, że pomógł mi się uczyć do egzaminów. To miało być coś w stylu Machu Picchu. Chcieliśmy tam kiedyś pojechać.

Pokiwał głową.

– Tak, on uwielbiał odkrywców. Nawet takich okrutnych, jak Ponce de León.

– W de Leónie nie chodziło mu o to, kim był. Uwielbiał go, bo on szukał Fontanny Młodości. A Fontannę Młodości uwielbiał, bo... – do oczu napłynęły mi łzy i musiałam zebrać się w sobie przed wypowiedzeniem ostatnich słów – bo się bał śmierci.

Max przyciągnął mnie do piersi i znalazł siłę na kilka ostatnich słów.

– Powiem ci coś, czego nigdy ci nie powiedziałem. Jak umierał, to się nie bał.

– Skąd wiesz?

– Bo tam byłem.

Rozdział 16

Zdrzemnęliśmy się. Obudziłam się koło dziesiątej. Gdy otworzyłam oczy i jeszcze trochę nieprzytomnie spojrzałam na Maxa, wskazał kciukiem za okno, w stronę naszego mola.

– Chcesz posiedzieć na...

– Pewnie. Tylko najpierw zajrzę do domu. Rodzice się pewnie martwią. – Ale tak naprawdę chciałam umyć zapyziałe po drzemce zęby.

Ciekawę, od jak dawna nie spał.

Zadrzał mu policzek. Uśmiechnął się i prawie to przegapiłam. Po tym wszystkim, o czym dzisiaj rozmawialiśmy, uśmiech przynosił ulgę. Jak dobrze. Poszliśmy razem na moją tylną werandę. Usiadł na brzegu fotela, jakby mówił: zaczekam tu.

Pomachałam mu, co miało oznaczać: zaraz wracam.

Kiwnął głową.

Po tych wszystkich mailach umieliśmy się porozumiewać bez słów.

Drzwi były otwarte, a w kuchni świeciły się światła. Zatrzymałam się w progu i zastałam rodziców przytulonych.

Dla żartu zasłoniłam oczy i zawołałam:

– Uwaga, jestem w domu!

Tata pocałował mamę w czubek nosa. Pewnie powinnam umierać ze wstydu i obrzydzenia, ale oni zawsze tacy byli. To w zasadzie słodkie, bo przecież wielu rodziców moich kolegów z klasy trwało razem tylko ze względu na dzieci i duże kredyty. Moi rodzice się szczerze lubili. Na moje oko szczęście, jak już się do kogoś przyczepiło, się go trzymało.

Wszystko dobrze? – spytała mama wzrokiem.

Lepiej, odpowiedziałam tak samo. Dobrze mi dzisiaj szły rozmowy telepatyczne.

– Idę na molo – ogłosiłam.

– Nie biegasz? – spytała mama.

– Dzisiaj nie. – Nie ma biegania, nie ma list, łacińskich sentencji ani martwienia się Bigiem. Na dzisiaj dość.

Mama zlizwała z mieszadła trochę kremu do ciasta. Zachowywała się jak gdyby nigdy nic. Aż zbyt neutralnie.

– Z Maxem?

– Tak.

Wiedziałam, że rodzice chcą spytać, czy na pewno wszystko dobrze. A może powinni zadzwonić do doktora Glassona? I czy wiem, że jeśli będę potrzebowała, mogę z nimi porozmawiać. Oczywiście nic z

tego nie powiedzieli na głos, ale usiłowali przeniknąć moje myśli. Ich oczy się we mnie wbijały.

Uśmiechnęłam się.

Zadziałało.

Wyluzowali. Mama dała mi do spróbowania trochę kremu. Maślany, boski. Zaufała mojemu milczeniu.

Dość dramatów na jeden wieczór.

Szorowałam zęby przez minutę, a potem ruszyłam do tylnych drzwi.

– Jakoś niedługo zrobimy rodzinny seans filmowy! – zawołał za mną tata.

– Pewnie – zgodziłam się jak zawsze.

– Zaproś Maxa.

Znów się uśmiechnęłam.

– Jasne.

– Skarbie...

– Wiem, mamo, ja też cię kocham.

– Nie wracaj za wcześnie – zasugerował tata.

Eksperymenty Społeczne zaczynały mi przynosić korzyści.

Przeprosiłam Maxa, że to trwało tak długo.

– Przerwałam moim rodzicom uprawianie seksu.

– Naprawdę?!

– Nie, ale coś planują.

– Moi też tacy byli.

– Byli? – Pomyślałam, że przecież pojechali na drugi koniec świata, żeby znów było dobrze.

– Czasem jest lepiej. Czasem nie.

Nie mieściło mi się w głowie, że mogliby się rozstać, ale i tak spytałam:

– Myślisz, że coś mogłoby się stać?

– Nie. Ale inaczej znoszą żalobę. Tata musi działać. Mama chce siedzieć i płakać.

– A ty?

– Chcę go wspominać.

– Ja też. Czasem wciąż z nim rozmawiam. – Pomyślałam, że jeśli ktokolwiek to zrozumie, to właśnie

Max.

– Ja też. – Objął mnie. – Mówiłem ci, że czasem mnie budził w środku nocy?

– Nie.

Ale mnie też budził. Ciche pukanie w okno. I głos: „Sadie May...”

– Chodziliśmy na spacer do budki z goframi. On jadł naleśniki i puszczał piosenki z szafy grającej. Tak

się nauczyliśmy tych wszystkich starych numerów.

– Nigdy o tym nie słyszałam.

– To było takie nasze.

– A na moje urodziny jeździliśmy rowerami na falochron.

– Wiem.

– Możemy go razem wspominać zawsze, jak tylko będziesz miał ochotę.

Pocałował mnie we włosy i podziękował.

Usiedliśmy na molo, zwiesiliśmy nogi i słuchaliśmy, jak atramentowa woda obija się o słupy pod nami. W powietrzu czuć było sól, a światło księżyca kładło się na powierzchni. Zwykle, gdy tu siedziałam, czułam się potężna. W końcu stanowiłam część czegoś, co zajmowało dwie trzecie powierzchni planety.

Ale dzisiaj to wyglądało inaczej. Byłam pyłkiem we wszechświecie.

Kiedy tak siedziałam obok Maxa, dotarło do mnie, że nie chcę się kurczyć i ograniczać otaczającego mnie świata, żeby lepiej się do niego dopasować. Chciałam się rozwijać. Tak naprawdę nad tym przez cały rok pracowaliśmy z Fletcherem. Tyle że strasznie powoli mi szło.

– Gwiezdna cisza? – spytał Max.

– Chętnie.

To Trent wymyślił gwiezdną ciszę. Czasem, jak się spotykaliśmy, nawijaliśmy jak farbowane na rudo babki w salonie piękności. Nagle krzyczał: „gwiezdna cisza”.

Oznaczało to, że się zamykamy i wsłuchujemy w naturę. Trent całymi dniami działał, więc bardzo się przywiązał do tych nocnych medytacji. Zawsze, jak wypływaliśmy łodzią jego rodziców, kładliśmy się na plecach niesłyszalni jak cienie i szukaliśmy w nocnym niebie poezji.

Wydawało mi się, że ją znalazłam. Gdybym tylko miała siłę przy niej wytrwać.

Równocześnie położyliśmy się na drewnianych deskach. Były pozadzierane, nierówne, ze sterczącymi gwoździami, ale jednocześnie tak wygodne i przytulne, że chętnie bym się znów zdrzemnęła. Złożyłam rękę na brzuchu i Max zrobił to samo.

– Ta mi się podoba. – Wskazał gdzieś ponad Wielki Wóz.

– Kasjopeja?

– No.

Wszystko jedno, jaki gwiazdozbiór wybrałam. Nie dało się wskazać konkretnej gwiazdy, tak jak określonego płatka śniegu. Nie wiem, czy patrzył na to, co pokazywałam, ale nieważne, każdy wybór był równie dobry.

– Kasjopeja była królową – przypominałam.

Oderwał wzrok od nieba.

– Jak ty!

– Hm, nie do końca, Romeo, gdyż znana była z chełpienia się swą niedoścignioną urodą.

Roześmiał się.

– No właśnie. – Wrócił do patrzenia w niebo. – Tylko powinnaś się trochę więcej chełpić.

– Litości! – Nie zamierzałam brzmieć tak potępiająco, ale stało się, zanim zdążyłam zapanować nad głosem.

– Wcale nie żartuję!

– W ogóle nie wiem, jakim cudem udaje ci się na mnie patrzeć, odkąd tak wyglądam, nie mówiąc już o mieszaniu do tego piękna.

Otworzył usta.

– Jak wyglądasz? Sadie, dla mnie wyglądasz tak jak zawsze!

– Jasne, nie licząc tego. – Wskazałam na Idaho i Bezimienną.

– Nie to widzę.

– Ciekawe, bo wszyscy inni tak.

Parsknął.

– Boże, chętnie bym przykopał w jaja Grayowi Garrisonowi. – Usiadł i pociągnął mnie za sobą do pozycji siedzącej. Wziął moją twarz w dłonie i spojrzał mi w oczy. – Popatrz na mnie.

Dzieliły nas centymetry, nie bardzo miałam wyjście.

– Masz piękną twarz, ale ja nie jestem płytkim dupkiem, który się zakochuje w twarzy. Słyszysz?

Mówił cudownie zachrypniętym głosem.

– Tak. – Zmusiłam się do odpowiedzi.

– Mogłabyś wylecieć przez milion samochodowych szyb i to by nic nie zmieniło.

Nachylił się do mnie.

Zetknęliśmy się nosami.

Pomyślałam o jego ustach.

Byłam pewna, że zaraz zamknie oczy, ale tego nie zrobił.

Przechylił głowę, co stanowiło ewidentne zaproszenie, ale trzymał się wciąż na tyle daleko, żebym miała wybór. Przesunął dłoń na moje biodro i pod tym dotykiem przebudziła się od dawna uszpięta część mnie. Podjęłam decyzję.

Pocałunek może być pocałunkiem, a może być wydarzeniem.

Max McCall przez całe życie był dla mnie kimś ważnym. Nigdy w ten sposób, ale zawsze, gdy mieliśmy trzy lata, dziewięć, dwanaście i piętnaście. I przez cały zeszły rok. I w każdej chwili pomiędzy. Przyjaciele okazali się przyjaciółmi, którzy się stali kimś więcej niż przyjaciółmi.

– Nie zwracałam na ciebie uwagi, gdy byliśmy dziećmi – przyznałam, gdy mogliśmy znów mówić.

Wsunął mi kosmyk jasnych włosów za ucho.

– Bo byliśmy dziećmi.

– Tak, ale byłeś też młodszym bratem Trenta.

– Ciągle nim jestem. – Wahanie zniknęło i oparł się na wyprostowanych rękach. – Wyglądam jak on.

– Wyglądasz też jak ty.

Pocałował mnie jeszcze raz.

Gdy skończyliśmy i znów patrzyliśmy w gwiazdy, wyskrzypiał kilka słów:

– Ale gwiazdy dziś hałasują.

To prawda. Kilka chwil upłynęło w przyjemnej ciszy. Kilka razy naliczyłam zbiory po sto gwiazd i dla odmiany wypatrywałam wzorów w ciemności, a nie w świetle.

W zeszłym roku nie mogłam znaleźć spokoju. Szukałam go u Metalowego Pete'a, na terapii, w długich biegach po plaży, czarnym oceanie pełnym iskier i w wielu innych miejscach. Ale dziś, otoczona łagodnością mojego przyjaciela, wyciągniętego na moło obok mnie i oddychającego tak rytmicznie, że zlewał się z uderzeniami fal, poczułam, że spokój mam w zasięgu ręki.

Prawie całe życie spędziłam w grupie. Potem miałam okres samotności. Miło było wreszcie mieć kogoś, z kim można pomilczeć.

Zerknęłam na Maxa, a ponieważ leżał wpatrzony w niebo, pozwoliłam sobie na jeszcze kilka spojrzeń.

Max. Wysoki, opalony. Wyciągnął ręce nad głowę, więc nad paskiem spodni widać było kawałek skóry. Twarz miał zamyśloną, po dziecięcemu zachwyconą, słodką i atrakcyjną. Bardzo długo leżał bez

mrugnięcia. Tak, jak w łóżku Trenta. To mi się w nim podobało. Ten zapach do życia.

Jak to się stało, że leżysz teraz koło mnie?

Tak długo panowała cisza, że nie wiedziałam już, czy zadałam to pytanie w myślach, czy na głos. Gdy odpowiedział, zamarłam.

– Gray nie zna języka gwiazd.

Twarz miałam rozpaloną jak w gorączce i błagałam ciemność, żeby mnie pochłonęła, tu, na miejscu.

Max nawet nie spojrział w bok, żeby zobaczyć, co ja na to. Spłynął na mnie jego spokój. Ostatnio często z niego korzystałam.

– Co ci mówią gwiazdy?

Oparł się na łokciu i udawał, że nadstawia ucha.

– Mówią... Mówią, że wolno ci sobie wybaczyć.

Odwróciłam wzrok. On zrobił to samo.

– Co? – spytałam.

– To, że żyjesz.

– Nie idzie mi – przyznałam.

– Właśnie bez wahania kogoś pocałowałaś. Może idzie ci coraz lepiej?

– A może to dzięki tobie?

Nie kłócił się.

Rozdział 17

Kilka maili do Maxa, gdy był w Salvadorze.

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 27 października

Temat: gra

Max,

chciałbyś w coś zagrać? Gray i ja kiedyś uwielbialiśmy grę w powiedz mi coś, o czym nie wiem.

Zasady są dokładnie takie, jak słyszysz.

Ja zacznę.

Kąpałam się kiedyś nago.

Jeśli chcesz dołączyć, napisz mi coś, o czym mi nigdy nie mówiłeś.

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 29 października

Temat: re: gra

W zeszłym tygodniu Fletcher mi powiedział, że dwa najpotężniejsze słowa świata brzmią: „Ja też”.

Wierzę mu, he, he. W każdym razie w kwestii kąpania się nago. Nie wiedziałam, że kręciłeś z Candace!

Kolejna rzecz, o której nie wiesz:

jak pierwszy raz graliśmy w paintballowych piratów, to ja postrzeliłam Trenta. Pamiętasz, jaki był pewny, że to Callahan?

Twoja kolej!

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 4 listopada

Temat: Callahan

No tak, Trent i Callahan byli z sobą blisko. Odzywał się do ciebie? My parę razy SMS-owaliśmy. Niedawno spytał, czy mam ochotę pojechać na motorze, ale odpisałam, że jeszcze nie jestem gotowa.

À propos, następna rzecz, o której nie wiesz:

Trent i ja pożyczaliśmy motor Callahana i jeździliśmy po okolicy.

Co dalej?

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 5 listopada

Temat: genialne

Max,

to było genialne! Tęsknisz za nią?

A ja jestem pewna, że Callahan na mnie nie leci. Nie jestem w jego typie. Zresztą, teraz nie jestem w niczym typie. Po prostu wiedział, że braliśmy jego motor, i chciał mi zaoferować coś, co lubiłam. Callahan jest świetny. Muszę się do niego odezwać.

Coś, o czym nie wiesz:

w tym tygodniu zamierzałam dojechać do Fontanny Młodości. Co spowodowało się do tego, że wsiadłam do samochodu rodziców i wrzuciłam wsteczny. Potoczyłam się może metr.

Powiedz mi coś!

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 12 listopada

Temat: re: genialne

Właściwie nie wiem, czemu ta Fontanna jest taka ważna. Może dlatego, że chcieliśmy z Trentem tam pojechać, jak byliśmy mali. Albo dlatego, że to był nasz ostatni plan. A może z powodu ozdrowienia, jakie Fontanna oferuje. Przydałoby mi się. Muszę znaleźć sposób, żeby się tam dostać.

To, że napisałeś, że jestem w czyimś typie, jest uprzejme.

Z tym się wiąże kolejna rzecz, o której nie wiesz:

boję się, że już nigdy się nikomu nie spodobam. Że nigdy nikogo nie pocałuję bez wahania.

Twoja kolej. (To nie musi być coś tak poważnego).

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 13 listopada

Temat: kłamstwa

Max,

to się nie kwalifikuje jako rzecz, której mi nie mówiłeś.

To musi być prawda.

Poza tym gadasz jak moja mama. Wewnętrzne piękno to tylko krok od „jesteś piękna w środku”. Nie twierdzę, że to miałaś na myśli, ale mówię ci tylko, że żadna dziewczyna nie chce grać w drużynie wewnętrznego piękna.

Dobra, teraz ja mówię Ci coś, o czym nie wiesz:

muszę coś powiedzieć Ginie i Grayowi, ale nie wiem jak. Przyjęli pewne złe założenia, a ja się miotam między odruchem samoobrony a powiedzeniem prawdy. Myślisz, że istnieje coś takiego, jak dobre kłamstwo?

Teraz Ty.

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 20 listopada

Temat: MY?

Max,

wow, Twoje coś, czego nie wiem, trochę mnie zmiotło. Miałeś na myśli nas jako parę?

Jeśli tak, to naprawdę, jesteś kochany, że próbujesz sprawić, żebym się znów poczuła pożądana, ale naprawdę nie musisz. (Widzę, że jednak wierzysz w dobre kłamstwo ☺). Ty mieszkasz tam, ja tu. My, razem, to fatalny pomysł. Twoje maile to i tak więcej niż wystarczająco dużo. Nigdy na tyle nie liczyłam.

Ale moje coś, czego nie wiesz, to dzisiaj:

gdybyś Ty nie był tam, a ja tu... I gdybym ja nie była mną... ale Ty byłbyś wciąż Tobą, bardzo chętnie pozwoliłabym Ci mnie lubić.

Dawaj.

Sadie

Rozdział 18

Tydzień się dłużył, czas ciekł jak woda z zepsutego kranu. Gina napisała mail, a Gray SMS-ował. Oboje namawiali na grę w paintballowych piratów.

Zignorowałam ich, co odniosło tylko taki skutek, że zaczęli pisać częściej.

Nie tylko oni poruszyli ten temat. W czwartek rano Max czekał na mnie na tylnej werandzie. Poszedł za mną do skrzynki.

– Poczta przychodzi później – zdziwił się. – Prawie na pewno po wschodzie słońca.

Co ma na myśli? Nie dałam się złapać na haczyk, jeśli mu o to chodziło.

– Zapomniałam zajrzeć wczoraj.

– Spodziewasz się listów miłosnych? – spytał żartobliwie.

Odpowiedziałam wymijająco:

– A piszesz do mnie jakież?

– Może.

Trącił mnie łokciem i mrugnął. Napiłam się soku pomarańczowego, którego sobie nalałam w kuchni, i głośno przełknęłam.

– Pora pisania listów już minęła – przypomniałam mu znacząco.

– Zapamiętam. A pomijając skrzynkę, dokąd się tak śpieszysz rano?

Nie chciałam mu mówić o Metalowym Pecie. Nie wspomniałam o tym w listach, bo się bałam, że nie zrozumie mojej obsesji.

– No...

Odwrócił wzrok i zacisnął szczęki.

– Widujesz się z Grayem?

– Nie! – zaprotestowałam szybko. – Dobra, pokażę ci, ale nie komentuj. Okej?

– Wolę wiedzieć niż się zastanawiać.

Przyniosłam z garażu dwa kaski i usadowiliśmy się na skuterze.

– Wybrałaś to zamiast samochodu, bo jeździliście z Trentem na motorach? – zasugerował, gdy zatrzymywałam się na parkingu przed budką Jenni.

– Nie. A może? Nie zastanawiałam się nad tym.

– Jakież postępy w jeżdżeniu autem?

– Nie.

– Wrócisz – zapewnił. Zaparkowaliśmy pod kawiarnią i podeszliśmy do okienka.

– Nie mogłam się już doczekać, aż cię poznam! – Jenni oparła się o parapet.

– To właśnie Max.

– Od Maximiliana? – zaczęła, a on się zarumienił.

– Od Maxwella – skorygował.

– A jaką nasz Maxwell lubi kawę?

Poprosił, żebym wybrała za niego. Zamówiłam to, co zwykle plus mieszankę kawy Pacho Nuevo i dwa pączki wiedeńskie.

– Dobry wybór! – pochwalił, gdy Jenni poszła szykować zamówienie. – Czyli... Rozmawiasz o mnie z panią z kawiarni? – Policzki miał różowe jak niebo podczas wschodu słońca.

– Tak. I mówię o tobie Maximilian.

Odjechaliśmy wyposażeni w zapas cukru i kofeiny. Uznałam, że przyda nam się przed pierwszym zetknięciem Maxa ze złomowiskiem. Boże, nie chciałam, żeby ten uśmiech zniknął z jego ust.

Gdy podjechaliśmy pod bramę, widziałam w jego oczach niezadane pytania. Patrzyłam, jak obserwuje rzędy samochodów. Na powitanie wybiegła Czołówka, więc ich sobie przedstawiłam.

Psy coś w sobie mają. Rozumieją. Lepiej niż większość ludzi. Potraktowała Maxa z niezrównaną psią czułością. Pożądane wsparcie przed wyprawą do yariski.

Poszliśmy do biura, ale Pete'a nie było, więc zostawiłam mu na drzwiach karteczkę, a Maxowi wyjaśniłam, że to złomowisko to moje sanktuarium.

– Przyjeżdżasz tu codziennie? – spytał, popijając kawę.

– Prawie.

– I co robisz?

– Gadam z Metalowym Pete'em, oglądam samochody i... siedzę w yarisce.

– Yarisce Trenta? – Zaskoczenie dodało jego głosowi mocy.

– Tak.

– Chryste.

– Wiem, to dziwne.

– Raczej... nieoczekiwane – sprecyzował ostrożnie.

– Szukam tu odwagi.

Rozejrzał się wkoło. Przyjrzał się cmentarzysku z metalu i spytał:

– Znajdujesz?

– Coś tak.

Myślałam, że uzna to za obrzydliwe, ale on wyjął z torebki pączka, przytrzymał w zębach i poprosił:

– Pokaż mi. – A potem go pożarł.

Po drodze do miejsca, gdzie mieszkała yariska, Czołówka szła między nami.

– Tu jest jak na cmentarzu.

– Wcale nie. Na cmentarzu wszystko się kończy. A to jest jak wielki sklep z częściami zamiennymi. –

Wskazałam na camaro. – Patrz. Lusterka, opony, kierownica, może nawet siedzenia kubełkowe. I kto wie, co spod maski. Wszystko się nadaje do ponownego użycia.

– Ktoś kupił coś z yaris?

– Zobaczysz.

Gdy dotarliśmy do auta Trenta, Max obszedł je kilka razy wkoło. Nie przeszkadzałam mu. Potrzebował

tej chwili, tak jak ja. Czołówka szła za nim, trzymając się stale w zasięgu głośzącej ręki. Max otworzył drzwi po stronie swojego siedzenia. Zazgrzytały złowrogo, ale razem z psem wgramolili się do środka i usiedli na podłodze, bo tylnego siedzenia już nie było. W środku musiało być ze trzydzieści stopni, ale Max nie zamierzał uciekać.

Odeszłam kawałek dalej, żeby mógł się spokojnie wypłakać. Zajął się aktualizowaniem mojej listy na zakurzonej masce starego buicka.

1. Pokazać się w koszulce na ramiączkach.
2. Pójść na rozdanie matur.
3. Przebaczyć Ginie i Grayowi. Powiedzieć im prawdę.
4. Przestać podążać za kimś i zacząć przewodzić.
5. Znow jeździć samochodem.
6. Odwiedzić Fontannę Młodości.

Gdy się wpatrywałam w te sześć linijek, zauważyłam coś, na co nie wpadłam na plaży. Siedem punktów zmieniło się w sześć. Okazało się, że lista tego, co niemożliwe, się skraca.

Ktoś mógłby się uśmieć z mojego odkrycia. I dobrze, niech się śmieje. Cholernie trudno jest iść naprzód.

Po raz pierwszy od roku poczułam, że jestem z siebie dumna.

Rozpostarłam ramiona w stronę niebieskiego nieba, które nawet tutaj, tak daleko od oceanu, pachniało solą, i podziękowałam Bogu za witaminę D i możliwości. Potem zdjęłam bluzkę z długim rękawem i jak idiotka tańczyłam wkoło. Taki miałam przypływ odwagi.

Zatrzymałam się na dźwięk klaskania.

Odwróciłam się i zobaczyłam Maxa wyłazącego z yariski. Był cały czerwony, ale się uśmiechał. Zawstydziałam się tego tańca na złomowisku, na którym na dodatek przyłapał mnie mój chłopak, więc szybko włożyłam bluzkę, ale nie przestałam się uśmiechać.

Spotkaliśmy się w połowie drogi.

– Miałaś na sobie koszulkę!

– No tak.

Przyjrzał się mojej liście i wykreślił pierwszą pozycję.

– Nie jestem pewna, czy się liczyło, skoro nie wiedziałam, że patrzysz.

– Najważniejsze, że zrobiłaś pierwszy krok.

– A ty zrobiłeś? – Wskazałam na samochód.

– Nie, ja zrobiłem ostatni.

Wzięłam go za rękę i zatrzymałam go, żeby nie szedł dalej. Zdjął mi z głowy kapelusz, przycisnął mi do pleców i mnie objął. Oddychaliśmy głęboko, aż nasze klatki piersiowe zaczęły się unosić i opadać w jednym rytmie.

Przywarliśmy serce do serca.

Tańczyliśmy, nie ruszając się z miejsca.

W końcu się odezwał.

– Przeżyliśmy.

– Właśnie!

Przycisnął mokry policzek do mojej twarzy.

– To dlatego tu przychodzisz.

– To dlatego tu przychodzę – powtórzyłam.

– Podoba mi się ten sposób myślenia, Kingston.

– Mnie się podoba, że rozumiesz, McCall.

W drodze powrotnej do skutera zajrzałam do biura. Metalowy Pete wrócił. Podziękował za kawę i pączki i przeprosił, że go nie było, gdy przyjechałam.

– Mam do ciebie prośbę – zaczęłam.

– Dawaj.

Słowa wypłynęły ze mnie same:

– Pomożesz mi znów zacząć jeździć samochodem?

Metalowy Pete triumfalnie zastukał palcami w biurko i zawołał:

– Do diabła, dziewczyno, nawet ci samochód dorzucę!

– Przecież twoje samochody nie jeżdżą – zażartowałam.

– To będzie prezent, więc nie wybrzydzaj.

Rozdział 19

Wszechświat widocznie uznał, że dość tej ekstazy, i cisnął we mnie prozą życia, która objawiła się pod postacią mamy.

Czekała przy drzwiach z kopertą w ręce.

Schowałam ją do kieszeni. Nie zamierzałam jej otwierać w salonie.

– Posłuchaj – zaczęła mama. – Rozmawiałam z McCallami, Adlerami, Garrisonami i... – wiedziałam, że zmierza do paintballowych piratów – ...wszyscy uważają, że powinniśmy wskrzesić tradycję.

Przed wypadkiem nasze cztery rodziny angażowały się tę zabawę co roku. Szpital, w którym pracowała wtedy Sonia, finansował takie imprezy i braliśmy w nich udział od lat. Kto by nie chciał? Przebieranie się za piratów i naporzanie kulkami z farbą to przecież hit! (Chyba że człowiekowi przytrafia się niespodziewana niechęć do tłumów). Z czasem zabawę odbywającą się w soboty rano rozciągnęliśmy na cały weekend. W piątek nasza czternastka (albo piętnastka, jeśli Maggie, siostra Graya, była akurat w domu) ładowała się do łodzi McCallów razem ze sprzętem i płynęła na pobliską wyspę, na tamtejszy kemping, gdzie się wszystko odbywało. A gdy już wyłoniliśmy paintballowych mistrzów, łowiliśmy skorupiaki, ryby i obozowaliśmy, spędzając weekend na plaży.

– Mamo?

Podniosła rękę, sygnalizując, że mnie nie dopuści do głosu.

– Od dawno nie robiliśmy nic całą rodziną. – Potem rzuciła coś na ośłodę. – No i będziesz z Maxem.

Dorzuciłam trochę prawdy:

– Oraz z Grayem i Giną.

Pokiwała głową.

– Może to będzie okazja do zacerowania paru dziur.

– Nie jesteśmy kocem.

Wyposażona była w milion innych argumentów i strzelała nimi jak z armaty:

– Przecież uwielbiasz paintball! I kemping! Tata się upiera, żebyś częściej wychodziła, a to będzie dobry trening przed...

– Mamo, pójdę, spoko. – Unosiłam się na fali porannego sukcesu. – I skopię wszystkim dupy podczas paintballu.

Podniosła rękę, żebym jej przybiła piątkę. Przybiłam. Mocno, ale nie za mocno.

– O to chodzi! – zawołała i nawet mnie nie ochrzaniła za brzydkie słowo.

Poszłam z kopertą do siebie, zanim zaczęła śpiewać harcerskie piosenki. Wielkie oczy śledziły mnie na trasie od łóżka, przez fotel aż do szafy.

– Na co się gapisz, paplo? – spytałam strusia.

Otworzyłam kopertę i przygotowałam się na kolejną porcję zwróconych przez niego słów. Notatka z pierwszej klasy liceum.

Przekonałyśmy z Giną Trenta, Graya i Maxa, żebyśmy się urwali ze szkoły i pojechali do parku wodnego. Genialny pomysł!

– od przyjaciela, któremu zależy

Zaledwie tydzień temu Gina i Sonia wróciły w rozmowie do tamtego dnia.

Położyłam się na łóżku.

„Przyjaciel, któremu zależy”. Sonia nigdy nie nazwałaby się przyjacielem. Ona była rodzicem.

Ale Gina jak najbardziej mogła.

Słowo „przyjaciel” nie pojawiło się w pierwszym liście, ale w drugim już tak. Teraz na dodatek on lub ona upierali się, że im na mnie zależy. Cudownie. Ten ktoś miał jakieś braki w zakresie emocjonalności. Poza tym listy się zmieniały. Pierwszy, ten o pływaniu nago, dotyczył Trenta i mnie. Drugi, o skakaniu z mostu, mówił o Grayu. Trzeci był o całej naszej piątce. Która nie spotykała się w komplecie wcale tak często.

Czy to coś znaczyło?

Że Gina i ja nie zostałyśmy wyróżnione indywidualnym wspomnieniem, a ona wystąpiła tylko jako jedna z grupy?

Przypomniałam sobie tamten dzień i szukałam wskazówek.

Mnie pierwszą olśniło, że słońce jest zbyt cudowne, żeby iść do szkoły. Chodnik prowadzący do Coast Memorial High School wiódł ku nudzie i monotonii. W taki piękny dzień!

– Słuchajcie, nie mogę...

– Czego? – spytał Trent.

– Tu być. W środku. Rozejrzyjcie się! Spędzić taki dzień szkole to prawie zbrodnia!

Trent i Gina zatrzymali się w pół kroku. Nigdy jeszcze nie poszliśmy na wagary, co oznaczało, że możemy sobie na to pozwolić. Pokorne posłuszeństwo wobec systemu zapewniło nam odrobinę luzu.

Gina zmarszczyła czoło i słuchała z zainteresowaniem.

– Co masz na myśli?

– Uważam, że to idealny dzień na wodne zjeżdźalnie w Cannon Balls.

Gina zerknęła na Trenta, który już kiwał głową.

– Święta racja, Sadie May. W twoich słowach kryje się prawda, a naszym obowiązkiem jest iść w twe ślady.

– A ty co, mistrzu Yoda? – spytał szyderczo Gray.

Tylko Max nie odpuszczał myśli o szkole.

– Nawet jeśli pójdziesz na wagary, i tak musisz po mnie wrócić – przypomniał Trentowi.

– Nie chcesz jechać z nami? – Trent był tak rozemocjonowany, że bębnił palcami w dach yariski.

To pytanie zaskoczyło Maxa i aż uniósł brwi.

– Jestem zaproszony?

– Cóż mogę powiedzieć? Znaj moją hojność – ogłosił uroczyście Trent i uderzył się w pierś.

Ale Max chyba nadal nie był przekonany do wizyty w parku wodnym jako piąte koło u wozu, więc go objęłam i namawiałam:

– No chodź. Z tobą będzie jeszcze weselej.

To wystarczyło. Wpakował się na tylne siedzenie z Giną i Grayem. Oni przyjeżdżali ze swojej odległej części miasta jednym samochodem. Wzięli tylko zawsze spakowane torby z ekwipunkiem plażowym i zostawili vana jego mamy na parkingu. Pięć osób w yarisce to sporo, ale nie mogliśmy jechać na wagary samochodem jednej z mam.

– Masz szorty, braciszku? – spytał Trent.

– Podwinę spodnie – odparł Max i dodał: – Ale od razu wam mówię: mama się dowie.

Trent sięgnął do tyłu i poklepał go po kolanie.

– Nie dowie się, jeśli jej nie powiesz.

– Będę milczał jak grób – zapewnił Max.

Dotarliśmy do Cannon Balls, a on jak zwykle włożył się dwa kroki za naszą czwórka. Zauważyłam to i go zawołałam. Przyśpieszył. Dzień stał się jeszcze doskonalszy, gdy ustawiliśmy się w kolejce do kasy, ale chłopak, który niedawno skończył naszą szkołę, Winter Halson, wpuścił nas bez opłaty. Nawet wszechświat nie chciał, żebyśmy dzisiaj gnili w czterech ścianach!

Trent zanurkował do kasy przez małe okienko i poklepał Wintera w ramię:

– Dzięki, stary.

– Dla brata wszystko.

Trent miał talent do zjednywania sobie ludzi.

– Masz jaja, McCall! – krzyknął za nami Winter, gdy przechodziliśmy przez bramkę.

– To akurat był pomysł Sadie May! – odkrzyknął Trent i pocałował Ginę w policzek.

Godzinę później siedzieliśmy z Maxem na szczycie rury do zjeżdżania. Rzucił mi wyzwanie, które chętnie przyjął. Dotychczas pokonałam już Trenta, Graya i Ginę i skłonna byłam uznać, że to wystarczy, ale w Maksie obudził się potwór.

Tuż przed zjazdem twarz mu złagodniała i powiedział:

– Dzięki, że mnie dzisiaj zaprosiliście.

Zareagowałam tak, jak każdy na moim miejscu: odepchnęłam się od belki startowej, wyprułam naprzód i przez ramię krzyknęłam:

– Nie ma za co!

Wokół mnie słowa odbijały się echem. Woda niosła mnie naprzód, szybciej i szybciej, ku zwieńczeniu tego idealnego dnia. Byłam pewna, że wygram.

Ale Max, niech go szlag, pojawił się przede mną! Niech go szlag do kwadratu. Wyleciał z rury z taką prędkością, że zbombardował kobietę nieśpiesznie zmierzającą do części basenu ze spokojną rzeczka. Ratownik zagwizdał.

– Przepraszam! – zawołał Max, nawet nie patrząc w jej stronę. Odgarnął przyklejone do twarzy włosy i rozsiał wszędzie krople. Potem się do mnie odwrócił i z wyższością parsknął: – Zmiażdżyłem cię, Kingston.

Choć z technicznego punktu widzenia zmiażdżył raczej Sonię McCall, własną matkę, bo to na nią przed chwilą wpadł.

Otrząsnęła się z szoku, zanim Max się zorientował, co się dzieje.

– Maxwellu Lincolnie McCall, czemu nie jesteś w szkole?

Uuuu. Oba imiona i nazwisko, nie jest dobrze.

– Bo... No... – zatkał się. – Spędzić taki dzień w szkole to prawie zbrodnia! – dokończył niepewnie i spojrzał na mnie, szukając wsparcia.

Mrugnąłam do niego zza pleców Soni. „Masz jaja, McCall”, usłyszałam w głowie.

Sonia się odwróciła i wbiła wzrok we mnie. Kaptur jej mentalnej kobry stał już na baczność, a ona szykowała się do ataku.

– Sadie...?

Pomachałam jej.

– To naprawdę idealny dzień na park wodny.

Tara Kingston byłaby dumna ze spojrzenia, jakim sparaliżowała mnie Sonia. Skuliłam się, jak należało, ale tak naprawdę cała sytuacja wydawała mi się zwyczajnie śmieszna. Kurczę, bo naprawdę o co taka afera? Co więcej, czułam, że Sonia się ze mną zgadza, ale ponieważ miała pecha być rodzicem, musiała udawać. Poza tym przecież ona i pan McCall pracowali. Nie tylko my poszliśmy dzisiaj na węgry.

– Gdzie twój brat? – warknęła do Maxa.

Wskazał na duży zegar wiszący nad basenowym bufetem.

– Pewnie na zajęciach z języka. A może na psychologii?

Cudownie! Trent rzuciłby go na pożarcie wilkom.

I może nawet ta odpowiedź by przeszła, gdyby tylko Trent i Gina nie wypadli jednocześnie z wylotu zjeżdżalni, wzbudzając kolejną falę gwizdów ratownika. Sonia znów otarła oczy z chlorowanych kropli, dostojnie ruszając ku drabince. Poszliśmy za nią jak kacuszki, częściowo dlatego, że tak trzeba było, ale również z powodu ratownika, którego zaczynał już trafiać szlag.

Pan McCall poderwał się na fotelu – najwyraźniej drzemał – i zanim do niego dotarło, że Maxa nie powinno tu być, zawołał radośnie:

– Cześć, synu.

– Cześć, tato.

– Gdzie jest Gray? – zaczęła rozglądać się Sonia. – I nawet nie próbujcie kłamać. Wiem, że gdzie jedno z was, tam cała reszta.

Gray wykazał się doskonałym wyczuciem czasu. Pojawił się jak na wezwanie, niosąc lody z mrożonego pomarańczowego soku. Schował je za plecy i uśmiechnął się czarująco.

– Dzień dobry!

W ciągu godziny Sonia wyprowadziła nas z basenu i dostarczyła z powrotem do szkoły. Przez następne tygodnie żyliśmy jak skazańcy: bez samochodów, spotkań... Ale żadne nie żałowało tego poranka. Najlepszy dzień tamtego roku. Absolutnie genialny.

Naprawdę, kto inny miał takie szczęście?

Oto całe wspomnienie.

Czyli nadal byłam w kropce. No, nie licząc rosnącego przekonania, że „przyjacielem, któremu zależy” jest Max, Gray albo Gina.

Między dwoma pierwszymi listami Gray wyznał, że ciągle mnie kocha, Max wrócił z Salwadoru, a Gina po raz kolejny mnie przeprosiła. Między kolejnymi skonfrontowałam się z Grayem, dostałam zapaści w przymierzalni z Giną i zbliżyłam się z Maxem. Z nich wszystkich Gina zachowywała się najmniej podejrzanie.

Co oznaczało... Zupełnie nic.

Niech to szlag, co za burdel. Co ja miałam zrobić? Zastosować metodę ene, due, like, fake? Obserwować skrzynkę pocztową? Czekać, aż któreś z nich się przyzna, zamiast ryzykować oskarżenie niewłaściwej osoby?

Nie przejmowałabym się aż tak, gdyby ten ktoś nie przeszukiwał Biga. Może to nie był mój pamiętnik, ale i tak chowałam w nim bardzo osobiste zapiski. Do mnie powinien należeć wybór, czy zachować te treści dla siebie, czy się nimi podzielić. Jak na przykład w kwestii szwów dorysowywanych mazakiem.

Nie licząc jednak intencji przesyłającego, te wiadomości przypominały mi, jak było w poprzednim życiu.

Ten aspekt był niemal przyjemny.

Niemal.

Rozdział 20

Kilka maili do Maxa, gdy był w Salvadorze.

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 3 stycznia

Temat: re: re: Wielkie Wyjaśnienia

Siedzę w poczekalni u lekarza i czekam, aż mnie wywołają. Zapewne mam mnóstwo czasu na dokończenie opowieści o tym, jak to się stało, że zaczęłam wpychać notatki do Biga. Część pierwsza: wygranie Biga.

Nigdy bym go nie miała, gdyby Twój brat nie uznał, że kupi mi na dwunaste urodziny najbrzydszą przytulankę świata. Pokazał mi ją za ladą w sali z automatami.

– Ten, widzisz? Niebieski struś, obok zielonej świni. Tę dla ciebie wygramy, Sadie May.

Za 1800 punktów.

Gray wykalkulował, że powinniśmy zdobyć wszystkie punkty, grając w skeeball.

Boże, jakie emocje! Tak skakaliśmy i wrzeszczeliśmy, że równie dobrze mogliśmy kibicować finałom World Series. Gdy doszliśmy do tysiąca pięciuset punktów, chłopak z kasy się do nas dołączył. Tego wieczoru nie było wielkiego ruchu, więc stanowiliśmy dla niego jedyną rozrywkę. Nie wiem, kto zaczął nazywać strusia Bigiem, ale przyjęło się od razu.

Gray chciał sam zdobyć ostatnie punkty, więc ja i Gina się wycofałyśmy i obserwowaliśmy tylko stan konta. Był tak rozemocjonowany, że mnie podniósł i cmoknął w policzek. Zrobiłam się tak czerwona, jakby to był co najmniej pocałunek z języczkiem. Ale to jeszcze nie był ten etap. On miał trzynaście lat, a ja dwanaście. Całowanie się było taką abstrakcją, jak wejście na Everest.

Ale ciągle pamiętam, dlaczego tamta chwila wydała mi się tak wyjątkowa. Czuję się chciana. Rozumiesz? Ten cmok w policzek to nie był buziak, tylko deklaracja tego, że chce więcej.

Dobra, tak czy siak, pięć po ósmej wieczorem wyszliśmy z centrum rozrywki z najbrzydszym na świecie Bigiem.

Część druga: faszzerowanie Biga.

Mama zabrała nas na chińskie jedzenie. Opowiedzieliśmy jej, jak wygraliśmy Biga. Zauważyła, że moje trofeum ma w brzuchu dziurę. Myślała pewnie, że wydaliśmy jakieś osiemdziesiąt dolarów na coś nic niewartego.

Uśmiech zrzędł mi na twarzy, ale Trent natychmiast wyjął papierek z wróżbą ze swojego chińskiego

ciasteczka, zwinął w rulonik i wsadził do Biga przez tę dziurkę.

– Przynajmniej będziesz wiedziała, że w środku jest dobry towar.

Boże, on zawsze miał genialne pomysły, prawda?

Potem wszyscy po kolei włożyli swoje wróżby do Biga, a mama i Gina zaśpiewały mi *Sto lat*.

Tak się zaczęło.

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 12 stycznia

Temat: re: re: re: Wielkie Wyjaśnienia

Max,

nie, Big nie jest jeszcze pełny. Te karteczki są zwykle małe, a ja nie zapisuję wszystkiego. Tylko takie chwile i sprawy, których nie chcę zapomnieć.

Fletcher twierdzi, że powierzam Bigowi rzeczy, które powinnam mówić przyjaciołom, i ta przytulanka stała się dla mnie mechanizmem ochronnym. Zasugerował też, że Big pozwala mi się wycofać i upchnięte w nim wspomnienia są związane przede wszystkim ze mną, Grayem, Trentem i Giną.

Chciałby, żebym: a) wyjaśniła sprawy z Grayem i Giną, b) znalazła jakąś aktywność, która umożliwi mi poznawanie nowych ludzi. I pozbyła się Biga.

Nie chcę nowych przyjaciół. Tylko, żeby starzy przyjaciele zachowywali się jak dawniej.

Co niestety nie jest takie proste, bo w tym celu ja też musiałabym się zachowywać jak dawniej, a chyba nie dam rady.

Sadie

Rozdział 21

Dzień gry w paintballowych piratów zbliżał się coraz bardziej. Tydzień, trzy dni, jutro. Usiłowałam przestać o tym myśleć, co spowodowało, że myślałam nieustannie. Właściwie dobrze, bo nie skupiałam się na zbliżającej się rocznicy i pustej skrzynce na listy, którą od dwóch wieczorów obserwowałam. Może wystraszyłam nadawcę.

Przebiegałam więcej kilometrów po piasku, niż pokonywałam samochodem w czasie lekcji z Metalowym Pete'em. Gina wysyłała SMS-y, a ja odpowiadałam na każdy. Kompulsywnie przepisywałam swoją listę, wyczekując chwili, kiedy będę mogła któryś punkt skreślić. Bo to by oznaczało postęp.

Utknęłam na sześciu. Ewentualnie pięciu, gdyby zaliczyć pół punktu za siedzenie w samochodzie i drugie pół za pokazanie się Maxowi w koszulce na ramiączkach.

W zeszłym tygodniu Fletcher zapewnił, że obie połówki mi się należą.

Potem rozmawialiśmy o Maxie i wyznaniu Graya.

– Domyślałam się, że jego słowa cię skołowały? – spytał Fletcher.

– Nie, wkurzyły mnie! Jeśli wciąż mnie kocha, to niech na mnie patrzy!

– Spytałaś, czemu tego nie robi?

Fletcher też mnie wkurzał tymi sugestiami, żebym nie poprzestawała na domysłach, tylko szukała przyczyny.

Zamiast odpowiedzieć, zażartowałam:

– Wiem bez pytania. Moje blizny są tak wielkie, że mogłyby same iść na karaoke.

– Max na ciebie patrzy?

– Jak na razie – przyznałam.

Max patrzył na mnie w tej chwili. I się uśmiechał.

Leżałam na jego łóżku i czytałam książkę, a on raz za razem wspinał się na ściankę.

Książka to była przykrywka. Uwielbiałam go obserwować w czasie wspinaczki.

Zrobił się z tego nasz mały rytuał. Po bieganiu brałam prysznic i przychodziłam do niego. Sonia i pan McCall nie mieli nic przeciwko, byle tylko drzwi do pokoju były otwarte, a moi rodzice machali ręką, skoro Sonia i pan McCall byli w domu. Oczywiście znaleźliśmy sposoby na ominięcie tych utrudnień, ale jak na razie przestrzeganie zasad przychodziło mi bez trudu. Intymność, wymagająca rozebrania się, wymagałaby odsłonięcia blizn, a to wciąż wydawało mi się poza zasięgiem.

– Masz tyle... – odłożyłam książkę – wdzięku.

Zrobił ruch, po którym ja na pewno runęłabym na materac: odchylił głowę i popatrzył na mnie do góry nogami.

– Nie wiem, gdzie ty to widzisz – wystękał. Zakołysał się, nie znalazł oparcia dla stopy i spadł. Odbił się od materaca. – O, proszę!

Nieważne. Ja widziałam tancerza na pionowej powierzchni. Wydawało mi się, że porusza się bez wysiłku. Kręgosłup gwałtownie się jak plastelina, gdy wyszukiwał nowych punktów podparcia.

Dwa upadki później opadł na matę i zaczął masować opuchnięte przedramiona.

– Twoja kolej – zaproponował.

– Nie.

Jeszcze nie próbowałam przymierzyć się do tej jego pasji. Już i tak dużo rzeczy w życiu odbierało mi pewność siebie, po co dodawać kolejną? Wetknęłam nos z powrotem w książkę, a Max wrócił na ściankę.

Przeczytałam jeszcze piętnaście stron.

Usłyszałam, że się zbliża, i zaraz położył się obok. Przysunęłam się do niego i nie odkładając książki, zanurzyłam palce w jego włosach. Jeśli faktycznie starał się wykonać jakiś ruch, nie zareagowałam specjalnie seksownie.

– Dziękuję – powiedziałam.

– Że cię zaczepiam? Przeszkadzam w czytaniu? Jestem jednym z tych wkurzających koleś, którzy się domagają uwagi? – podpuszczał.

– Nie wkurza mnie to.

– To dobrze, bo to podoba mi się znacznie bardziej niż pisanie listów.

Pocałowałam go w nos.

– Fakt. Mailem nie mogłabym tego zrobić.

Zbliżył się na tyle, że nic nas już nie dzieliło.

– Tego też nie? – Wsunął mi dłoń pod koszulkę na plecach i mnie pocałował.

By powstrzymać rozwój wydarzeń, poderwałam się i podeszłam do ścianki.

On ułożył się na stercie poduszek. Ponieważ miał dobre serce, zgodził się na radykalną zmianę tematu.

– Tylko pamiętaj, że we wspinaczce liczą się centymetry.

– Czy to ma być wyzwanie? – spytałam.

– Chyba żartujesz. – Przekręcił się, żeby lepiej widzieć, ale ja uważałam, że nie ma sensu, bo to będzie krótka piłka. – Wejdiesz na samą górę – dodał i podniósł jeden palec, jakby chciał wyjaśnić, że chodzi o pierwszy raz.

O tym oczywiście nie było mowy, ale miło mi się zrobiło, że we mnie wierzy.

Natarłam dłonie kredą, tak jak on za każdym razem, znalazłam dwa dość niskie punkty zaczepienia i się podciągnęłam.

– Ładnie! – orzekł.

Brakowało mi jego wdzięku, ale nie szło mi też koszmarnie. Każdy ruch był zwycięstwem. Człowiek nie zna wagi swojego ciała, dopóki nie spróbuje go utrzymać, wisząc na palcach. Dwa ruchy później byłam wyczerpana. Zamarłam i po prostu nie potrafiłam zmusić prawej ręki do puszczenia się i znalezienia następnego punktu.

Max wskazał na podpórkę, na którą też miałam oko.

– Złap ten czerwony.

– Nie mogę.

Mikroskopijny choćby ruch i runę w dół, więc zamiast próbować, wisiłam, jakbym pod sobą miała piętnaście metrów, nie półtora. Zaskoczyło mnie to. Miałam siłę, żeby wisieć, ale żeby ruszyć naprzód – już nie.

– Jeszcze jeden ruch i możesz odpocząć – szepnął.

Dziesięć centymetrów. Wyciągnęłam mały palec w kierunku podpórki.

– No dawaj, ciało, ruszamy!

Ale nieważne, jak się motywowałam, palce bolały, a nogi drżały. W końcu musiałam się puścić i runęłam na materac.

– Super ci poszło – ocenił Max.

– Tak. – Pokiwałam głową z udawanym przekonaniem. – Zwłaszcza jak utknęłam, to było genialne.

– Nie przejmuj się. Na początku tak się kończyły wszystkie moje próby.

Masowałam obolałe dłonie.

– I jak to się stało, że się nauczyłeś?

– Spadałem i to mnie nie zabijało. Stwierdziłem więc, że skoro i tak mam spadać, to mogę z wyższej wysokości.

Jego słowa interpretowałam, mając na uwadze raczej skrócenie mojej listy niż poczynienie postępów we wspinaczce. Jak dziwne rzeczy człowiek bierze do siebie.

– Spróbujesz jeszcze raz? – spytał.

Na pewno. Będę próbowała, aż pokonam każdą ścieżkę na tej ścianie. Ale nie teraz. Miałam inny pomysł.

– Co byś powiedział na wizytę w gofrowni? – spytałam i kusicielsko uniosłam brew.

– Tak! – Od razu wystartował do drzwi.

Złapałam go z tyłu za koszulkę.

– Nie tędy. – Wskazałam głową na okno. – Tą drogą jest fajniej.

– Proszę bardzo! – Odwrócił się do mnie.

– O co ci chodzi?

Uśmiech Maxa aż oślepił, księżyc nie był nam potrzebny do oświetlenia drogi.

– Wraca twoja szalona natura!

– O tak, żeby iść do Waffle House trzeba być szaleńcem!

– Nie wyśmiewaj się z mojej definicji szalonej duszy! – udawał, że się złości.

Podniosłam ręce, jakbym zamierzała się poddać.

– Nawet bym nie śmiała, kiedy na szali są gofry z bekonem.

Włożył mi na głowę kapelusz z logo uniwersytetu w Salwadorze, pocałował i wyszedł za mną przez okno, prosto w noc.

To tylko knajpka z goframi, ale miał rację. Gdy gramoliłam się przez parapet, poczułam, że ożywa we mnie ta część, którą bardzo lubiłam.

Dzięki Bogu za Waffle House i Maxa McCalla.

Rozdział 22

W piątek rano słońce świeciło pełną parą i nawet ja nie zamierzałam się upierać, że nie jest przyjemnie. Lepiej się bawić w paintballowych piratów w słońcu niż w deszczu.

Wytarłam się po długim prysznicu. Wiedziałam, że następny wezmę dopiero w niedzielę wieczorem. Pakowałam się i wyobrażałam sobie Trenta pukającego w moje okno pirackim mieczem i pytającego, czy w tym roku wygra. Pierwszy raz bez niego.

– Przykro mi, przyjacielu. Nie tym razem – szepnęłam do tego wspomnienia.

Mój telefon zawibrował.

Max: „Chyba będę potrzebował pomocy przy kostiumie”.

Ja: „Dobra”.

Max: „Jesteś gotowa?”

Ja: „Chyba tak”.

Max: „To do zobaczenia”.

Dopracowałam swój kostium, a potem mogłam już tylko czekać na godzinę siedemnastą, gdy wszystkie nasze cztery rodziny spotkają się w domu McCallów. Mama wyglądała przybycia Adlerów i Garrisonów przez okno w salonie, a kiedy się zjawili, zgasiła światło.

Punkt piąta.

– No dobrze, skarbie, rób minę godną piratki.

Przejechałam palcem po bliźnie przy ustach.

– Wystarczy?

– Bierzesz wszystko tak dosłownie.

– A ty tak poważnie. – Zarzuciłam torby na ramię.

– Masz wszystko? – spytała.

Pokiwałam głową, ale ona i tak odczytała listę rzeczy do zabrania.

– Marker? Śpiwór? Poduszka? Szczotka do zębów?

– Mamo, nie jestem dzieckiem.

Niewzruszona czytała dalej:

– Książka? Kostium pirata? Karty? Big?

Kiwnęłam głową na wszystko z wyjątkiem Biga, bo odczytała zawartość mojej torby, co do szczegółu.

– Dostałaś jakieś nowe listy? – spytała potem.

Zaprzeczyłam, ale uderzyło mnie, że od odczytania imienia Biga przeskoczyła od razu do anonimowych listów.

– Hm. To ciekawe.

– Mówiłam ci, że to jakiś żart. Powiedz tacie, żeby się pośpieszył.

– Na początku jakoś cię ten żart nie bawił – przypomniała. – Tony! – Jej głos rozniósł się po całym domu. – Chodź, już czas!

Gdybym ja tak tatę zawołała, wkurzyłaby się, że wrzeszczę. Nie omieszkalam o tym wspomnieć, a ona walnęła mnie ręcznikiem.

– Jeśli chodzi o ten weekend... – Przytknęła dwa palce do oczu, a potem wskazała na mnie. Dawała znać, że będzie mnie miała na oku.

Sięgnęłam za siebie i wyciągnęłam paintballowy marker.

– Jestem uzbrojona. Nie zadzieraj ze mną.

– W domu nie ma paintballu!

Boże, jakbym ją postrzeliła tu, na środku salonu!

Pojawił się tata, wziął jedną z moich toreb i spytał:

– Słyszę jakąś aferkę?

Wycelowałam w niego.

Zerwał mi kapelusz z głowy.

– Oby tak dalej, mała. Podoba mi się!

Potem wymienili z mamą jedno z tych spojrzeń, których nie powinnam była widzieć.

– Jeszcze nie oślepiłam! – przypomniałam im, kiedy wychodziliśmy.

Nie odpowiedzieli, pewnie lepiej dla mnie.

Na moło obserwowałam spotkanie Graya Garrisona i Maxa McCalla. Gdy się pojawiłam, sytuacja zrobiła się chyba jeszcze bardziej napięta.

Zaczyna się... Podeszłam do Maxa.

Wyciągnął do mnie rękę. Dał mi szansę na podjęcie decyzji, czy pokazujemy wszystkim, co nas łączy. Podałam mu dłoń.

Gray zacisnął zęby i odsunął się od nas. Choć przecież wiedział! A jednak trudno mu było patrzeć. On się wycofał, ale Max do niego podszedł. Nie puścił mojej ręki, ale drugą wyciągnął do niego.

– Cześć, Gray. – Pechowo, jego głos zabrzmiał piskliwie.

– Cześć. – Przywitali się.

Potem obaj lekko się nachylili i wymienili półuścisk.

Max nigdy nie miał nic do Graya, dopóki Gray mnie nie skrzywdził. Wcześniej go podziwiał, darzył szacunkiem. Gray natomiast traktował go jak młodszego brata. A rodzina nie powinna startować do jego byłej.

Po powitaniach Gray i Max zajęli się pomaganiem rodzicom. Zostałam z Giną. Czekałam, aż zaczną przeproszać, ale była bardziej opanowana, niż się spodziewałam. Gadałyśmy o głupotach: o programach na Netfliksie, mojej nowej fryzurze i o tym, jak długo jeszcze będą modne ciuchy z lat osiemdziesiątych. Pozostali ładowali rzeczy. Gdy tata zawołał, żebym mu podała moją torbę, Gina nagle się zainteresowała.

– Wzięłaś Biga? – spytała. – Stęskniłam się za nim.

Ciekawe...

Gray aż upuścił lodówkę, którą dźwigał.

– Wzięłaś tego niebieskiego brzydala?

Bardzo ciekawe...

– Wiem, że zawsze z nami jeździł, ale w tym roku zostawiłam go w domu – poinformowałam i bacznie się przyglądałam ich reakcjom.

– Szkoda. Jakby mnie kto pytał, przydałoby mu się odmalowanie – odparł Gray. – Jezu, to ptaszysko jest koszmarnie.

– Nikt cię nie pyta – przypomniała mu Gina. – Ja tam się cieszę, że go zostawiła w domu, jeśli zamierzałbyś mu zrobić krzywdę.

Ciekawe...

– Słuchaj, Max... – Gray wrzucił lodówkę na pokład. – Dam ci radę. Jeśli Sadie kiedyś cię poprosi, żebyś dla niej wygrał pluszowe zwierzę, uciekaj i nie oglądaj się za siebie.

Gdy wszyscy wsiadaliśmy na jacht, Gray wyglądał na niezadowolonego. Chyba wiedziałam, o co chodzi. Chociaż się naśmiewał z Biga, ten ptak symbolizował naszą historię, a ja go nie zabrałam z sobą. Dla Graya oznaczało to najwyraźniej coś innego niż dla mnie.

Posunął się nawet do tego, że szepnął:

– Mogłaś go wziąć.

– Nie mogłam.

W tym roku nie było grupowego przytulania. Ani szampana. Ogólnie: uroczystego otwarcia piracko-paintballowego weekendu. Pan McCall ustawił jacht dziobem do wyspy i oznajmił po prostu:

– No to ruszamy.

Silnik dziarsko mrucał, a zatoka mrugała jak do starych przyjaciół. Wydawała się ciemniejsza niż Meksykańska. Nie była głębsza, jedynie bliżej brzegu. Sprawiała klaustrofobiczne wrażenie. Udawała ocean, ale tak naprawdę okazywała się podróbką czegoś prawdziwego.

Rodzice zebrali się w swojej części, bliżej dziobu przy jednej z lodówek. Obiecali, że za godzinę będą burgery z grilla i hot dogi. Czyli bez niespodzianki. Menu było niemal wypisane w kambuzie niezmywalnym flamastrem. Jutro będą gofry i kanapki, a na obiad stek. Udawali, że nie zrobią tradycyjnych brzoskwiniowych lodów, bo za dużo z tym zachodu, ale oczywiście zrobili. Łaknęli powrotu do starych zwyczajów. My chyba zresztą też, bo zebraliśmy się na rufie i zajęliśmy te miejsca, co zawsze.

Zerknęłam na zegarek. Za pięć minut Gray zaproponuje, żebyśmy zegrali w karty. W nertza, jego ulubioną grę.

Gina spróbowała pierwsza.

– Ciągłe wypychasz do Biga tajemnice?

– Nie tajemnice – poprawiłam ją. – Przyczepiliście się do tego kiedyś. To tylko moje myśli.

Gray włożył sobie do ust guzik od koszulki.

– Można zwariować, nie? – Trącił Maxa. – Nie wiadomo, co o nas myśli.

– W większości to dobre rzeczy – zaprotestowałam.

– Większość? – powtórzył Gray. – Ona zabija. Przestrzeń między wszystkim a większością jest jak zlewisko ścieków.

– Na swoją obronę przypominam wam, że nie mieliśmy najlepszego roku.

Gina i Gray nie skomentowali. Max mocniej mniej objął.

– Gdyby się ktoś pytał, najwyższy czas to zmienić – zaryzykowała po minucie Gina.

Gray usiadł po turecku i oznajmił:

– Dobra. Czyli gramy.

Minęło dokładnie pięć minut.

Nikt nie zaprotestował. Wyjęliśmy z toreb talie kart i przetasowaliśmy je. Nie licząc utrudnienia w postaci wiatru, nertz był łatwą grą. Przypominał trochę grupowego pasjansa, tyle że liczyła się szybkość. Chodziło o to, żeby pozbyć się kart z dłoni, wykładając je na cztery kupki leżące pośrodku stołu. W czasie gry nie gadaliśmy za dużo, a jak już, to niecenzuralnie.

Niektóre gry same się prosiły, żeby przy nich przeklinać. Należały do nich karty. Klęłam jak szewc. Zawsze. I nie czułam się winna. Tak to działało. Tyle że żadnemu z nas nie było wolno bluzgać przy rodzicach. A oni siedzieli całkiem niedaleko.

Max, z powodu uszkodzonych strun głosowych, miał nad nami przewagę.

– McCall, ja pieprzę, idź na całość, i tak cię nie usłyszą! – zachęcał Gray.

Jak tylko to powiedział, rodzice krzyknęli:

– Co to za język?!

Gray przetasował talię i rzucił na pokład. Upadły z tym uroczym dźwiękiem, który wydają karty.

– Widzisz?

Wątpiłam, żeby groziło nam coś poważnego, ale przeklinanie po cichu dodawało całej zabawie smaczku.

– Moim zdaniem wszystko nam dzisiaj wybaczą – orzekła Gina.

– Mnie na pewno.

– Szczęściara – powiedział Gray.

– Właśnie – dołączyła Gina.

Mama Graya potrafiła być ostra, ale wszyscy baliśmy się Soni. Umiałyby spalić nas na stosie przy użyciu mokrych zapalek.

– Jeśli przeżyliśmy akcję w parku wodnym, damy radę wszystkiemu – podsumował Max.

– Cannon Balls! Prawie o tym zapomniałem! – Gray się roześmiał.

– Ja pamiętam.

– Ja też – dołączył Max.

Papier, kamień, nożyczki, które z nich przesyła mi listy?

Niestety, akurat w tym momencie Gina zawołała:

– Dobra, gramy!

Straciłam okazję do dalszego śledztwa.

Przez następną godzinę wyłącznie przeklinałam i przekładałam karty z jednej kupki na drugą. Bez skutku. Oczywiście chodzi mi o grę. W lżeniu nie miałam równych.

Wygrał Gray. Jak zwykle. W związku z tym zrobił się nieznośny. Rywalizacja budziła w nim potwora. A ponieważ pojawił się dodatkowy aspekt w postaci Maxa, jego niesubordynacja sięgnęła zenitu. Kiedyś uważałam, że jest słodki, gdy się tak zaperzał, szarpał za guzik przy koszulce i rzucał kartami. Zachowywał się, jakby od zwycięstwa zależało jego życie.

Siedział naprzeciwko mnie, tasował, przekładał, licytował, a mnie się przypomniały poprzednie pirackie weekendy. Zawsze spędzaliśmy je jako para. Był uroczy, nawet z tym grubym karkiem i krzywymi uszami.

Oczywiście nie tak fajny jak Max, ale przynajmniej znów dostrzegałam w nim jasne strony.

Numer trzeci na mojej liście, pozornie nieosiągalne przebaczenie Ginie i Grayowi oraz powiedzenie im prawdy, mógł się wydarzyć w ten weekend.

Postanowiłam, że tak będzie. Przynajmniej druga część. Przebaczenie wydawało się równie trudne, jak trening do triathlonu: za dużo do ogarnięcia.

Ciągle miałam w ręce gruby plik kart, gdy Gray wykrzyknął „Nertz”! i tym samym zakończył grę.

Gina zachnęła się słowem na „k”.

– Język! – wrzasnęło troje rodziców.

– Przepraszam! – pisnęła niewinnie niczym ptaszek.

Max trącił mnie łokciem.

– Jesteś z nami?

– Jestem głodna – oznajmiłam.

– Przerwa na jedzenie? – zasugerował.

Wszyscy przyklasnęli. Rzuciliśmy karty na pokład i wpadliśmy do kambuza. Na szczęście dla nas to moja mama sprawowała pieczę nad węglowodanami. Wysypała na jednorazowe talerzyki chrupki i chipsy, wyłożyła sałatkę ziemniaczaną i burgery, a potem wyrzuciła z kuchenki wszystkich poza mną.

Gdy już zostałyśmy same za zamkniętymi drzwiami, zadała pytanie, którego się spodziewałam:

– Jak się trzymasz?

– W porządku.

Naciskała.

– Słowo?

Złapałam się uroczyście za serce.

Nie kłamałam. Czułam się całkiem dobrze, choć wciąż zastanawiałam się, dlaczego nie mówię najważniejszych rzeczy. Ale nawet jeśli moje życie w tej konkretnej chwili byłoby w kompletnej rozsypce, czułam się nieźle. Czy to zakłamanie?

Wyobraziłam sobie świat, który mama uważała za szczęśliwy dla mnie. Istniał przez szesnaście, prawie siedemnaście lat. To szmat czasu.

– Wyglądasz lepiej – przyznała.

– Bo jest lepiej.

– Nie czujesz się niezręcznie z Grayem? Z Giną? Nie jest dziwnie, że ty i Max... w obecności Graya?

Znajdujecie się w takiej sytuacji?

– Tak. Nie. Jest dziwnie – oświadczyłam zbiorowo i powtórzyłam to, od czego zaczęłam: – Trzymam się.

Nie rozmawiałam z mamą o Maksie od tamtego dnia w łazience, gdy układała mi włosy, ale przecież nie była głupia i wiedziała, że nie chodzę do niego na makaron z serem.

Chociaż nie rozmawiałyśmy, znałam jej zdanie na ten temat. Ponieważ wciąż miałam problemy ze snem, podsłuchiłam jedną z nocnych rozmów rodziców na temat życia miłostnego Sadie i Maxa. Byli

niepewni, ale zadowoleni. Tata się obawiał, że trauma po wypadku może być niebezpieczna albo niezdrowa dla związku. Mama twierdziła, że nic nie dzieje się bez powodu.

Potem przestałam podsłuchiwać.

– O czym myślisz? – spytała teraz i zmarszczyła czoło. – Gdzieś odpłynęłaś.

Upiłam łyk mountain dew i udzieliłam kolejnej szczerej odpowiedzi:

– Nie chcesz wiedzieć.

– Idź jeść! – Dała mi klapsa w tyłek. – Albo graj w karty!

Kochałam ją w tej chwili tak bardzo, że prawie odstawiłam talerz i ją objęłam. W naszej rodzinie bez obciachu używało się słów „kocham cię”, więc jej to powiedziałam. Po prostu, żeby wiedziała.

– Ja ciebie też – odparła. – Tylko przestań kłąć.

– Sama też to robisz przy kartach!

– Rób, co mówię. Ble-ble, sranie w banie.

Mama rządziła!

Śmiałam się przez całą drogę na pokład.

Rozdział 23

Zacumowaliśmy jacht McCallów na plażowym kempingu, kilka kilometrów od wysepki.

– Kto uznał, że piknik w czerwcu będzie dobrym pomysłem? – spytał po raz trzeci Gray, gdy wyładowaliśmy rzeczy i po ciemku zabraliśmy się do rozbijania obozu.

Choć dochodziła dziesiąta, temperatura nadal przekraczała trzydzieści stopni. Nie czuliśmy choćby powiewu wiatru. Rozkładanie namiotów nie poprawiało sytuacji. Wszystko wydawało się lepkie i obrzydliwe. Gray mocował śledzie i udzielał nam instrukcji, których nie potrzebowaliśmy.

– Naciągnij mocniej, Max. Użyj młotka. Gina, rozwiń to, bo zrobi się wilgotne i zapleśnieje. Chryste, jak gorąco. – Nawijał, jakby rozbijanie namiotu należało do sztuk dla wtajemniczonych. Myśmy uważali, że sztuką jest marudzenie, a on w niej osiągnął mistrzostwo.

Gina westchnęła głęboko.

– Naprawdę jest masakrycznie gorąco, ale nie będę mu przyznawać racji, bo się nigdy nie zamknie.

Gray Garrison potrafił człowieka zadreczyć.

Był niezmordowany.

– Jezus, Sadie May, zdejmij tę bluzkę z długim rękawem, bo na twój widok dostaję udaru!

– Nie mów tak do mnie – poprosiłam go kolejny raz. Tylko Trent mnie tak nazywał i Gray dobrze wiedział, że mnie tym drażni.

– To zmień adres mailowy, jak cię to tak strasznie wkurza. Ale niech ci będzie. Sadie. – Przesadnie podkreślił moje imię i nawijał dalej: – Robię się upierdliwy w takich makabrycznych temperaturach.

Zabrzmiał jak Trent. „Makabryczny” to było słowo Trenta. Max strzepał piasek z dłoni i szepnął do mnie:

– Nie jestem przekonany, czy chodzi o upał.

Jednocześnie odezwała się Gina:

– Mieszkamy na Florydzie! Tu zawsze jest gorąco! Jak ci się nie podoba, to się przeprowadź.

– I kto teraz jest upierdliwy? – Trącił mnie łokciem, jakby liczył, że wezmę jego stronę. – Sama powiedz, Sadie May. Czy nie mam racji?

– Gray! – Wściekłam się, ale dzięki niemu zapominaliśmy, że Trenta nie ma, jednocześnie o nim pamiętając. Za to akurat go uwielbiałam. Zaczęłam się śmiać i zaraziłam tym wszystkich, co tylko dołało oliwy do ognia.

Gadał jeszcze przez minutę czy dwie, aż Sonia, która chwilowo nas pilnowała, jęknęła:

– Garrison, na Boga, zamknij się wreszcie!

Wtedy Gray uprzejmie jej przypomniał, że rodzice śpią na łodzi. Wyposażonej w klimatyzację. I bieżącą wodę. I jedzenie. Następnie zaprosił ją do zamienienia się miejscami.

Ona odwzajemniła się propozycją skoku do wody.

Co natychmiast uczynił, wywołując kolejną salwę śmiechu.

Trent ruszyłby za nim, oblewając swoją mamę od stóp do głów. Max, w odruchu niespodziewanej solidarności, pobiegł za Grayem. A za nimi Gina i ja. „Gdzie jedno z was, tam cała reszta”. Chlapaliśmy na siebie, aż wszyscy byliśmy mokrzy i schłodzeni. Wyobraziłam sobie, że w tej zatoce jest Fontanna Młodości.

– Wiecie, co powinniśmy teraz zrobić? – spytał Gray.

– Co? – zainteresowaliśmy się wszyscy.

Ale pomysł okazał się fatalny.

– Walka kurczaków!

– Po ciemku? – nie mogła uwierzyć Gina.

Gray machnął ręką w stronę rozgwieżdżonego nieba.

– W świetle gwiazd!

Startowałam w walkach kurczaków wyłącznie w parze z Grayem przeciwko Ginie i Trentowi, więc kiedyś mogłam to robić z zamkniętymi oczami, codziennie. A w niedzielę dwa razy.

– Gotowy, partnerze? – spytałam Maxa.

– Zajebiecie bardzo – odpowiedział.

– Język – warknęła Sonia.

Gray lekko puknął Maxa w pierś.

– Tym razem cię przyłapała. – Kucnął, żeby Gina mogła się wdrapać na jego potężne ramiona.

Max poszedł za jego przykładem, więc go dosiadłam i wsunęłam mu łydki pod pachy. Jeśli wcześniej miałam wątpliwości, czy jesteśmy parą, walka kurczaków je rozwiała. Gina i Gray przeciwko Maxowi i Sadie. To było coś w stylu zmiany statusu na Facebooku.

– Wy na dole się nie bijecie! – upomniałam.

– Tak nie ma zabawy! – jęknął Gray. – Mógłbym powalić Skrzeka jedną ręką.

– Skrzeka?! – Max wyrwał naprzód i skrzyżował ramiona z Grayem. Potem poleciliśmy do tyłu, bo Gray się wyrwał i popchnął Maxa. Na szczęście Max szybko się opanował, stanął stabilnie i lekko ugiął kolana, przybierając pozycję zapaśnika. Nieźle. Nie byłam może ciężka, ale na pewno czuł mnie na ramionach.

Nie miałyśmy innego wyjścia, jak wziąć się do rzeczy. Robiliśmy to nie raz, tylko że z innymi partnerami. Splotłyśmy palce i wykręcałyśmy sobie ręce, popychałyśmy się i kiwałyśmy, żeby się wzajemnie strącić. Mimo terapii ramiona miałam słabsze niż zwykle. Ona bardzo się pilnowała, żeby mi nie zrobić krzywdy.

– Nic mi nie jest – przypominałam, bo zauważyłam, że się powstrzymuje.

– No dobra. – Od razu spróbowała nowego ruchu.

Walka pod nami trwała.

Gray i Max nacierali na siebie i coraz to zmieniali pozycje. Max okazał się silniejszy, niż Gray podejrzewał. Jego długie, wysklepione mięśnie uniemożliwiały ataki Graya, którymi miał nadzieję zachwiać naszą pozycję. Zapasy się skończyły, gdy Gray skutecznie zaszarżował i wszyscy powpadaliśmy do wody.

– Remis! – zawołała Sonia z plaży.

– Wcale nie! – upierał się Gray. – My wytrzymaliśmy dłużej.

– Tak, o pół sekundy.

– Właśnie!

Zmachani, ale już przynajmniej trochę ochłodzeni, wróciliśmy do namiotów, żeby zająć się czymś produktywnym.

Max szepnął do mnie:

– Nieźle jak na moją pierwszą próbę, nie?

– Nie robiłeś tego wcześniej?

– Zwykle patrzyłem na was.

Gdy to powiedział, wrócił do mnie obraz Maxa, siedzącego na lodówce, z łokciami opartymi na kolanach, wpatzonego w nas. Teraz stał się uczestnikiem, nie tylko obserwatorem. O ironio, tym razem nikt nie patrzył.

Godzina policyjna nie obowiązywała, jako że okazaliśmy się jedynymi obozowiczami na kempingu. Nikt inny nie był na tyle głupi, żeby przyjechać w taki upał. Sonia się upewniła, czy namioty nie są aby koedukacyjne, a następnie oddaliła się na swój chłodzony przez klimatyzację jacht.

Wszyscy się przebraliśmy, a ponieważ panowały ciemności, włożyłam koszulkę na ramiączkach i krótkie spodenki.

Między namiotami a prysznicem Max ukradł chwilkę dla nas.

– Dobrze się dzisiaj bawiłem – stwierdził, a potem mnie pocałował.

– Ja też.

Wtuliłam twarz w jego świeżo wypraną koszulkę i wciągnęłam zapach Maxa; mydło, aloes i sól morska.

– Śpij w niej, jeśli chcesz – zaproponował.

Twój chłopak proponujący ci swoją koszulkę to na skali od jednego do dziesięciu sto pięć.

Podziękowałam wylewnie.

– A ty mi dasz swoją? – zażartował.

Odepchnęłam go dla żartu i mimo upału włożyłam jego T-shirt.

– Idę się przejść.

– Potrzebujesz towarzystwa?

– Chętnie, ale muszę się najpierw wyluzować.

– Czyżbym cię stresował?

Zagryzłam wargę i się uśmiechnęłam:

– Może.

Gdy się oddalałam, zawołał za mną najgłośniejszym głosem, jak mógł:

– Napisz o mnie coś miłego i wsadź do Biga!

Ale ja już to zrobiłam. Tuż przed wyjściem poszłam do łazienki, oderwałam zagięty rożek plakatu z jakąś kapelą i napisałam:

Max McCall cały czas zaskakuje mnie swoją siłą.

Schowam do Biga, jak wrócę do domu. Wyobraziłam sobie równoległy wszechświat, w którym żyje

inna wersja mnie. Tamta ja też ma Biga, jest pewna siebie i notuje takie rzeczy, jak: „Dzisiaj samą siebie zaskoczyłam tym, jaka jestem silna”.

Odeszłam w dalszy kraniec kempingu i zaktualizowałam swoją listę. W zeszłym tygodniu prowadziłam samochód. Nie na drodze. I technicznie rzecz biorąc, nawet nie jechałam naprzód, ale siedziałam w starej hondzie civic u Metalowego Pete’a i wyjeżdżałam z miejsca parkingowego, a potem parkowałam z powrotem. A dzisiaj grałam w nertza i w zapasy kurczaków z Maxem, Giną i Grayem.

Postęp.

Może przebaczenie nie będzie polegać na zapomnieniu tego, co zrobili albo na stłumieniu bólu. Tylko na sprawieniu, żeby przeszłość mniej bolała. I na gromadzeniu nowych wspomnień. Dzisiaj zrobiliśmy pierwszy krok.

– Jak myślisz, Trent? – spytałam wiatru.

Przywołałam jego postać. Jasnobrązowe szorty, błękitny bezrękawnik Billabong i różowa czapeczka z daszkiem na rozjaśnionych od słońca włosach. Tak był ubrany w dniu śmierci. Wyobraziłam sobie, co by mi powiedział. Powróciło echo słów, tych co zwykle.

„Trzymaj się. Trzymaj się. Trzymaj się”.

– Bólu? Czy Giny i Graya? – spytałam zezłoszczona.

Trzymaj się. Trzymaj się. Trzymaj się.

Rozdział 24

W sobotę wcześniej rano Max skrobnął w płachtę mojego namiotu. Gina przykryła twarz poduszką i jęknęła, gdy rozsunęłam suwak i wyszłam. Słońce przeciągało się i ziewało razem ze mną.

Max wyglądał, jakby nie spał już od kilku godzin. Dzierżył dietetyczną colę i flamaster. Wzięłam łyka coli i potarłam oczy, a dopiero potem mnie olśniło, że w pełnym słońcu pokazałam się w krótkich spodenkach. Tennessee i Pink Floyd witali się z nami wylewnie.

– Staram się już tego nie robić – powiedziałam Maxowi, gdy wyciągnął do mnie mazak. Którejś nocy na czacie omawialiśmy, co robiłam moim bliznom.

– Nie, nie. – Poklepał się w nagą pierś. – Potrzebuję mapy skarbów.

– Mam ją na tobie narysować? Która jest godzina?

– Za wcześniej! – jęknęła Gina z namiotu.

– Pora piratów – poinformował ją Max najgłośniej, jak mógł. Potem kopnął w płachtę, tuż przy ziemi.

– Wstawaj, Adler!

Ona wydała kolejny jęk.

Rozpięłam wejście do połowy.

– Włożę spodnie i zaraz ci narysuję tę mapę.

Zatrzymał moją rękę na suwaku i poklepał się w gardło.

– Przeszkadza ci mój głos?

– Przecież wiesz, że nie.

W ogóle nie myślałam o jego głosie, chyba że musiałam prosić, żeby coś powtórzył. Pozwoliłam mu zapiąć suwak aż do samej góry i wzięłam flamaster.

Max, mistrz małych zwycięstw.

Wymalowałam mu mapę skarbów godną Czarnobrodego. Bazgranie po sobie traktowałam jak terapię, ale malowanie na nim okazało się seksowne. Kropkowana linia trochę kluczyła, ale w końcu wylądowała na jego sercu. Narysowałam tam duży krzyżyk i wzięłam go w kółko.

Pochylił głowę i podziwiał moje dzieło.

– Nieźle!

– Jestem w tym mistrzem. – Wzruszyłam ramionami.

– Ty też będziesz miała fajowy kostium.

Pokazałam mu go wczoraj, żeby zatwierdził. Obciąłam czarne dresy pod kolanami i tak udrapowałam T-shirt Goonies, żeby nie było widać Tennessee. Czarna chustka na głowę zakrywała Idaho, a ostateczny szlif stanowiły dwa tatuaże z czaszkami i skrzyżowanymi piszczelami. Przetestowałyśmy je z mamą w zeszłym tygodniu. Pod folią tatuażu blizna przy ustach stawała się niemal niewidoczna. Szkoda, że nie

mogłam tak chodzić codziennie.

Do tego miałam mieć jeszcze maskę paintballową. Powinnam się czuć jak królowa świata, a trzęsły mi się ręce.

Tłumy cały czas działały odstrasżająco.

Max chciał mnie pocieszyć:

– Trzymaj się mnie.

Tyle tylko, że nie miał przecież wpływu na podział drużyn.

– Pewnie będziemy w innych drużynach.

– No to wylądujesz albo z Giną, albo Grayem. A oni rozumieją, jakie to dla ciebie trudne.

Strach pozbawiał mnie wielu rzeczy. Uwielbiałam tę grę. Szybkie bicie serca, gdy się skradałam i świętowanie, gdy udało mi się ustrzelić przeciwnika. Było w tym coś barbarzyńskiego. Jak udział w Igrzyskach Śmierci i świadomość, że się jest czarnym charakterem. A jednak z trudem udawało mi się tu wytrzymać.

– Jak mogę ci pomóc? – spytał.

Przytuliłam się do niego i patrzyłam, jak na twarzy rozlewa mu się uśmiech, który tak uwielbiałam.

– Pomagasz.

– Też unikałem ludzi, pamiętasz?

Pokiwałam głową. Nie bawiliśmy się w porównywanie emocji. Jedne nie były gorsze od drugich. Może i brakowało mi mocy, żeby się szybko zmienić, ale miałam jej dość, żeby zrozumieć.

– Kiszka, nie?

– Ano – zgodził się.

Spojrzeliliśmy na zatokę. Obserwowaliśmy niewielkie fale rozlewające się po plaży. Wydawany przez nie dźwięk kojarzył się z szybko ustawionym metronomem. Wiosenny wiatr uatrakcyjnił grę, a potem przejażdżkę na skuterach wodnych. Zatoka Meksykańska potrafiła dać się we znaki, więc może po paintballowych piratach wypłyniemy gdzieś dalej i ruszymy w stronę horyzontu.

Powiedziałam o tym Maxowi, a on się uśmiechnął półgębkiem. Tak jak uśmiecha się ktoś, kto wie coś, czego ty nie wiesz.

– Super.

– Co przede mną ukrywasz?

Pogrzebał palcem u nogi w piasku, wsadził ręce do tylnych kieszeni i uśmiechnął się bardzo z siebie zadowolony.

– Powiem ci po grze.

– Będzie strasznie? – spytałam odruchowo.

– Mały krok naprzód. Coś w stylu koszulki na ramiączkach albo dzisiejszej gry. Czyli nic strasznego.

Od razu się zdenerwowałam. To brzmiało jak tekst: „przyjaciel, któremu zależy”.

Zamiast się tym cały dzień gryźć, spytałam od razu:

– To nie ma nic wspólnego z Bigiem, prawda?

– Nie, a co? – spytał szybko.

Może trochę za szybko.

– Nic.

– Nie chciałem, żebyś się zdenerwowała. Mogę powiedzieć od razu.

– Nie. – Jeśli nie chodzi o Biga, wolę mieć niespodziankę. A jeśli jednak tak, jeszcze trochę dłużej będę mogła w nas wierzyć. – Miej sobie swoją tajemnicę.

– Taki mam plan. – Mrugnął do mnie.

Później już nic nie zdradził, tylko znacząco się uśmiechał.

Rozdział 25

Kilka maili do Maxa, gdy był w Salvadorze.

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 14 marca

Temat: re: re: lista

Czego bym chciała?

Chciałabym... wielu rzeczy.

Chciałabym znów jeździć samochodem.

Chciałabym przeżyć jeden dzień bez myślenia o bliźnach.

Chciałabym odebrać z wszystkimi świadectwa maturalne.

Pocałować kogoś bez wahania.

Zobaczyć Fontannę Młodości.

Fletcher kazał mi zrobić taką listę. Najpierw miałam wybrać liczbę. Wybrałam siódmkę, bo zawsze ją wybieram. Potem musiałam wypisać siedem rzeczy, których chcę, ale uważam je za niewykonalne. Łatwo poszło. Mogłabym wpisać dwa razy tyle, a może i więcej.

Śmieszne jest to, że gdybym robiła taką listę przed wypadkiem, znalazłyby się na niej zupełnie inne rzeczy. Wtedy wyglądałaby jakoś tak:

Nauczyć się hiszpańskiego.

Spróbować skydivingu.

Zobaczyć Wielki Mur Chiński.

Wtedy miałam kosmiczne marzenia. Teraz mam rzeczywistość. To się chyba nazywa życie.

A co by się znalazło na twojej liście?

Twoja,

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 20 marca

Temat: re: re: re: lista

Max,

fajna ta twoja lista.

#1 – Jak będziesz sobie robił ten tatuaż, chcę przy tym być.

#2 – Ja to zrobiłam. Dwie rady: wpadnij w wodę maksymalnie wyprostowany, a potem wypuść bąbelki i płyn za nimi.

#3 – Cha, cha.

#4 – *Władcę Pierścieni* filmowali w Nowej Zelandii. Chyba nie da się być bliżej Shire.

#5-#6 – Gwiezdną ciszę można urządzić wszędzie.

#7 – Fuuuuj! Czasami taki z ciebie dzieciuch.

Twoja,

Sadie

PS Dzisiaj rano widziałam Graya, jak siedział na krawężniku naprzeciwko mojego domu. Brzmi trochę dziwnie, ale się nie wystraszyłam. Chyba płakał. Też się rozplakałam. Patrzyłam na niego, kiedy był taki bezbronny, i dotarło do mnie, że już nic do niego nie czuję. Ale przyczyna chyba leży raczej w tobie niż w nim.

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 28 marca

Temat: bez czajenia się

Nie zmuszam cię wcale do czytania między wierszami. Wiesz przecież, że coś do ciebie czuję.

Twoja,

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 2 kwietnia

Temat: re: bez czajenia się

Też jestem dzięki tobie szczęśliwa.

Twoja,

Sadie

Rozdział 26

Max wziął na siebie serwis skuterów wodnych.

Ja się przyglądałam.

Maszyny były przycumowane do pływających pomostów przy jachcie jego rodziców. Za kilka godzin wyruszymy we czworo na małą wysepkę, żeby się zarejestrować do gry. Rodzice nie brali w niej udziału. Cztery lata temu mama oberwała paintballową kulką i uznała, że jest już na takie zabawy za stara. Ojcowie z ociąganiem przyznali, że czas ustąpić pola dzieciakom. Docenili ten gest, gdy się okazało, że rekompensatą jest piwo i długie rozmowy w gronie dorosłych. Gdy rozlegnie się dźwięk klaksonu, podpłyną do zatoczki, rzucą kotwicę i będą się z daleka przyglądać.

I dobrze. Cztery lata temu to ja niechcący postrzeliłam moją mamę. Ale nigdy się do tego nie przyznałam.

Max sprawdził gaz i otworzył schowki pod siedzeniem, a ja zwijałam brezent, czyściłam kamizelki ratunkowe i usuwałam pajęczyny.

Skutery były naszymi starymi przyjaciółmi. Uwielbiałam ślizgać się na falach z Grayem za plecami i świszczącym w uszach wiatrem, otulającym nas jak koc. Kurczę, czasem całymi dniami snuliśmy się po zatoce i badaliśmy teren. Rodzicom mówiliśmy, że odpłyniemy tylko kawałek, a tak naprawdę lądowaliśmy w połowie drogi do Panama City. To Trent i ja wyprowadziliśmy pozostałych na Zatokę Meksykańską. W naszej zatoce za dużo było miejsc bez fal. Ocean kusił, a my się nie opieraliśmy.

Max schował nasze markery do plecaka, a potem na mnie spojrzał.

– Uśmiechasz się.

– Lubię pływać na skuterze – oznajmiłam z takim zdziwieniem, jakbym to dopiero odkryła. A on popatrzył na mnie, jakby mnie odkrywał po raz pierwszy.

– Pamiętam.

Później zajmowaliśmy się już tylko koniecznymi sprawami, jak mycie zębów i pieczenie gofrów. Za piętnaście dziewiąta, kwadrans przed planowanym wyjazdem, znalazłam kolejną kopertę. Na wierzchu mojej torby. W namiocie.

Gina i ja wygrałyśmy dzisiaj paintballowych piratów. Trochę oszukiwałyśmy.

To notatka sprzed trzech lat.

Cholera. Jeśli to nie Gina, ten ktoś dużo ryzykował, żeby mi to podrzucić. Wyjrzałam z namiotu i przyjrzałam się grupie. Stali przy brzegu i gadali. Nikt nie zwracał uwagi na to, że jestem w namiocie.

Dobra. Jeśli oni udają, że nic się nie stało, też będę.

– Idziesz?! – wrzasnęła Gina.

– Już!

Schowałam kopertę na dno torby, zasunęłam wejście do namiotu i pobiegłam do nich.

Po drodze na wysepkę słońce rozlewało się po naszych ciałach. Nie ustalaliśmy, kto z kim jedzie, i dobrze. Gina usadowiła się za Grayem, a Max podał mi kluczyki.

– Ja prowadzę – oznajmiłam.

Tak dawno tego nie mówiłam i nad moimi słowami wzbił się obłoczek kurzu.

Gdy usiedliśmy, Max położył mi dłonie na biodrach i przysunął się. Zanim przekręciłam kluczyk w stacyjce, oparłam mu dłonie na kolanach. Nachylił się tak blisko, że przeszył mnie dreszcz.

– Chcesz wygrać? – spytał. Przesuwał dłonie po moich plecach, w uchu czułam jego oddech.

Cholera.

– Już nie.

– Jedź, Kingston – polecił.

Odetchnęłam głęboko, a silnik zaryczał i wprawił maszynę pod nami w drzenie.

– Bawcie się dobrze! – zawołała Sonia.

– Uważajcie na siebie! – dodała mama. A potem spojrzała na mnie porozumiewawczo.

– Będziemy uważać! – obiecałam.

Reszta machała i życzyła powodzenia.

Wysepkę od kempingu dzieliło zaledwie kilka minut. Stanowiła doskonałą lokalizację dla gry w paintballowych piratów i musiałam przed sobą szczerze przyznać, że nie mogę się doczekać.

Słońce bawiło się z chmurami w chowanego, ale wiał wiatr jakby rodem z Kansas. Prowadziłam skuter jak zawodowiec, a Max splótł nogi z moimi i zacisnął objęcia wokół mojej talii. Dobra robota, wietrze! Odchyliłam się do tyłu, aż zetknęliśmy się kapokami. Rozwiane włosy, duże okulary słoneczne i przystojny pirat obok mnie: chrzanić tłumy, jest fantastycznie!

Tak sobie powtarzałam i o dziwo, zamierzałam się posłuchać.

Im bliżej dopływalismy do wyspy, tym większy napotykalismy tłok. W tym roku paintballowi piraci wzbudzili wyjątkowo duże zainteresowanie, większe niż w poprzednich latach. Na brzegu kłębiło się chyba ze sto osób czekających na rejestrację i przygotowujących się do gry.

Zaparkowaliśmy na piasku i zeszliśmy ze skuterów, żeby się przeciągnąć. Zeszłego lata dosłownie mieszkaliśmy na skuterach i nic mnie nie bolało, ale w tym roku to moja pierwsza jazda. I Maxa też.

– Popatrz na to! – zawołał.

Było na co. Wszyscy do nas machali i wykrzykiwali pirackie powitania. Nikt nie wspomniał ani słowa o mojej twarzy. Widziałam jednego faceta, który mógł być bratem Johnny’ego Deppa, ale większość miała tylko opaski na oczach, plastikowe miecze i wisiory na szyjach.

Jednocześnie rozpięliśmy kapoki. Max odsłonił opaloną pierś, lekko tylko opryskaną słoną wodą. Mięśnie wyrobione przy budowie domów i wspinaniu prezentowały się pięknie.

Przez moment pożałowałam, że nie włożyłam kostiumu kąpielowego. Szkoda, że nie mogłam pokazać wypracowanych przy bieganiu mięśni bez odsłaniania Pink Floyda i Tennessee.

Max wyjął nasze markery i zamknął plecaki w schowkach.

– Gotowa na skopanie paru tyłków? – spytał.

– Pewnie! – odparłam z trochę naciąganą pewnością siebie.

– Już po was! – droczył się Gray.

– Chyba śnisz, Garrison! – Kilka razy strzeliłam w jego stronę z wyimaginowanego karabinka.

– Z Sadie wychodzi bestia! – zgodziła się Gina.

Gray kujnął ją w żebra.

– Miałaś być po mojej stronie!

– Jeszcze nie wiemy, po której będę stronie, kolego – przypomniała mu i odgarnęła włosy. – Może będę musiała cię sprzątnąć.

Kiedy tak patrzyłam na moich przyjaciół, w tym dobrze znanym miejscu, odkryłam, że na swoje miejsce wrócił kolejny fragment dawnej mnie. Chwila wydawała mi się tak doskonała, że wypięłam ją duszkiem jak napój energetyczny.

Max to zauważył i pocałował mnie w skroń. Żadne z nas się nie zawahało. Cieszyłam się, że zrobił to na oczach Graya, ale rozmowa się trochę potem rwała.

– Dobra, chodźcie. Musimy się zarejestrować. – Gina objęła mnie ramieniem jak za dawnych czasów. Nie zauważyła, że dotyka Tennessee. Ja nic na ten temat nie wspomniałam.

Ruszyliśmy za tłumem.

Na tej wysepce nikt nie mieszkał i nawet nie wiem, do kogo należała. Kiedyś stały tu znaki z napisem „zakaz wstępu”, ale wszyscy je olewali, a parę lat temu zniknęły. Może miasto kupiło tę ziemię, bo ludzie wynajmowali wysepkę na różne imprezy: koncerty, zgrupowania, fajerwerki i takie gry, jak paintballowi piraci. Wyspa była na tyle mała, że można ją obejść w dwie godziny. Robiliśmy tak z Giną wiele razy, gdy tu dopływałyśmy na pikniki i kąpiele.

– Dziękuję, za ten weekend – szepnęła Gina.

– Cieszę się, że ci dobrze.

Przechyliła głowę i oparła się o moją skroń.

– Będziemy mogły później porozmawiać?

– Porozmawiać-porozmawiać?

Pokiwała głową.

– Chciałabym ci powiedzieć, co mnie dęczy.

Poddałam się.

– Dobrze. Ale pod jednym warunkiem: bez przeproszania.

– Postaram się.

– W takim razie ja też – obiecałam.

Zasłużyłam na złoty medal, moje człowieczeństwo nie mieści się już w ramach! Coś czuję, że po tym wszystkim przebaczenie będę miała w garści.

Ekipa rejestrująca najwyraźniej nie spodziewała się tylu uczestników, więc czekaliśmy czterdzieści minut, żeby zapłacić dwadzieścia pięć dolarów wpisowego. Kasjerka, Marge, pracowała przy organizacji gry od początku. Max i ja od razu ją poznaliśmy. Niewiele było kobiet, które z godnością umiały nosić piracki pasiasty top bez ramiączek. Z tym się trzeba chyba urodzić.

Zakryła usta dłonią, przeczółgała się pod stolikiem i wyrosła przed nami.

– Przyszliście! – Jej radości nie dało się nie zauważyć. Tak jak i dekoltu.

Trochę się skrzywiłam, gdy mnie przytuliła bez ostrzeżenia. Max uniósł brwi i, słowo daję, słyszałam, jak gdzieś w przestworzach chichocze Trent.

– Jak moglibyśmy odpuścić? Prawda, Sadie? – spytał Max.

– Pewnie! – przyznałam, chociaż wcześniej miałam około miliona wątpliwości.

Marge wyciągnęła dwie kamizelki, zieloną i niebieską.

– Zielona dla wyspiarzy, niebieska dla piratów. Wybierajcie.

Spojrzałam na Maxa wzrokiem mówiącym: „Mówiłam, że tak będzie!”

Dokonaliśmy wyboru, a ona zapisała nasze numerki w odpowiednich rubrykach.

– Dzięki, Marge – powiedział Max.

Wskazała na dużą grupę graczy czekających na starcie.

– Wyobraź sobie, skarbie. Tyle osób, tyle energii... Twój brat byłby zachwycony. – Poklepała nas po ramionach i popchnęła dalej. – Następny! – krzyknęła natychmiast, bo kolejka naprawdę wymykała się spod kontroli.

Stojący za nami Gray zapłacił pięćdziesiąt dolarów za siebie i Ginę.

– Wyglądają na... zaprzyjaźnionych – zauważył Max, gdy szliśmy w stronę straganu zorganizowanego przez Xtreme Paintball, sponsora gry.

– Ano – przyznałam. Musiałam się postarać, żeby sobie nie przypomnieć innych dowodów ich zażyłości.

Tommy, sprzedawca, pomachał, żebyśmy podeszli.

– Moja ulubiona para! Co mogę dla was zrobić?

Tommy to typ, któremu się wierzy, gdy coś takiego mówi. Był emerytowanym pilotem sił powietrznych, miał bicepsy o średnicy moich ud i postrzępioną bliznę nad okiem, którą podobno zdobył w czasie tajnej misji. W każdym razie tak twierdził. Za tę bliznę go uwielbiałam. Zwłaszcza odkąd miałam własne.

Max wyciągnął rękę, a gdy Tommy ją uścisnął, z trudem utrzymał się na nogach.

– Cześć, Tommy! – Pochyliłam się nad ladą, żeby go pocałować w zniszczony policzek.

Wskazał na moją twarz i z uznaniem pokiwał głową.

– Nabierasz charakteru. Podoba mi się to, mała, nawet bardzo. Powinniśmy się wymienić historiami wojennymi.

Wtedy wydarzyły się trzy niezwykle rzeczy.

Po pierwsze: nie skurczyłam się w sobie ani nie poczułam się atakowana.

Po drugie: wyobraziłam sobie, że jestem bohaterką tak jak on. Zdobyłam Idaho i Bezimienną podczas ucieczki z obozu wroga.

Po trzecie: jakimś cudem podniosłam chusteczkę naciągniętą na czoło i pokazałam mu wąskie, różowe wgłębienia.

– Tę nazywam Idaho.

Rozdział 27

Dziewczyno, niech cię lichy! – Tommy z uznaniem zaklaskał w dłonie. – Zajebista! Może ja też nadam swoim imiona!

No i super!

– Daj znać, jak coś wymyślisz.

Tommy mrugnął do Maxa.

– Pilnuj jej, żeby ci nie uciekła, stary. Kobieta, która umie strzelać i z takim urokiem nosi blizny, to skarb!

Jego słowa miały dla mnie większą wartość niż sto sesji z Fletcherem.

– Taki mam plan – zapewnił Max.

– Dziękuję. – Miałam nadzieję, że te słowa trafiły tam, gdzie ich miejsce, czyli do jego serca.

– Sama prawda! – zapewnił.

Potem wróciliśmy do przygotowań. Max potrzebował dwóch worków kulek i butli z gazem. Tommy nie chciał przyjąć od nas pieniędzy.

– Dzisiaj ja stawiam! Specjalna okazja, spotkanie bliznowców! – Pomógł Maxowi napełnić pojemnik na gaz i naładować markery.

Mieliśmy już iść, gdy się do mnie nachylił:

– Bałem się, że w tym roku cię nie będzie. Twój tata mówił, że kiepsko to znosisz. – Wskazał na moją bliznę. – Jeśli ktoś spróbuje ci z ich powodu dokuczać, przyślij go do mnie.

– Dzięki.

– Trzymam kciuki, żebyś wygrała – zapewnił.

Ja za siebie też trzymałam.

– Chciałbym, żebyś mnie słuchała tak jak jego – poskarżył się Max, gdy się oddaliliśmy od namiotu.

Przejechałam palcem po znaku x, który dziś rano narysowałam na jego piersi.

Gdziekolwiek szliśmy, pojawienie się Maxa budziło emocje. Weterani gry klepali go po plecach i cieszyli się z jego powrotu. Wyrażali dyskretne wyrazy współczucia. Nie zamierzali zmienić tej radosnej okazji w opłakiwanie, ale nie chcieli też lekceważyć jego straty. Candace Rew, przyjaciółka Maxa z drugiej klasy, bardzo się ucieszyła na jego widok.

Mnie się przyglądała odrobinę za długo.

– Cześć, Max. Cześć, Sadie. – Jej głos brzmiał jak wbijające się w coś plastikowe noże.

Nie zaszczyliłam jej innymi słowami niż zwykłe „cześć”, ale patrzyłam na nią uważnie. Kształtna i seksowna. Doskonałe biodra, cycki, których jej zazdrościłam, włosy idealnie nadające się do spięcia w kucyk i twarz, która nigdy nie przeleciała przez szybę toyoty yaris.

Candace przytulała Maxa dłużej niż to było konieczne. Już miałam iść i poskarżyć się Tommy'emu, ale Max wyczuł chyba, co się dzieje, bo wziął mnie za rękę. Candace, nasza biedna, śliczna Candace, była w szoku.

Ciekawe, czy gdyby ona przez cały rok pisała do niego maile, stałaby teraz na moim miejscu?

– W której jesteś drużynie? – spytałam, bo nie miała na sobie kamizelki.

Wywróciła oczami.

– W piratach. Zawsze chcę być w wyspiarzach, a co roku ląduję w tym brzydkim, niebieskim kubraczku. Wyspiarze to brzmi znacznie bardziej wyrafinowanie niż piraci.

Znałam jedną piratkę w niebieskim kubraczku, której przez myśl by nie przeszło, że może tu chodzić o wyrafinowanie. Byłam to ja. Wolałabym już być z nią w drużynie niż ryzykować, że gdzieś na wyspie zdybie Maxa samego.

– Zazdrosna? – spytał Max, gdy już odchodziliśmy.

– Co ty!

– Kłamiesz?

– Może...

W tej chwili rozumiałam Graya chyba lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Zazdrość miała moc.

– Nie ma czego – zapewnił. – To stare dzieje.

Okazało się, że Candace nie jest jedyną przeszkodą na naszej drodze. Gdziekolwiek szliśmy, słyszeliśmy rozmowy:

– Jezu, ten dzieciak wygląda dokładnie jak jego brat!

– Czyli kto?

– Trent McCall.

– Aha...

– A ta laska z nim... To ta z przedniego siedzenia.

– Chyba tak.

– Nie zazdrośczone...

Próbowaliśmy nie słuchać, ale każde takie zdanie wznosiło nam się w serce jak drut kolczasty. A najbardziej słowa tych, którzy pytali: „Co to za koleś, co wygląda jak Trent?”

„To ktoś, kto kocha paintballowych piratów bardziej niż wy!”, miałam ochotę wrzasnąć.

Odeszliśmy od tłumu i sprawdziliśmy broń w miejscu do tego wyznaczonym. Działała bez zarzutu, a ja, ku swojej wielkiej radości, trafiłam w cel. Bardzo z siebie zadowolona, poprosiłam Maxa o moją kamizelkę.

– Pod kolor oczu. – Uśmiechnął się i włożył mi kubrak.

– I tak wolałabym być z tobą, w zielonej.

Poszliśmy szukać Giny i Graya. Wypatrzyłam ich przy studni, więc zakradłam się cicho i odezwałam głosem jak z kreskówki, którym zawsze w takich okazjach mówił do nas Trent:

– Paintballowi piraci!

Podskoczyli, a potem się uśmiechnęli.

– Nieźle!

– Ktoś to musiał powiedzieć.

Gray złapał się za serce i ogłosił:

– Niniejszym oznajmiam, że obowiązek przechodzi na Sadie Kingston.

– Tak jest! – dorzucił Max.

– I tak nic wam to nie pomoże, jak będzie trzeba, odstrzelę wam tyłki.

– Panie i panowie, smoczyca wróciła! – krzyknął Gray.

Tak, wróciłam. I nie tylko ja.

Trent był sercem zaprzyjaźnionej rodziny. Gdy go zabrakło, zniknęła i chemia między nami. Ale krok po kroku, gdy wspominaliśmy wspólne chwile i wspólne radości, zraniona tkanka się odnawiała. Bez niego w dalszym ciągu byliśmy tylko paczką sztucznie utrzymującą się przy życiu, ale jednak paczką. Jeśli przetrwamy, łatwiej mi będzie wrócić do szkoły.

Prowadzący zatrąbił i krzyknął przez głośniki:

– Pięć minut do rozpoczęcia gry! Zapraszamy bliżej na odczytanie zasad.

Olaliśmy go, bo zasady znaleźliśmy na pamięć. Paintballowi piraci różnili się od większości paintballowych gier. Chodziło co prawda o zdobycie flagi, ale zasada przedłużonego ostatecznego ciosu pozwala wszystkim na dłuższą grę. Natychmiast eliminował z rozgrywki postrzał w twarz albo w pierś. W przypadku innych części ciała trzeba było zarobić dwie kulki.

Max podpiął do naszych markerów świeże zbiorniki z gazem, a do kieszeni naładował zapas nabojów. Gina i Gray zrobili to samo.

Dopiero na ostatni sygnał Gray wyjął z torby niebieski kubraczek, a Gina włożyła swój zielony. Gray zerknął wyzywająco na Maxa, objął mnie i spytał:

– Gotowa, współpracniczko?

Rozdział 28

Max zaklął, ale żartobliwie, jak przy grze w karty, nie na poważnie.

– Będzie super – szepnęłam, a on mi posłał buziaka.

Wyglądał na pewnego siebie. Szczęśliwego. Nie zazdrosnego. Panował nad tym, kim jest i czego chce.

Co ciekawe, nie przypominał teraz brata.

Ludzie nie są idealni, ale pojedyncze chwile czasem są. Do tej nie mogłam się przyczepić. Już zapewniła sobie miejsce w mojej pamięci i na skrawku mentalnego papieru.

Max McCall wyszedł z cienia Trenta i stanął w pełnym słońcu.

– Tylko mnie nie postrzel – przypomniał.

Podniosłam broń.

– To mi nie podłóż pod lufę. – Mrugnęłam.

Dotknął krzyżyka na sercu, a potem ruszył za Giną i morzem zielonych kamizelek na miejsce spotkania organizacyjnego wyspiarzy. Wiedziałam, że jeśli odpadną, to jako jedni z ostatnich. Gina doskonale strzelała, a Max był zwinny i szybki.

Gray i ja też mieliśmy przewagę. Trenowaliśmy na tej wyspie od początków gry i z roku na rok byliśmy coraz lepsi. Kiedyś Gray zamydlił oczy Marge, żeby dała nam takie same kamizelki. A czasem po prostu mieliśmy szczęście i trafialiśmy do tej samej drużyny.

– Gina się ze mną zamieniła – przyznał.

– Tak myślałam.

– Takiej drużyny jak nasza się nie rozdziela.

No popatrz, a ty rozdzieliłeś!

Ale nie powiedziałam tego na głos.

Jakiś samozwańczy kapitan zgromadził nas wokół siebie i przedstawił zwycięską strategię: połowa z nas miała polować na flagę przeciwnika, połowa strzec naszej, a cztery osoby będą siedzieć w ukryciu i czekać, aż wszyscy inni się wystrzelają.

– Nie jesteśmy matematycznym geniuszem, co? – szepnął Gray.

– Połowa dodać połowa, dodać cztery równa się całość. Zapamiętałam! – Nasz kapitan nie był generałem Pattonem.

Gray od razu zignorował wszystkie instrukcje.

– Gdzie chcesz iść, Sadie May?

Zazgrzytałam zębami.

– Przypominam ci, że jestem uzbrojona.

– Przecież mnie nie postrzelisz, jestem w twojej drużynie – odparł z przekonaniem.

– Nie kuś!

Trącił mnie kolbą markera i zaproponował:

– W każdym razie chodźmy stąd, zanim nas zobaczy ten Einstein.

Nikt nie ruszył za nami, ale Patton i tak wrzeszczał, że mamy się schować. Zdaje się, że przypisał nas do nadprogramowej czwórki. Przyspieszyłam i zmusiłam Graya do biegu. Powinien był popracować nad kondycją: sapał i trzymał się krok za mną. Wyspa nie była duża, ale jak na paintballową arenę ogromna.

– Zawsze, jak tu jesteśmy, czuję się, jakbym występował w *Lost*. – Zanurkował w wysoką trawę, nie poruszając jej.

– Ja też!

Oddaliliśmy się od plaży o pięć minut szybkiego truchtu i dopiero wtedy rozbrzmiał klakson sygnalizujący początek gry.

– Chowamy się? – spytał Gray.

– Na trochę chyba tak – zasugerowałam.

Liczyliśmy, że będziemy jakiś czas cicho, a w tym czasie głodni krwi przeciwnicy wykończą się sami. Taka strategia sprawdziła się tego roku, gdy wygrałyśmy z Giną, więc warto było spróbować i dzisiaj. Mój od dawna uśpiony wojownik przeciągał się. Nie chciałam grać, chciałam wygrać! Nawet jeśli musiałabym podzielić chwałę z Grayem.

– Nikt się nie domyśli, że tutaj przyszliśmy. Za mało kryjówek.

– Cśś!

Kiwnął głową i razem wykopaliśmy głęboki na trzydzieści centymetrów okop. Położyliśmy się na wydmie, klnąc na małe kraby i pokruszone muszle. Wyeliminować mógł nas teraz tylko celny strzał prosto w twarz.

Słyszeliśmy, jak wkoło, ale nie za blisko, rozwija się akcja. Z północy dochodził świst kul, a co jakiś czas wiatr przynosił krzyk:

– Odpadam, odpadam, nie strzelaj już!

– Są daleko – ocenił Gray.

– Ale ktoś inny może być blisko – odszepnęłam.

– Popatrz na mnie.

Wypowiedział te słowa z taką delikatnością, jakby chodził po sklepie pełnym kryształów.

Spojrzałam, a on po raz pierwszy nie odwrócił wzroku. Uniósł nawet maskę i odsłonił oczy szare jak jego imię.

– Chcę ci coś powiedzieć.

Ty, Gina, Max... Jezu, czy ja mam wypisane na czole: „Zdradz mi sekret”?

– Teraz?

– Tak – potwierdził na tyle głośno, żeby sprowokować atak wroga. – Zanim mi zabraknie odwagi.

Spocił się. Patrzyłam na kropelki potu perlące mu się na czole, a wtedy nagle przeleciał nad nami ze świstem ładunek farby. On przetoczył się i osłonił mnie swoim ciałem.

Przypomniał mi się ostatni raz, gdy się nade mną pochylał.

Samochód płonie. Ja leżę na ziemi. Boli.

Teraz, na wyspie, szepnął mi do ucha:

– Nie ruszaj się.

Szybko wystrzelił i zza wydmy wyszła dziewczyna z różową i żółtą plamą na piersi.

Czuję w ustach krew. Krew, krew, krew jest wszędzie.

Teraz, na wyspie, leży na mnie. Jestem uwięziona między nim a ziemią.

– Chyba była sama – uznał w końcu.

Chciałam usiąść, ale nie mogłam. Gray przyciskał mi do twarzy koszulkę. Spytał: „Sadie, żyjesz?”

Skarbie, jesteś cała? Boże, Boże, przepraszam cię”. Powiedziała mu, żeby nie przepraszał, jest dobrze.

Ale nie było.

Teraz, na wyspie, sturlał się ze mnie i szepnął:

– Chyba już po strachu.

Stanowczym, wewnętrznym głosem odepchnęłam tamte wspomnienia. „Nie mam wehikułu czasu”.

– Zacząłem coś mówić – wrócił do tematu. Pot znów wystąpił mu na skórę. Nie wywoływało go słońce, tylko to, co miał do powiedzenia. – Widzę, że jesteś z Maxem szczęśliwa i...

– Przestań, proszę cię.

– Pocałowałem cię, a nie powinienem. Chciałem cię przeprosić. Jeśli po tym całym roku ktoś sprawia, że się uśmiechasz, niech będzie. Nawet, jeśli to nie jestem ja.

– Przecież nie chcesz tym kimś być. Wyraźnie to pokazałeś ostatniej jesieni – przypominałam, jednocześnie lustrując okolicę.

– Gina to był błąd. Nie stało się to bez powodu, ale ty byś nie...

– Co bym nie? Nie zrozumiała? Uwierz mi, że wolę wiedzieć, jak to się stało, że się zaczęliście całować, zamiast się gubić w domysłach.

– Naprawdę?

Nie odpowiedziałam od razu. Patrzyłam mu w oczy. Ból w ból.

– Tak.

– Dobrze. To nie Gina prowadziła samochód w dniu wypadku. Ja go prowadziłem.

Jego słowa wbiły się we mnie jak sztylet. Bezlitosne ostrze prawdy.

Nie wiedziałam, jak zareagować.

– Ale... Ty nie umiesz prowadzić bez automatu!

– Wiem. – Położył się na brzuchu. Łzy kapały mu na piasek. – Dlatego dżip mi zgasł.

– Ale... – Zacisnęłam dłonie tak mocno, że wystrzeliłam kilka serii w stronę drzew. – Dlaczego tak ryzykowałeś?

Schowwał twarz w zgięciu łokcia.

– To skomplikowane.

– Bardziej skomplikowane niż okłamywanie mnie i wszystkich? Przez rok?

Czy to chciała mi wyznać Gina?

Zobaczył w moich oczach strach i bez słowa pochylił głowę. Nie wierzył, że udźwignę to, co miał mi do powiedzenia.

Poczułam się śmiertelnie oburzona. Zbliżyłam usta do jego ucha i wycedziłam:

– Nie jestem laleczką z pieprzonej chińskiej porcelany. Mów prawdę!

– Jakbyś się nad tym zastanowiła, znałabyś powód. Trent zerwał z Giną dla ciebie.

– Nieprawda! – Powtarzałam to po raz kolejny.

– Nie wiesz, co mi powiedziała. Nie jechałaś z nami. – Wzdrygnął się, mówiąc te słowa. – Zresztą to nie ma znaczenia. Znaczenie ma prawda i to, że wreszcie ją znasz. Przysięgam, chciałem ci powiedzieć. Oboje chcieliśmy, ale nie było dobrego sposobu. Bałem się, że jak ci powiem, zaczniesz się obwiniać, a już dość miałaś bólu. Ale jak widzę nie było takiego zagrożenia. Ty nie poczuwasz się do winy za schrzaniecie ani naszego związku, ani ich.

Z niedowierzaniem pokręciłam głową.

– O czym ty, do cholery, mówisz? Nie mam się do czego poczuwać, bo ja nic nie zrobiłam! A już na pewno nie prowadziłam samochodu, którego nie umiem obsługiwać!

Już nie miał siły walczyć. Poczucie winy szpeciło go jak mnie blizny. Gdy się odezwał, nie został ślad po wcześniejszej bucie.

– Przecież ty prawie umarłaś. Niemal cię straciłem. Nie mogłem tego ogarnąć. A na dodatek utrata Trenta... I świadomość, że ja go zabiłem... Widzisz, jak się czułem? Byłem zły na niego, na ciebie, a potem na siebie. Jak na pieprzonej karuzeli. Nienawidź mnie, jeśli zechcesz, ale nie byłem w stanie zadać ci kolejnego ciosu. A później było za późno.

Chciałam coś powiedzieć, ale nie znalazłam słów.

Gray nigdy nie płakał, ale teraz z oczu i z nosa płynęły mu strumienie.

– To, co spotkało ciebie, Trenta i Maxa... To wszystko moja wina.

Wstałam, wystawiając się na strzały.

Plusk, plusk, plusk.

Dwie kulki trafiły mnie w ramię. Kolejna w nogę. Purpurowa farba rozprysnęła mi się na łydce. Odpadłam z gry. Ale i tak już nie grałam.

– Proszę cię, powiedz coś – błagał Gray. – Cokolwiek.

– Nie wiem, co powiedzieć. Co ja mam z tym wszystkim zrobić? – Plusk, plusk, plusk. Kolejne trafienie, w biodro.

– Obwiń mnie. Znienawidź. Ukarz. Zrób, czego potrzebujesz. Ja tego chcę. – Przycisnęła pięści do ud. – Chcę, żebyśmy już to mieli za sobą.

Nic nie mówiłam. Czułam wszystko. Chciałam do niego strzelić.

Doskonale odczytał targające mną uczucia. Wstał i stanął przede mną.

– Strzelaj.

Plusk, plusk. Ktoś już mnie wyręczył.

– Zastrzel mnie, Sadie.

– Już i tak odpadłeś.

– Wiem, że tego chcesz – szepnął.

Chciałam. Chciałam, żeby mój gniew znalazł ujście. A jednak się broniłam.

– Daj spokój, to głupota.

– Zasługuję.

– Żadne z nas nie zasłużyło.

Nie miał już więcej łez.

– Proszę cię.

Nigdy nie umiałam odrzucać prośb Graya Garrisona. Z odległości dwóch metrów strzeliłam mu w pierś. Celny strzał w serce. Potem opuściłam karabinek, nie potrafiłam się zdobyć na więcej.

Upadł na kolana i się rozpłakał.

Chciał zostać ukarany, a ja wybrałam słowa, nie farbę.

– Nienawidzę cię za to, że mnie okłamałeś.

– Ja cię nienawidziłem za to, że kochałaś Trenta.

– Trent był gejem, idioto!

Prawda wyrosła między nami niewzruszona jak posąg.

Poczułam się jak każdego ranka po włożeniu soczewek kontaktowych. Rozmazany świat nabierał ostrości i wyrazistości. Właśnie się okazał światem pełnym gorzkiego zrozumienia i żalu. Wszyscy kłamaliśmy. A kłamstwa, i w dobrej, i złej intencji, zawsze powodują nieodwracalne straty.

– Mogłaś mi powiedzieć. To by nic nie zmieniło między mną a nim.

Gray Garrison: kłamca, zdrajca i cudowny przyjaciel Trenta McCalla.

– Nie. – Pokręciłam głową. – On powinien był ci powiedzieć.

– Teraz już nie powie.

– Nie powie – zgodziłam się.

Gray skulił ramiona. Spojrzał na Idaho i na bliznę przy ustach. Konfrontował się z konsekwencjami swoich działań i błędnych interpretacji.

Tym razem to ja odwróciłam wzrok.

– Przepraszam. Za wszystko.

Chociaż mnie też było przykro, nic nie powiedziałam.

Rozdział 29

Kilka maili do Maxa, gdy był w Salvadorze.

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 10 maja

Temat: do konkretów

Max,

Jezu, skąd to wzięłeś?!

Przysięgam ci, że między mną a Trentem nic nie było. Nigdy! Nie wchodzisz na jego terytorium. Nie jesteś zamiennikiem. Ani pocieszeniem po Grayu. Proszę cię, zaufaj mi. Tak bym chciała ci wyjaśnić, jak bardzo jestem tego pewna.

Twoja,

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 12 maja

Temat: re: do konkretów

Nie mogę ci powiedzieć, ale wiem na pewno.

Rozmawialiśmy o tym z Trentem.

Wiem, że kochał mnie jedynie jak siostrę.

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 14 maja

Temat: re: re: re: do konkretów

Max,

tak, uważam, że jesteśmy prawdziwą parą. Bez osób trzecich.

Ty nie?

Twoja,
Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 17 maja

Temat: re: re: re: re: do konkretów

Max,

czasem, jak przez kilka dni nie odpowiadasz, dostaję świra.

Zwłaszcza gdy wysłałam taki mail, jak ostatni.

Bardzo się cieszę, że się zgadzamy. To śmieszne, że czasem dwoje ludzi martwi się tym samym, gryzie się, analizuje, dogrzebuje do prawdopodobnych przyczyn i przewiduje tragiczne konsekwencje... a nie jest w stanie o tym porozmawiać. Posłuchaj mnie teraz, bo mówię głośno i wyraźnie: lubię cię, bo jesteś sobą. Koniec. Zapiszę to zaraz i wsadzę do Biga.

Dziękuję za to, co napisałeś o mojej twarzy. Pamiętaj, że masz prawo się ze wszystkiego wycofać, gdy mnie zobaczysz.

Dobra, już wysłałam. Szczerość bywa niewygodna.

Twoja,
Sadie

Rozdział 30

Podniosłam ręce w geście poddania się, jako zawodniczka i jako ja, i ruszyłam w stronę rejestracji. Na autopilocie dotarłam do skutera, a autopilot Maxa doprowadził go z głębi wyspy do mnie.

Gray został.

Na plaży siedziało już stadko piratów pokrytych rozpryskami farby. Opowiadali sobie mrozące krew w żyłach historie o swoich porażkach, popijali lekkie piwo i wszędzie doszukiwali się oszustwa. Nigdy wcześniej nie uczestniczyłam w ich spotkaniu i teraz też nie zamierzałam zostać.

Skóra mnie mrowiła w miejscu, gdzie dostałam kulka, ale to i tak nic w porównaniu z bólem, jaki czułam w sercu. Takie już są kłamstwa. Wnikają najgłębiej.

Dotarłam do skutera i usiadłam. Obok pojawił się Max bez śladu farby. Położył mi ręce na ramionach, szybko przytulił i spojrzał z niepokojem.

– Muszę się stąd wydostać.

Bez słowa zebrał nasze rzeczy, pomachał grupce nic nierozumiejących zawodników, którzy nie mogli uwierzyć, że nie zostajemy do końca, kogoś nawet przeprosił – nie wiem, kogo, bo się nie odwróciłam – i obiecał, że pojawimy się w przyszłym roku. Nie chciałam odpywać bez pożegnania z Tommym i Marge, ale nie mogłam pozwolić, żeby mnie widzieli w takim stanie. I nie chciałam widzieć nikogo.

Max upchnął nasze rzeczy w schowku skutera i usiadł przede mną, przodem do mnie.

– Chcesz pogadać?

Miał chrapliwy głos.

– Chcę jechać.

Podał mi kapok, a kiedy nie zareagowałam, powiedział mi to samo, co ja jemu na pogrzebie Trenta: „Jedyny sposób, żeby się wydostać, to iść naprzód”.

Nie chciałam mu utrudniać życia, ale moje ręce jakoś nie współpracowały. Mózg miałam chyba za bardzo zajęty mieleniem tam i z powrotem faktów i uczuć.

Oboje nas okłamali.

Powiedziałam Grayowi prawdę o Trencie.

Muszę teraz powiedzieć Maxowi.

Zapiął na mnie kapok, jakbym miała pięć lat. Czułam jego intensywne spojrzenie i zamknęłam oczy.

– Jedziemy. – Złapał mnie za rękę.

Odruchowo wstałam, żeby mógł sprowadzić skuter z powrotem do wody.

Płynął przed siebie. Niedaleko zacumował jacht jego rodziców, ale Max nawet nie mrugnął, gdy Sonia pytała, dokąd płyniemy. Gdy oddaliliśmy się już poza zasięg wzroku ludzi na wyspie i na łodziach, Max wyłączył stacyjkę.

– Czego ci potrzeba? – spytał.

– Otwartego morza.

– Jasne. – Po chwili znów pruliśmy przez fale.

Świat wokół mnie wirował.

Czułam wszystko i nic.

Radosne, pierzaste obłoczki, które powitały nas rano, pociemniały i posiniaczyły niebo. Groziły deszczem. Wkrótce groźby zostały zrealizowane. Jechaliśmy suchutcy, a sekundę później z nieba runął wodospad. Deszcz przykleił mi grzywkę do Idaho, a Maxowi ubrania do ciała. Natura, gdy szła na całość, odrywała ze szczytów gór lawiny i burzyła domy, ale bólu nie potrafiła usunąć.

Wszystko ma swoje granice.

Max mknął prosto w linię horyzontu. Trzęśłam się od wiatru i deszczu, gdy skakaliśmy na coraz groźniejszych falach.

Zwolnił.

– Zanurzymy się, to się rozgrzejemy.

Zahamował i zsunęłam się, a kapok utrzymywał mi głowę nad powierzchnią wody. Max trwał obok mnie, z jedną ręką na skuterze, a drugą na moich plecach. Kołysaliśmy się na falach, wypatrując piorunów.

Morska i deszczowa woda zmyła mi farbę z ramion i rąk. Starły się też tatuaże z twarzy. Tak jakby wiedziała, że nie chcę mieć żadnych pozostałości po dzisiejszym dniu.

– Co się stało? – spytał w końcu.

– Gray i Gina...

Nachylił się do mnie, żebym nie musiała przekrzykiwać wiatru.

– Okłamali nas. – Powtórzyłam mu, co powiedział Gray. Nie wiedziałam wszystkiego i w mojej historii były luki, ale gdy skończyłam, Max głośno zagwizdał. – Jest coś jeszcze.

Znów podpłynął bliżej.

– Chodzi o Trenta – wyjaśniłam. – O coś, czego ci nie napisałam.

Nie zamierzałam mówić Grayowi, wypsnęło mi się, ale teraz słowa ugrzęzły mi w gardle.

– No dobrze... – Przygotował się na najgorsze.

Krople deszczu nas bombardowały. Odetchnęłam głęboko i wystrzeliłam własną serię:

– Pamiętasz tę kartkę w pokoju Trenta, którą znalazłeś pod jego materacem?

Powoli kiwnął głową.

– Dostał ją od Callahana.

Podniósł pytający wzrok. Wszystkie pytania, jakie kłębiły się w jego głowie, zamknął w imieniu i nazwisku.

– Od Chrisa Callahana?

– Tak.

– Chcesz mi powiedzieć, że to, co myślę, to prawda?

– Tak.

– Ktoś jeszcze wie?

– Teraz powiedziałam Grayowi.

– Jemu pierwszemu. – To jednocześnie było pytanie i stwierdzenie.

– Nie wiedziałam, jak ci powiedzieć.

– Po tych wszystkich mailach, w których się martwiłem...

– On nikomu nie powiedział, więc traktowałam to jak tajemnicę.

– Tobie powiedział! – zawołał oskarżycielsko. – A ty powiedziałaś Grayowi, a nie mnie, chociaż ja jestem jego bratem.

– Nie chciałam, żeby tak wyszło. Wyrwało mi się ze złości. Mówię ci teraz...

Max dokończył zdanie za mnie:

– Bo musisz.

– Może – przyznałam. – Ale cieszę się, że wiesz. Trent nie chciał ci mówić.

– Dlaczego?

– Nie chciał, żeby coś się zmieniło.

– Dupek.

– Postaw się na jego miejscu. To przerażające próbować nagle żyć inaczej.

– Zniósłbym to! Mogłem mu pomóc. Powinnaś mi była powiedzieć.

Ale nie powiedziałam. I nic już tego nie zmieni.

Max zanurzył brodę. Nabrał garść wody i patrzył, jak ocean przecieka mu przez palce. Jeśli coś powiedział, jego słowa opadły na dno zatoki.

– Co robimy? – spytałam.

Odchylił głowę, która wyglądała jak owoc na przeciążonym drzewie.

– Wracajmy do domu. – Zabrzmiało głucho.

Sytuacja błyskawicznie się zmieniła. Przypłynęliśmy tu dla mnie. Odpływaliśmy dla niego.

– Wszystko w porządku?

Odpowiedział szybko i cicho:

– Nie wiem, gdzie jestem. Oni skłamali i muszą z tym żyć. Ty skłamałaś. Trent kłamał. Potrzebuję czasu.

– Ale posłuchaj... – zaczęłam, ale zamilkłam, żeby nie pogarszać sprawy. Miał święte prawo tak się czuć.

Bez słowa wdrapał się na skuter, a ja automatycznie podążyłam za nim. Skłonił mnie, żebym usiadła z przodu. Zamknął mnie między swoim ciałem a kierownicą.

Po drodze do jego przydomowego pomostu odpłynełam myślami.

Wróciłam do dnia, w którym Trent powiedział mi o Callahanie.

Rozdział 31

Kolejny letni dzień, gdy do szczęścia trzeba mi było tylko książki, ręcznika i kremu do opalania. Trent wyrwał mi czytało i pouczył:

- Nie żyj w świecie fantazji, chodź do mojego świata.
- Będą tam motory? – spytałam i odebrałam mu książkę.

Podciągnął mnie z ręcznika.

- Pewnie, że tak! – Uśmiechał się od ucha do ucha.

Mruknęłam coś z niezadowoleniem, ale zesłam za nim z plaży. Marudziłam, że piasek jest gorący. I że zaczął się ciekawy wątek w powieści. Pytałam, dokąd idziemy.

Ale Trent odpowiadał na pytania jedynie od czasu do czasu.

Zaprowadził mnie do yariski i podjechaliśmy do wypożyczalni kiteboardów, gdzie pracował nasz kolega Callahan.

- Daj kluczyki – zażądał Trent.

Callahan był od nas parę lat starszy. Czasem pożyczaliśmy u niego deski, ale nie spodziewałam się, że Trent zna go na tyle dobrze, żeby czegoś się od niego domagać. Ale Callahan mrugnął do niego, rzucił kluczyki i powiedział tylko:

- Ma mieć pełny bak, jak oddasz.
- Jasna sprawa. – Po drodze do Ninjy Trent promieniał.

Zaczęłam się denerwować. Wsadził mi kask na głowę, a ja władowałam się na siedzenie. Przez miasto toczyliśmy się powoli. Zachowywał doskonałą równowagę i bez trudu się dopasowałam do jego rytmu. Współdziałaliśmy harmonijnie, przechylałam się tam, gdzie on.

- Dobrze ci idzie! – wrzasnęłam.

Jeśli w ogóle usłyszał, to jedyną reakcją było dodanie gazu. Zostawiliśmy za sobą wybrzeże i pruliśmy w stronę Florydy, którą mało kto odwiedza. Tam, gdzie na polach leżą bele bawełny, a o drzewa opierają się porzucone stragany z fistaszkami. Wychylałam się razem z nim na zakrętach, dłonie oparłam na udach i wyglądałam z jego prawej strony na mknący obok nas świat. Piękny był.

Miałam gdzieś, że pewnie przez tydzień nie rozczeszę kucyka. Droga się nie kończyła, zapachy też nie. Sosna, skóra, kokosowy krem do opalania. Słońce stało tak wysoko na niebie, że wyglądało jak lampa.

Towarzyszył mi Trent, czarodziej niezwykłych dni.

Przyśpieszył i przyśpieszyło też moje serce. Prędkość i wiatr mnie zachwycaly. Gdzieś w okolicy dziewięćdziesięciu sześciu na godzinę pomyślałam: „Rany, trochę szybko”, i objęłam Trenta w pasie. Czuałam, że się śmieje. Był zachwycony, że mnie nastraszył.

Zatrzymał nas znak stopu. Trent postawił nogi na szosie i odwrócił się do mnie:

– Twoja kolej.

Przesiedliśmy się i słuchałam jego wskazówek. Na zakrętach było trudno ze względu na rozkład wagi między nami. Ale na prostej...! Mknęłam przed siebie i pozwoliłam wskazówce prędkościomierza sięgnąć stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, potem rozważnie zwolniłam i zahamowałam.

– Rządzisz! – zawołał Trent. – Przyznaj, że w książce się tak nie da.

Nie mówiłam mu, że oczywiście, da się, bo on i tak nie rozumiał idei powieści.

Zamienialiśmy się raz za razem i pogubiliśmy się w plątaniu bocznych dróg, aż w końcu Trent zahamował w trawie i stwierdził ze zdziwieniem:

– Ej, znam to miejsce. Chodź na spacer, Sadie May.

Uruchomiłam potulność.

Potulność (rz.) – gotowość do pójścia za Trentem McCallem w serce Mordoru albo Zakazanego Lasu, a na pewno na pole z tabliczką „Zakaz wstępu”.

Długie źdźbła trawy obijały się o jego łydki, gdy opuścił pobocze i zrobił kilka kroków na pole.

– Chodź! – zawołał tym swoim chropowatym głosem.

– Idę tuż za tobą.

Zapadliśmy się w miękkiej ziemi. Ze szczytu niewielkiego pagórka zobaczyłam więcej niż dotąd: kawał północnej Florydy, wyglądający dokładnie tak samo jak cała północna reszta.

Trent zdjął kurtkę Callahana, rozłożył na ziemi i poklepał.

Zaakceptowałam zaproszenie.

Gdy już oboje siedzieliśmy, odwrócił się do mnie.

– Czasem niebo jest moją ulubioną fotografią.

– Raczej filmem? – skorygowałam.

– Nie, jeśli zapamiętujesz te idealne ujęcia. – Poklepał się w skroń i udawał, że robi zdjęcie. Jeden trzask migawki za drugim. – Ten twój portret zachowam na zawsze.

Popchnęłam go dla żartu.

– Tylko nie ten. Chyba od tygodnia się nie cesałam.

– Latem nikt się nie czesze – poinformował.

Musiałam przyznać rację.

Niebo roztaczało nad nami kopułę w kolorze dżinsu. Nawet ocean nie miał dziś startu do tego odcienia. Ta opowieść uszczęśliwiła mnie tak samo, jak ta z książki.

– Tata mnie tu przywoził, jak byłem mały – powiedział. – Widać stąd samoloty.

– A Maxa? Z nim też tu przyjeżdżał?

– Nie, to było nasze miejsce. Z Maxem chodził do biblioteki. – Pracował palcami niczym małym pługiem: przeczesywał ziemię i przesypywał w palcach grudki gliny i piasku. – Tylko raz byłem tu z kim innym niż z tatą.

– Z Giną?

– Nie. Z nią się spotykamy u niej. – Wzruszył ramionami. – Ona woli kanapę.

– To z kim? Z Grayem?

Nie odpowiedział.

– Macie jakieś miejsce, gdzie chodzicie z Grayem? No wiesz, jak nie jesteśmy w czwórkę.

– To tajemnica.

– Nawet mnie nie powiesz?

Zastanowiłam się. Trent i Gray byli z sobą na tyle blisko, że mogli sobie sami opowiadać takie rzeczy, ale czułam, że jeśli powiem Trentowi, zdradzę Graya. Z drugiej strony zatajenie wydawało się jeszcze gorsze.

– Kojarzysz złomowisko niedaleko Ferry Park? To Metalowego Pete’a. Czasem tam chodzimy i przełazimy pod ogrodzeniem na tyłach. Stoi tam stary kamper i...

Resztę zostawiłam jego wyobraźni.

– Miło – stwierdził po krótkiej przerwie. – Ale nie tak miło jak na polu. Popatrz na te różaneczniki. U Metalowego Pete’a takich nie ma, nie?

Dziwne porównanie. Odwrócił głowę w moją stronę. Miał oczy koloru nieba.

– Czasem myślę...

– O czym?

– O wszystkim.

– Wybierz któreś ze swoich zdjęć i opisz.

Skóra wokół oczu pomarszczyła mu się jak u starca.

– Myślę o końcu szkoły, o tym, co zrobię ze swoim życiem i z kim je spędzę. I czy wierzę w Boga, bo myślę, że tak. Chyba nic nie jest przypadkowe. Wszystko we wszechświecie wydaje mi się przemyślane, gdy patrzę na ocean i wiem, że jego ruchem steruje księżyc. Albo gdy widzę kraba kopiącego dziurę w piasku, albo rekina wyglądającego na powierzchnię wody. I na smugę kondensacyjną za samolotem. I nawet na te różaneczniki tutaj. Rosną pośrodku totalnego niczego, a i tak są piękne. Ja też chcę taki być.

Wystukiwałam rytm słów na jego udzie i na chwilę zawahałam się nad słowem „piękne”.

– Chcesz być piękny? – spytałam prowokacyjnie.

Poklepał się w pierś.

– Tutaj. Tutaj chcę być piękny.

Mówił tak poważnie, że prawie się popłakałam.

– Jesteś.

Ale mój uśmiech go nie przekonał.

– Nie czuję się taki. Życie jest raczej jak ten twój paskudny ptak. Napychamy je całymi garściami chwil i mamy nadzieję, że okażą się wartościowe, ale i tak dowiemy się tego o wiele później. – Zamilkł i zakrył twarz. – Chciałem dzisiaj po prostu popatrzeć na niebo, ale skoro już tu jesteśmy i gadamy, chcę ci coś powiedzieć.

– Powiedz. – Kostki palców pobieleły mu od napięcia. Siłą rozdzieliłam mu palce i zobaczyłam jedno oko. – Czemu się tak spiąłeś? Przecież to tylko ja. Leżymy sobie na polu, a dzień jest idealny. Jechaliśmy motorem tak szybko, że prawie się posikałam. To doskonały dzień na zdradzanie sekretów.

Rozluźnił mięśnie twarzy, ale te znajome zmarszczki wokół oczu zostały.

– No to zdradzam. Chcę coś znaczyć. Chcę być znany. Chcę być sobą. Chcę, żebyś opisała ten dzień i wsadziła do Biga. A potem, jak kiedyś wyciągniesz tę karteczkę i przeczytasz, żebyś sobie pomyślała: „Boże, ten dzień z Trentem to był jeden z najfajniejszych dni w moim życiu”.

Zaniepokoiłam się.

– Trent, co się dzieje? Mówisz, jakbyś w nas wąpił.

– Daj mi dokończyć – poprosił. – Odkryłem, że można być zakochanym w dwóch osobach jednocześnie. Oraz że to bardzo niewygodne.

Wpatrywałam się w mojego najlepszego przyjaciela szeroko otwartymi oczami. Na jego brodę, czoło, opadający na nie kosmyk włosów i długie jasne rzęsy. Wszystkie te szczegóły, nawet pory skóry, które sprawiały, że Trent był Trentem.

Co on mówi? Że kocha Ginę? I mnie jednocześnie?

Kochałam Graya. Nie miałam co do tego wątpliwości. Tylko jego imię wpisywałam w serduszka. Tylko jego nazwisko przymierzałam do swojego imienia. Sadie Garrison. Ale... Trent to Trent. Mój Trent. Jego też kochałam. Nigdy się nie zastanawiałam, co to za miłość, bo zawsze była tak cholernie platoniczna.

Ale teraz się zastanowiłam.

Wyobraziłam sobie przyszłość, w której idziemy z Trentem do kawiarni, a on kupuje mi waniliowe latte na podwójnym espresso i zastanawia się, czy to by było nie na miejscu poprosić Graya Garrisona, żeby był drużbą na naszym ślubie.

Ta myśl była tak przerażająca, że zapragnęłam ją zabić, zanim się zmieni w wizję. Na twarzy Trenta znów się pojawiło napięcie. Czułam, że ta rozmowa zaraz się zrobi niezręczna.

Przyciągnął mnie do siebie.

Był tak blisko, że czułam na ustach jego miętowy oddech.

Zamarłam w pół myśli.

Myślałam o Grayu, o zepsuciu wszystkiego, co zbudowaliśmy.

O tym, jak lubię smak mięty na języku.

O waniliowej latte.

Znowu o Grayu i o tym, że nie lubi kawy.

O jego słodkiej twarzy i gorących łzach, które popłyną, gdy się dowie, że go zdradziłam z jego najlepszym przyjacielem.

Z tej sytuacji nie było wyjścia ewakuacyjnego. Można było tylko przegrać. Będę żałować, jeśli pocałuję Trenta i być może pożałuję, jeśli tego nie zrobię.

– Nie możemy – szepnęłam.

– Boże! – Zrobił się cały czerwony, gdy się zorientował, co pomyślałam. – Nie chciałem...! Nie chodzi o to, że się zakochałem w tobie.

– Ach! Tak to zabrzmiało...

– Nie, nie! Przepraszam cię. Bardzo przepraszam. – Zaśmiał się nerwowo. – Nie ciebie miałem na myśli. Tylko Chrisa.

– Chrisa?

Uśmiechnął się tak, jak nigdy wcześniej.

– Callahana – szepnął.

Seksowny Chris Callahan z wypożyczalni desek do kite'a? Śliczny Chris Callahan z ledwo dostrzegalnym zarostem, w skórzanych spodniach i z motorem, na którym jeździliśmy? Miły Chris Callahan, który mrugnął do Trenta?

– Aha. O rany. No dobra. Hm, nieźle.

– Nienawidzisz mnie?

– No co ty?! Skąd w ogóle taki pomysł? – oburzyłam się. Nie mieliśmy żadnych znajomych gejów, ale nigdy nie przyszłoby mi go głowy, żeby go oceniać na podstawie tego, w kim się zakocha.

– Bo...

Wyglądał jak zagubiony chłopczyk.

– Słuchaj, zupełnie mnie nie interesuje, kogo kochasz, jeśli tylko będziesz mnie chciał w swoim życiu.

Wsunął mi kosmyk włosów za ucho, a potem pocałował mnie w czoło.

– Jesteś cudem nad cudami, Sadie May.

– No wiesz. To, że jesteś zakochany w Chrisie Callahanie to znacznie lepsza wiadomość, niż gdybyś był zakochany we mnie.

– A inni? Jak myślisz?

Mówił o Ginie, Grayu i Maxie.

– Ginie musisz powiedzieć.

Spojrzał w niebo.

– Nawet jeśli jeszcze tego wszystkiego nie ogarnąłem?

– A Chris wie? – spytałam prowokacyjnie.

Pokiwał nieśmiało głową i coś mi mówiło, że jego uczucia są odwzajemnione.

– W takim razie musisz też coś powiedzieć Ginie. Zasługuje na to.

– Masz rację. – Powoli niechętnie pokiwał głową. – Ale daj mi trochę czasu. To uczucie mnie zaskoczyło i nie jestem pewien, co z tym zrobić.

Przekręciłam jego twarz do siebie, żeby zadać mu szczere pytanie:

– Czego byś chciał?

– Zrozumieć.

Tak, czułam to. Przyszło mu się zmierzyć z niełatwymi uczuciami.

– Dobrze – zgodziłam się. – Ale jak już to ogarniesz – zrobiłam w powietrzu cudzysłów – a nie powiesz Ginie, skopię ci dupę, jasne?

Zasalutował.

– Jasne.

Leżeliśmy tak jeszcze trochę.

– Znasz Ginę jak nikt. Co ona robi? – spytał.

Mogłam się tylko domyślać, ale nie zamierzałam.

– Nie wiesz, jak zareaguje, ale to nic. Nie wiadomo, może cię zaskoczy.

– A Max i Gray mnie nienawidzą?

– Nie wydaje mi się, żeby nienawiść w ogóle wchodziła w grę. Będą zaskoczeni.

– Ty byłaś?

Uniosłam brwi.

– Może pamiętasz ten moment, kiedy byłam pewna, że chcesz mi wyznać nieskończoną miłość, a ty powiedziałaś, że jesteś gejem?

Roześmiał się.

– Nie jestem gejem.

Wywróciłam oczami i wzięłam go za rękę.

Zamyślił się.

– No dobra, może i jestem.

Mieliśmy dość wrażeń jak na jeden dzień.

– Dziękuję – szepnął.

– Za co?

– Za zrozumienie.

Żałowałam, że nie dał Maxowi, Grayowi i Ginie takiej samej szansy.

Rozdział 32

Max nadal siedział na skuterze, choć ja już zsiadłam. Był zamyślony i nie popatrzył mi w oczy, gdy spytałam:

- Pogadamy później?
- No pewnie. Zadzwonię.

Czyli w porządku, bałam się, że będzie gorzej.

Jak zombie powlekłam się do domu. Zastanawiałam się, czy tak się czuł Trent tuż przed powiedzeniem mi o Callahanie. Czy bał się, że za moment może mnie stracić.

Wzięłam długi gorący prysznic, ozdobiłam flamastrem blizny, nawet Idaho i Bezimienną, a potem położyłam się do łóżka. Przez cały zeszły rok nie czułam się tak źle. Jak to się wszystko stało? Właśnie dlatego wszyscy kłamaliśmy. Żeby uniknąć wybuchu. Ale zniszczenia i tak nas nie ominęły.

Zasnęłam z tą myślą i obudziłam się dopiero po południu, gdy rodzice wrócili z rozgrywek. Trzaskały szuflady i drzwiczki, gdy chowali sprzęty kempingowe. Nasłuchiwałam szeptów, ale nie rozmawiali. Ten hałas mówił za siebie. Wrócili źli.

Potem usłyszałam dudniące kroki mamy zbliżającej się do mojego pokoju jak Godzilla. Przekreśliła kłamkę.

- Sadie?

Bum! Rzuciła na podłogę moją torbę i wpatrywała się we mnie z przerażeniem.

- Coś ty zrobiła?! – Każde słowo podszyte było przerażeniem.
- Wróciłam wcześniej.
- Chodzi mi o twoją twarz.

Powoli naciągnęłam kołdrę nad usta, a potem na całą głowę, bo przypominałam sobie flamastrową sesję przed snem. Nie wiedziałam, jak to wyjaśnić.

Mama podeszła do łóżka i usiadła.

- Co się stało, skarbie?
- Życie – odpowiedziałam krótko.
- Myślałam, że już ci lepiej – stwierdziła rozpaczliwie.
- Bo lepiej.

Ściągnęła kołdrę i oderwała mi dłonie od twarzy.

- Skarbie, to nie wygląda na lepiej. Tylko zupełnie strasznie.
- Bo jestem straszna.

Zaczęła mnie całować po całej twarzy, jakby flamaster zostawił setki siniaków, które domagały się jej uwagi. Przy każdym buziaku mówiła:

– Już dobrze. – Brzmiało to jak mantra.

Mozna zresztą tak było.

Skończyła, ale nie oderwała dłoni od mojej twarzy.

– Słuchasz mnie? – Przecież nie miałam wyjścia. – To, co dzisiaj zrobiłaś, było niegrzeczne i egoistyczne. Jak można wyjeżdżać w środku wspólnego weekendu? Nie mówić dlaczego? Nie odpowiadać na SMS-y? – wyrzucała z siebie ze złością, ale potem westchnęła. – Twój tata i ja... Nawet nie wiem, jak to ująć, ale... – Uszczypnęła mnie lekko w policzki, ale jej głos złagodniał. – To jest ważniejsze.

Wstała i wyszła. Wróciła z paczką chusteczek nawilżanych alkoholem. Bardzo ostrożnie, delikatnie, zmyła mi z twarzy flamaster. Podciągnęłam rękaw, żeby jej pokazać Tennessee.

Też ją oczyściła.

Podniosłam kołdrę i odsłoniłam Pink Floyd.

Ze smutkiem usuwała to, co sobie zrobiłam. Zebrała chusteczki i bardzo cicho zapowiedziała:

– Zadzwońię do doktora Glassona.

– Dobrze.

– Gdzie masz flamastry?

– W szufladzie, w szafce nocnej.

Zabrała oba mazaki i wyszła. Zamknęła za sobą drzwi i natychmiast ponownie je otworzyła.

– Kocham cię! – poinformowała bardzo stanowczo.

Zamknęła na dobre i poszła do kuchni. Żeby zadzwonić. I do aury bezpieczeństwa rozpościeranej przez tatę i dzambalaję, którą robił. Gdy pojawiał się problem, tata gotował. Czasem o drugiej po południu, czasem o drugiej nad ranem.

Tata gotował. Mama sprzątała. Ja patrzyłam na wewnętrzną stronę powiek.

Ale nie ozdobiłam mazakiem już żadnej blizny.

Szumiała klimatyzacja, wiatrak na suficie kręcił się ospale. Dwa zwisające z niego łańcuszki objęły się o siebie. Dzyń. Cisza. Dzyń. Moja rybka pływała w bulgoczącym więzieniu. Dobrze znany biały szum, który zawsze kołysał mnie do snu.

Tego popołudnia nie dawał mi zasnąć.

Jakąś godzinę później otworzyły się drzwi, a potem dwa zapachy bez zaproszenia wpakowały się do mojego łóżka. Sól morską i drzewo sandałowe. Aromat miliona wspólnych nocowań.

Gina.

– Musiałam przyjść. Proszę cię, nie każ mi spadać.

Oddzielała nas od siebie kołdra. Objęła mnie i przysunęła się jak najbliżej. Spędziłyśmy godziny na gadaniu w tym łóżku. Rozmawiałyśmy o facetach, lakierach do paznokci, seksie, ciuchach, tuczących frytkach... Mogłabym napisać książkę grubości trylogii Tolkiena na temat tego, o czym rozprawiałyśmy.

Po roku odtrącania jej i odpychania przysunęłam się bliżej.

Moja najlepsza przyjaciółka mnie objęła.

Nie wiem, może wściekłość wciąż we mnie żyła, ale było cudownie.

– Gray mi powiedział, co się stało. Właśnie to ci chciałam wyznać po weekendzie.

Wtulałam się w jej pierś, żeby jej nie widzieć. Odetchnęła tak głęboko, jakby chciała użyć powietrza z

moich płuc.

– Przepraszam.

I jeśli czegokolwiek na świecie mogłam być pewna, to tego, że naprawdę jej przykro. Przeczesywała mi splątane włosy, jakby mogła rozplątać wszystkie inne zawikości.

– Czemu mi nie powiedziałaś prawdy? – spytałam.

Gina się nie zawahała:

– Bo to było nie tylko moje kłamstwo. Ani nawet tylko jedno. A ty czemu mi nie powiedziałaś, że Trent był gejem?

– Z tego samego powodu.

Owinęła wokół palca kosmyk włosów i skręcała tak długo, aż dotarła do skóry. Napięła mocno. Powstrzymałam ją.

Przyjaźniłyśmy się od przedszkola. Jak się kogoś zna tak długo, czyta się w nim jak w gazecie. Uśmiechy i zmarszczone brwi są jak newsy z pierwszej strony. Łzy jak nekrologi i ogłoszenia o narodzinach dzieci. A drobne nawyki jak opowieści z życia wzięte. Nawijała włosy na palce zawsze, gdy czegoś bardzo żałowała.

– Możemy sobie teraz powiedzieć wszystko? – spytała.

– Chciałabym.

Pomasowała się po czole, nad brwiami. Potem na mnie spojrzała. Od Idaho do blizny przy ustach. Dotknęła ich palcem.

Pozwoliłam jej. Gdy Max całował te miejsca, też nie zamykał oczu.

– Nie mogę na ciebie patrzeć – szepnęła.

– Zauważyłam.

– Dlatego że czuję się winna.

Żeby nie słuchać jej cichych szlochów, wpatrywałam się w akwarium. Chciałam ją objąć i w końcu to zrobiłam. Płakała. Woda w akwarium bulgotała, a rybka zataczała koła. Słuchałam jej sercem. I wiedziałam, że wreszcie poczuła się wysłuchana.

Gdy się odezwała, zobaczyłam w jej oczach wspomnienie wypadku.

– Słyszeliśmy z Grayem pisk opon, odwróciliśmy się... – Pomasaowała się po karku. – Patrzyliśmy. Słyszeliśmy. Dźwięk samochodu wbijającego się w drzewo słyszę w nocy. I kiedy się budzę. I jak na ciebie patrzę, i kiedy myślę o Trencie.

– Też to słyszę.

Rozgarnęła mi grzywkę i przyjrzała się Idaho, naprawdę uważnie.

– Gray pewnie też to powiedział, a ty pewnie nie zrozumiałaś, ale zostałam ranna. Nie tylko tutaj. – Powoli przesunęła ręce z Idaho i Tennessee w okolice mojego mostka. – Tutaj też coś się zepsuło. U nas wszystkich, na różne sposoby. Wszyscy zawiedliśmy. – Zamilkła, żeby zaczerpnąć tchu, a ja czekałam na dalszy ciąg. Na ciszę. Na jej słowa. – Myśleliśmy z Grayem, że oszczędzamy ci dalszego bólu. Ale to się obróciło przeciwko nam. Wspólna tajemnica zrodziła między nami jakąś dziwną bliskość. Byliśmy partnerami w zbrodni. Kiedy nas wtedy przyłapałaś, wiedziałam, że przysporzyliśmy ci kolejnej blizny. Była podpisana moim imieniem. Zrozum, proszę cię, nie potrafiłam się zmusić do spowodowania jeszcze jednej.

Otarłam jej łzy. Rozumiałam intymność, jaką rodzą sekrety.

– Ty też zostałam ranna – przypomniałam. – Ale mnie wykluczyłaś. Schowałaś to przede mną.

– Wszyscy się chowaliśmy.

– Najbardziej mnie zabolalo, że wybrałaś Graya, a nie mnie.

– A ty wybrałaś Maxa.

– Tak, chyba tak.

Gina usiadła i oparła się o zagłówek łóżka. Zrobiłam to samo. Potem położyłam jej głowę na ramieniu i wtuliłam policzek w jej włosy.

– Sadie?

– Tak?

– Myślisz czasem, co by było, gdybyśmy wszyscy poszli na lody albo w ogóle nie pojechali na plażę, albo gdyby Trent nie postanowił ze mną zerwać akurat w tamtym momencie?

– Codziennie.

Nie mamy wehikułu czasu.

– Nie wiem, co by było, wiem, co się stało.

Ona też była tego świadoma.

Czworo przyjaciół; dwie pary, przestały się przyjaźnić, zanim się rozstały. Pytania wwiercały im się w czaszki. Dotyczyły zaufania i intencji. Kto kogo kochał najbardziej? Co, jeśli on nie jest dla niej? Albo ona dla niego?

Nikt o tych wątpliwościach nie wspominał, żyli w wygodnym zaprzeczeniu. Rozmowa przekłułaby mydlaną bańkę. Zrujnowałaby szanse na „żyli długo i szczęśliwie”.

Istniały prawdy, w które wierzyli.

I kłamstwa.

Powinni byli rozmawiać, kiedy jeszcze coś zostało do powiedzenia.

– Posłuchaj – zaczęłam. – Nie wiem, co ci Gray powiedział, ale pamiętaj, że Trent cię kochał. Naprawdę.

Otarła łzy prześcieradłem.

– Wydaje mi się, że kłamał.

– Znałaś go. Był odkrywcą. – Zebrałam wszystko, co mówił o uczuciach do Callahana, żeby jej wytłumaczyć. – To właśnie robił. Nie miał pewności, czego chce, ale był pewien, że kocha was oboje. Nie rozumiał tego i bał się. Nie chciał, żebyś ty się bała i zadawała pytania bez odpowiedzi, aż on się dowie, o co w tym chodzi.

– Jesteś pewna?

– Wiesz, że tak. Miłość jest czasem trudna do ogarnięcia – odparłam.

Nie jest prostym równaniem. Trent rozumiał, że nie może być w związku z Callahanem i Giną równocześnie, ale nie potrafił zmienić uczuć do nich.

– Jak ja jej powiem, Sadie May? – spytał.

– Nie wiem.

Też nie wiedział, ale dwudziestego dziewiątego czerwca zeszłego roku zrobił pierwszy krok ku złamaniu jej serca. W jakiś straszny sposób jego ostatni czyn cechował się niezwykłą odwagą.

– Nie chciał cię zranić, tak jak ty nie chciałaś zranić mnie.

Gina zagryzła wargę i zaczęła jeździć tam i z powrotem wisiorkiem na łańcuszku.

– Jednak to boli.

– Pewnie. – Dotknęłam jej ręki i zatrzymała się w pół ruchu. – Ale teraz przynajmniej możesz opłakiwać, co się naprawdę stało. Aż do końca.

– Ty też.

Opadłyśmy głębiej w poduszki, wyczerpane wysiłkiem, jakiego wymagało powiedzenie prawdy.

– Uda nam się znów przyjaźnić? – spytała.

– Mam nadzieję.

Przebaczyć Ginie. Od możliwości do realizacji.

Chciałam ją o coś zapytać, ale najpierw musiałam wyjaśnić jeszcze jedną sprawę.

– Wkładałaś listy do mojej skrzynki na listy?

– Nie.

Odpowiedziała bez wahania i naturalnie. Uwierzyłam jej. Nie miała powodu, żeby kłamać, nie była nawet ciekawa, o co chodzi. Oparłam się o nią, kamień spadł mi z serca. Otworzyła oczy.

– Już dobrze?

– Tak, jesteśmy na dobrej drodze – potwierdziłam.

Odetchnęła głęboko i pocałowała mnie w policzek, tuż nad Bezimienną.

– Idę do domu i będę spała przez tydzień – oznajmiła, gramoląc się z mojego łóżka. – Moja dusza jest zmęczona.

– Zrobisz coś dla mnie?

Rozpromieniła się.

– Wszystko.

– Chciałabym pojechać do St. Augustine. Do Fontanny Młodości. Pojedziesz ze mną?

– Nawet na koniec świata.

Ścisnęła mnie za rękę, obiecała zadzwonić i poszła do domu pielęgnować duszę.

Rozdział 33

Max nie odpowiadał na telefony, SMS-y, maile.

Następnego dnia rano nie leżał w hamaku z książką i nie podszedł do okna, gdy stukałam w szybę.

Zrobiłam w rogu pokoju barykadę z koców, przeczytałam kolejny raz prequel do *Piotrusia Pana* i modliłam się, żeby mój telefon zawibrował. Przecież obiecał.

Ale nie zadzwonił.

Jak mieszkał w Salwadorze, był bliżej.

Rozdział 34

Następnego dnia rano, aż do śniadania i potem, gdy zmywałyśmy z mamą naczynia, nadal nie było znaku życia od Maxa. Próbowałam wszystkiego, łącznie z waleniem do jego drzwi i domaganiem się od Soni, żeby mi powiedziała, gdzie on jest. Ceną za dochowywanie tajemnic było milczenie.

Moje sekrety piętrzyły się jak brudne pranie.

Na życzenie mamy rozsiedliśmy się wokół kuchennego stołu. Zapowiadała się słodko-gorzka rozmowa, pachnąca syropem do naleśników i mleczkiem do usuwania rdzy.

Jęknęłam, gdy przesunęła po stole kolejną kopertę.

– Otwórz – poleciała.

– Tutaj?

Oczy niemal wyskoczyły jej z czaszki.

Gdy rozrywałam kopertę i rozkładałam karteczkę, modliłam się w duchu: niech to nie będzie o seksie, błagam, niech nie będzie o seksie. Czułam, że Bóg nie słucha mojej prośby. Nie ten transcendentny Bóg, tylko taki z moich wyobrażeń, siedzący na pięknym złotym tronie, bębniący palcami w podłokietnik i mówiący:

– Przykro mi, siostró Sadie, ale samaś się w to wpakowała.

Tata się do mnie nachylił, gotowy mi zajrzeć przez ramię.

– Przestań! – warknęła mama.

Kuchnia była salą sądową.

Otworzyłam list i przeczytałam na głos:

Dzisiaj włamaliśmy się całą piątką do domu kultury, bo Trent uznał, że musimy sobie zorganizować turniej taneczny. Sromotnie przegrałam, Max wygrał. Śmiałam się tak, że się w końcu popłakałam. Jestem szczęściarą, że mam takich przyjaciół.

Przyjaciel się tym razem nie podpisał. A ponieważ zawęziłam listę podejrzanych do Graya i Maxa, to miało sens, w końcu żaden z nich się do mnie nie odzywał.

– Co to znaczy? – spytał tata. Mamę, a nie mnie.

Moi rodzice wydali mi się nagle bardzo młodzieńczy i niepewni. Mieli po dwadzieścia lat, gdy się urodziłam, i wymieniali właśnie spojrzenia pod tytułem „mam dopiero trzydzieści siedem lat i nie wiem, co robić”.

Lekko wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem, tato. Dostaję takie listy od początku czerwca.

Moja mama nie dała sobie mydlić oczy wzruszaniem ramion.

– Wiesz więcej, niż nam mówisz.

– Nie wiem, mammo! – Nie zamierzałam przed nimi oskarżać Graya ani Maxa.

– I nie wiesz, kto to napisał? – dociekał tata.

Zagryzłam dolną wargę i nieśmiało zaczęłam:

– Trochę wiem. To moje słowa, ale na pewno sama ich do siebie nie przysyłam.

– Ty to napisałaś? – Mama powtórzyła te słowa jak pytanie, chociaż już знаła odpowiedź.

– To notatki, które wkładałam do Biga. – Wyjaśniłam, że każda koperta zawierała słowa, które uprzednio zapisałam i schowałam w Bigu, ale nie wiem, kto może mieć do niego dostęp, a tym bardziej, czemu mi to przesyła.

Dodałam też, że w ogóle się tym nie martwię.

Jasne. To akurat było kłamstwo, ale po dwóch ostatnich dniach musiałam zadbać o zminimalizowanie poziomu ich niepokoju.

– Nie wiem, co powiedzieć. – Mama wpatrywała się w kartkę papieru jak wąż.

– Ja też nie – przyznałam.

Tata starannie zbadał kopertę i znalazł dokładnie to, co ja. Czyli nic.

– Włamałaś się do domu kultury – stwierdził za to, masując się po czole.

Przedstawiłam mu nieco łagodniejszą wersję prawdy:

– W pewnym sensie. Ktoś zostawił otwarte okno, więc tylko się wśliznęliśmy. No wiesz. Tak dla zabawy. Niczego nie zepsuliśmy.

– Sadie... – Usłyszałam w jego głosie ostrzeżenie.

– Tato, przecież Trent tam często pomagał! – Miałam nadzieję, że to go udobrucha.

Mama nadawała chyba na tej samej długości co ja.

– Tony... – syknęła do taty, ale ostrzegła nas oboje.

Skubał paznokiec i zastanawiał się nad reakcją. Mama oparła czoło na stole, jakby nie mogła tego wszystkiego unieść. Byli w kropce. Mieli pretensję z powodu tego, o czym się dowiedzieli, ale nie chcieli, żebym je odczuła. Z drugiej strony bali się, że nie okazując dezaprobaty, doprowadzą do powtórki złego zachowania, czego także nie chcieli.

– To było dawno temu – dodałam.

– Pozostałe koperty zawierały dowody takiej samej... frywolności? – dopytywał tata.

– Tony! – zaczęła znowu mama.

Frywolność?! Aż westchnęłam. Jezu, co to za słowo?!

– Tak, tato. Przed grą w paintballowych piratów nazwałeś to „aferką”.

– W aferkach nie widzę nic złego, ale to jest włamanie!

Teraz mama wywróciła oczami.

– Tony, ty w jej wieku kradłeś znaki drogowe.

Schyliłam głowę, żeby nie parsknąć śmiechem! Zatkano go! Wstał, pogroził mamie palcem i rzucił:

– Zajmij się tym sama.

W końcu złożyła kopertę na pół, schowała do kieszeni i oznajmiła, że musimy jechać, bo się spóźnimy na terapię.

– Porozmawiaj o tym z doktorem Glassonem.

Koniec zebrania rodzinnego. Z przewagą syropu do naleśników.

Rozdział 35

Dziesięć minut później mama zaparkowała pod gabinetem.

– Napisz SMS, jak skończycie – poprosiła, chociaż dobrze wiedziałam, że nie będzie potrzebny, bo ona nie odjedzie z parkingu. Była jak rodzice dzieci trenujących baseball w Małej Lidze, którzy zawsze czekali.

Gabinet doktora Fletchera Glassona znajdował się w piwnicy budynku należącego do dużej firmy prawniczej. Po pierwszej operacji tata dostał namiary na Fletchera od mojego chirurga plastycznego. Powiedział, że to psycholog specjalizujący się w zmianach wynikających z okaleczeń i że mogłoby mi się przydać kilka sesji.

Przydać, co za eufemizm.

Fletcher emanował zaraźliwym szczęściem. Takim, którego się nie da udawać. Właściwie nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że przecież on akurat nie miał żadnych powodów do radości.

Po pierwsze: zarabiał na życie słuchaniem o problemach innych.

Po drugie: został poważnie okaleczony w wyniku pożaru.

Każda sesja z nim dawała mi nadzieję na wyjście z tego wszystkiego z uśmiechem na ustach.

Dziś też ją miałam. W poniedziałki nie było dużego ruchu. Czekałam z magazynem „People” z zeszłego roku i przeglądem „Reader’ Digest” z lat dziewięćdziesiątych. Jedno i drugie już wcześniej gruntownie przejrzałam. Recepcjonistka siedziała na Facebooku. Po kilku chwilach Fletcher wyszedł zza rogu, wygładził koszulę i pogłaskał się po łysej głowie.

– Panna Sadie! – Widziałam w jego oczach, że się cieszy na mój widok. – Gotowa na pogawędkę?

Odłożyłam prasę i poszłam za nim.

Widok znajomej kanapy otworzył we mnie śluzy. Przytulny gabinet zdawał się ołtarzem, działał znacznie lepiej niż konfesjonał. Fletcher nie nosił sutanny ani nie miał krzyża na szyi. Najczęściej ubierał się w sprane dżinsy, kolorowe koszulki polo i znoszone buty. Uwielbiałam je. I miałam słabość do ich właściciela. Biedak, nie zazdrościłam mu. Klienci wchodzili i wywlekali bebechy na lewą stronę, a on, prawie jak szkolny woźny, miał ich zawartość pozamiatać na kupkę. Tylko że w przeciwieństwie do woźnego, musiał w tym grzebać.

Uśmiechnął się do mnie zaraźliwie, tak jak to on potrafił, i wyciągnął fotel zza biurka, żeby usiąść naprzeciwko mnie.

– Siadaj. – Wskazał jak zwykle na kanapę. – I mów, co tam w życiu.

Tak zawsze zaczynaliśmy.

Siadałam. On patrzył. Ja mówiłam. On słuchał.

Potem zadawał pytania. Łagodnie. Jak pielęgniarka, która odwraca uwagę historyjkami i lizakami,

podczas gdy daje nam zastrzyk w tyłek.

Zaczęłam:

– W życiu...

I rozlały się moje bebechy.

Fletcher mógł się nurzać w rzygowato-trocinowatej treści obejmującej okres od mojej ostatniej wizyty. Kłamstwo Graya i Giny. Trent i Callahan. Paintball. Rocznicą. Wpadka przed mamą z mazakami. Niepokój, że to Max przysyłał wiadomości zaczerpnięte z Biga. Strach, że go straciłam, już bez względu na listy. Kurcząca się lista niemożliwych, wydawałoby się, celów do osiągnięcia.

Gdy w końcu przestałam gadać, Fletcher się nachylił i oparł ręce na kolanach.

– Piękna emocjonalna lewatywa. Założę się, że już ci lepiej.

– Fuj!

Roześmiał się, ale nie żartobliwie.

– Opowiedziałaś, co się wydarzyło, ale nie, co czujesz. Znasz zasady. Wniknij głębiej.

Znałam zasady, ale stale próbowałam je łamać.

– Czuję się... zaniepokojona.

– I?

– Przerazona.

– I?

Był mistrzem tych „i”?

– Nie chcę stracić Maxa.

Podał mi pudełko chusteczek, stojące na skraju biurka. Odłożyłam je, nawet nie patrząc.

– Nie odzywa się do mnie. Wszystko schrzaniłam...

Poczułam pęczniący pod skórą strach. Trwało rok, zanim zdołałam choćby pomyśleć o przebaczeniu Ginie i Grayowi. Jak długo potrwa u Maxa przebaczenie mnie?

Przywalałam pięścią w poduszkę.

– Nienawidzę chrzanić! Nienawidzę robić komuś krzywdy. Chciałam tylko zamknąć za nami przeszłość, a zrobiła się gorsza masakra niż wcześniej.

Fletcher analizował treść moich bebechów i zmuszał mnie, żebym robiła to z nim. W tym celu zadawał pytania. Zawsze z uśmiechem. Ze zrozumieniem. Następnie pojawiały się sugestie.

– Wiesz co, mam pewien pomysł. Zaproponowałaś Ginie wycieczkę do Fontanny Młodości. Może pojedźcie wszyscy?

– Mam zaprosić chłopaków?

– Może dzięki temu wykreślisz z listy nie tylko jeden punkt.

– Ale Max nie odbiera telefonów, a Gray na pewno nie pojedzie po tym, co się stało na paintballu.

– Na pewno?

– Sto procent.

– Może i tak, ale... – Fletcher zabębnił palcami w biurko i podjął drugą próbę. – Jeśli nic nie zmienisz, nic się nie zmieni. Gdy będziesz postępować tak jak dotychczas, uzyskasz to, co dotychczas. Chcesz zmiany, zmień coś.

Brzmiał jak reklama Nike'a. *Just do it.*

Tylko że to wcale nie takie łatwe.

– Naprawdę chcesz, żebym pojechała z nimi wszystkimi do Fontanny Młodości?

– Naprawdę chcę, żebyś zrobiła duży krok naprzód. Gdy opowiadasz o tym, co się wydarzyło między wami w zeszłym tygodniu, wiesz, co naprawdę słyszę?

– Co?

– Ulgę. – Wyszeptał to słowo, ale do mnie dotarło jako wrzask. – Niewielką i niepewną, ale w twoim głosie słyszę ją pierwszy raz od roku. Będzie większa, gdy przestaniesz sobie łamać głowę nad tym, które z twoich przyjaciół przesyła ci te listy. Po prostu z nimi pogadaj.

– Z kim?

– Ze wszystkimi. Masz dość siły, żeby spytać.

Spojrzał znacząco na chusteczki, więc się poddałam i wzięłam jedną.

– Siła. Co za kpina. To mnie najbardziej wkurza w tej całej akcji z Bigiem. – Zamilkłam, żeby otrzeć oczy. – Że ktoś mnie uważa za tak cholernie kruchą, niedającą rady znieść prawdy. Anonimowe listy. Gina i Gray w dzipie. Kurczę, po prostu mi powiedzcie!

– Tak twierdzisz, ale sama im nie powiedziałaś o Trencie. I nie chcesz doprowadzić do konfrontacji z Maxem w sprawie Biga.

Trafił w sedno.

Wzięłam na kolana poduszkę i przycisnęłam do piersi.

– A co, jeśli spytam, a Max mi nigdy nie wybaczy? Albo: jeśli spytam i ja nigdy nie wybaczę jemu?

– Przebaczenie nie zawsze oznacza powrót do tego, jak było. – Zabzyczał jego zegarek. Nasz czas minął. – Zastanów się nad tym przez najbliższy tydzień.

– Tak, po drodze do St. Augustine – zażartowałam.

– Śmiejesz się, ale bardzo możliwe, że właśnie tak będzie.

– Tak. I bardzo możliwe, że zostanę Miss USA.

– Wielu zajebistych ludzi ma blizny.

– Na przykład ty – chciałam mu palnąć komplement.

– Na przykład Seal. Tina Fey. Jezus...

– To brzmi jak wyjątkowo dobry odcinek sobotniego talk-show.

– Ja bym taki obejrzał. – Uśmiechnął się, gdy byłam już w drodze do drzwi. – I jeszcze jedno. – Każdą sesję zamykał tą samą radą. To była jego prywatna mantra, a ja uwielbiałam jej słuchać. – Blizny opowiadają historię. W tym tygodniu ty zadecydujesz, o czym ta historia będzie.

Oparłam się o futrynę i odwróciłam się do niego jeszcze na chwilę.

– Wiesz co, Fletcher?

Zostawił moją teczkę, w której notował spostrzeżenia z dzisiejszej sesji.

– Słucham panią?

– Chcę opowiedzieć dobrą historię.

Uśmiechnął się tak, że można by ten uśmiech pokazać w Metropolitan Museum of Art.

– Ona już jest dobra.

Rozdział 36

Dnie z sesją u Fletchera były jednocześnie dobre i złe.

Za każdym razem, gdy od niego wychodziłam, czułam się jak świeżo zaorane pole. Poruszał glebę w moim umyśle, przerzucał ją, zmieniał, ale ten proces mnie wyczerpywał. Mama to rozumiała. Włączyła folkową muzyczkę i kazała mi odpoczywać. Zasnęłam po pięciu minutach.

W domu wzięłam prysznic, władowałam do żołądka kilka łyżek masła orzechowego i padłam do łóżka nieżywa, jakbym przebiegła maraton. A przecież tylko przez pięćdziesiąt minut opowiadałam o moim życiu.

Rodzice siłą odebrali mi szansę na drzemkę. Wpakowali się oboje do mojego wielkiego łóżka w swoich niedzielnych dresach. Nie zamierzali ryzykować, że się po tej sesji załamie albo znajdę ukryte flamastry.

– Jezu, błagam! – Wystękałam zza opadających na twarz mokrych włosów. – Dopiero się położyłam!

– To wstawaj. Obiecałaś nam oglądanie filmu.

– Nie masz nic lepszego do roboty? – prowokowałam tatę. – Netflix? Kradzież znaków drogowych?

– Nie – odpowiedziała za niego mama. – Może zadzwonisz do Maxa? Przeniesiemy się do salonu i zrobimy imprezkę.

Zerknęłam na telefon. Na wyświetlaczu nie pojawiły się żadne SMS-y czy nieodebrane połączenia.

– Max jest zajęty swoimi sprawami.

Rozdzieliła mi włosy na środku głowy.

– Może w czasie oglądania filmu cię poczeszę?

Wiedziała, za co jestem w stanie oddać duszę.

Położyłam jej głowę na kolanie.

– Jaki film wybraliście?

Przczesywała mi włosy palcami i lekko drapała skórę, a ja prawie mruczałam.

– Ty wybieraj – odparł tata. – Mamy *Park Jurajski*, *Klub winowajców* i *Imperium kontratakuje*.

– Same starocie. Nie możemy obejrzeć czegoś śmiesznego?

– Sama jesteś starość. I ośmielę się mieć inne poczucie humoru niż ty. – Lekko stuknął mnie w głowę okładką płyty. – Jeśli na którymś z tych filmów ani razu się przynajmniej nie uśmiechniesz, zrobię na kolację grillowane krewetki.

– Dobra. To niech będzie *Park Jurajski*. – Zakopałam się pod kołdrą i wygodniej ułożyłam na nodze mamy. Tata robił najlepsze na świecie grillowane krewetki. Bez trudu na nie zapracuję. Film się zaczął. Zasnęłam jeszcze przed pierwszą ofiarą śmiertelną.

Śniły mi się dinozauro-ludzie. Tyranozaur koloru Biga siedział pośrodku jakiejś wyspy i przez dziurę

w pazurze dawał rady, jak przeżyć. Mnie powiedział, że muszę poprowadzić samochód w koszulce na ramiączkach albo zostanę pożarta żywcem. Oderwałam rękawy od bluzki, a potem zaczęłam przeczesywać wyspę w poszukiwaniu samochodu, a kiedy go znalazłam, mój dżip safari zamienił się w samochód Barbie z wyladowanymi bateriami. Obudziłam się, gdy zęby tyranozaura zaczęły się zbliżać do mojej głowy.

Okazało się, że telewizor jest wyłączony, tata głęboko śpi, a mama nadal przeczesuje mi włosy, tyle że teraz z zamkniętymi oczami.

– Zły sen? – spytała, gdy się poderwałam.

Zaspana wersja mnie nie miała żadnych hamulców. Opowiedziałam wszystko.

Czułam, jak jej się napinają uda, gdy się przeciągnęłam. Ziewnęła i jej palce zamarły.

– Coś mi się zdaje, że jutro włożysz T-shirt i poprowadzisz samochód.

Podniosłam głowę z jej nogi.

– Mamo, błagam.

Uśmiechnęła się tylko. Byłyśmy do siebie podobne. Pełne górne wargi, falujące jasne włosy trójkątnie schodzące na czoło i wskazujące na trochę krzywy nos, mały i okrągły. Nasze niebieskie oczy wydawały się czasem szare. Mama była piękna. Mogłabym tak samo wyglądać w jej wieku, gdybym nie przebiła twarzą szyby.

– Jutro. Tak mi się zdaje, że to się wydarzy jutro.

– A jeśli tego nie zrobię?

– To nie wyzwanie, malutka. Tylko nadzieja. – Znów się rozluźniłam, a ona dodała: – Wiesz, że byłam kiedyś w Salwadorze? – Nie wiedziałam. Przez cały okres pobytu McCallów nie wspomniała ani słowem o tej wycieczce. Biorąc pod uwagę, że dla niej wygoda zaczynała się na poziomie hotelu Hilton, zdziwiłam się, że w ogóle wsiadła do samolotu. Jeśli reszta kraju wyglądała tak samo jak nagranie Maxa z klasztoru, nie zazdrościłam jej. Zauważyła, że nie mogę w to uwierzyć. – Sonia mnie namówiła. – Ostentacyjnie wywróciła oczami. – Było... koszmarne. – Zachichotałyśmy, ale tak, żeby nie obudzić taty. – Gorąco jak w piekle. Jedzenie obrzydliwe. Na śniadanie czarna fasola. Rozwodnione piwo. Pół godziny zajęło mi dojście do wniosku, że nienawidzę tego miejsca, a dobę stwierdzenie, że chcę wracać do domu.

– I co zrobiłaś?

– A jak myślisz? – spytała żartobliwie. – Zadzwoiłam do rodziców i przebukowali mi bilet powrotny na następny dzień.

– Serio?

– A po co miałabym tkwić w miejscu, które tak mi się nie podobało?

Tak po prostu. I trafnie. Usłyszałam w tym stwierdzeniu prawdę o swoim życiu.

„Jeśli nic nie zmienisz, nic się nie zmieni”.

– Słyszałaś? – spytała.

– Głośno i wyraźnie.

Uznała rozmowę za zakończoną.

– To obudź tego starego niedźwiedzia i powiedz, że mamy ochotę na krewetki.

– Ale przecież ja zasnąłam.

– Oj, kochanie, przecież zrobiliby ci je tak czy siak.

Zjadłam najlepsze na świecie krewetki, a potem poszłam biegać. O dwudziestej. W krótkich spodenkach. Piasek wzbijał się wokół moich stóp, gdy zaliczałam półtora kilometra, a później trzy. Zmierzch wymalował niebo purpurą i pomarańczem, zjawiskowo. Przepociłam ciuchy na wylot i zaczęłam marzyć, żeby słońce wreszcie zaszło, a jednocześnie, żeby zachód trwał wiecznie.

Chciałam wybrać sobie jakiś moment z przyszłości i znaleźć się tam, nie musząc przeżywać wszystkich trudnych chwil pomiędzy. Pragnęłam zadzwonić do rodziców i poprosić, żeby przebukowali mój bilet na lot do innego życia.

Innego życia nie było, ale pozostawały wybory. Pomyślałam o rozmowach z mamą i Fletcherem. Mówi się – nie wiem, kto tak powiedział, ale widocznie ktoś tak stwierdził – że zanim naprawdę coś do nas dotrze, musimy to usłyszeć siedem razy. W moim przypadku było to jakieś siedemdziesiąt miliardów.

Ale wreszcie usłyszałam.

Nie podobała mi się ta główniana sytuacja z moimi przyjaciółmi. Dlaczego miałabym tkwić w miejscu, które tak mi się nie podoba?

Nie chcę tego. Już nie.

Usiadłam na piasku, ale zamiast pisać listę, wysłałam Maxowi maila z telefonu.

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 26 czerwca

Temat: PRZEPRASZAM

Przepraszam.

Siedzę na plaży i myślę o tym, co się stało. Zgadnij, co ma dla mnie największe znaczenie:

- a) to, że Trent był gejem
- b) to, że Gray prowadził dżipa
- c) to, że między nami jest coś nie tak.

Wybierz c! Ja wybieram c.

Powinna była Ci powiedzieć o Trencie już dawno temu.

Nade mną wisi niebo pełne gwiazd. Przede mną rozciąga się ocean pełen fal. Podo mną są miliony ziarenek piasku, które kiedyś tworzyły skały. Ten ocean, który tak kocham, rozbił skały na proch. Boję się, że to samo zrobiłam Tobie. Wybaczysz mi kiedykolwiek?

Kocham Cię.

Sadie

Odpisał prawie natychmiast.

Do: sadiemaykingston@gmail.com

Od: tothemax@thecenter.es

Data: 26 czerwca

Temat: trwało

Trwało milion lat, zanim ocean rozbił skały na proch.

Nam to jeszcze nie grozi.

Ja też cię kocham, Sadie.

Max

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 26 czerwca

Temat: Przyjdiesz

wieczorem?

Do: sadiemaykingston@gmail.com

Od: tothemax@thecenter.es

Data: 26 czerwca

Temat: pewnie

że tak

O dwudziestej trzeciej zastukał do mojego okna.

– Masz na sobie mój T-shirt? – spytał, gdy się już wgramolił do środka.

Tennessee była całkiem na widoku, ale starałam się o tym nie myśleć. Co nie było trudne. Max przyszedł bez koszulki, w spodenkach treningowych.

– Dobrze, że jesteś – szepnęłam.

– Cieszę się, że mnie zaprosiłaś.

Zerknęłam na swój telefon.

– Gdzie się podziewałeś?

– Gadałem z Chrisem.

Max usiadł na brzegu mojego łóżka.

– Chcesz w coś zagrać? – spytał, ale poważnie.

– W powiedz mi coś, o czym nie wiem?

Pokiwał głową i podał mi pogięte i ziarniste zdjęcie rysunku kredą. Było to moje „dzieło”. Zanim zostałam wypisana ze szpitala, jedna z pielęgniarek dała mi kubek z kolorową kredą do chodników i przykazała mi całą zużyć przed następną wizytą. Miałam rysować, a potem spłukiwać wodą z węża, rysować i znów spłukiwać. Powtórzyła to co najmniej dwa razy. Dodała też, także więcej niż dwa razy, żebym jej zaufała.

– Rozdawałam kubki z kredą, zanim zaczęli je produkować – zarzekała się.

W pierwszym tygodniu pobytu w domu wymykałam się po północy tylnymi drzwiami i w świetle

księżycą rysowałam na naszym patiu dziesiątki rysunków godnych uczennicy podstawówki. Kierowały mną emocje.

– Skąd to masz?

Nie odpowiedział, a ja jeszcze raz przyjrzałam się zdjęciu.

Pośrodku widniała karykatura mnie samej, leżącej na boku pod zielono-brązowym kocem. Zieloną kredą podpisałam tę część: „Superbohaterka padła”. Do małego palca u nogi miałam przywiązany sznurek, który napinała wielka łapa w kolorze brzoskwińowym.

Pod ręką widniał napis: „Nie puszczaj mnie”.

– Strasznie mi się ten rysunek podoba. – Max mi go zabrał i uroczyście trzymał w dłoni, jak talizman. – Zdążyłem mu zrobić zdjęcie, zanim go splukałaś.

– Po co?

– Leżałem w hamaku, gdy to rysowałaś. Powtarzałaś pod nosem pewne słowa. Pamiętasz jakie?

Nie pamiętałam, ale podejrzewałam.

– „Trzymaj się. Trzymaj się. Trzymaj się”?

– Tak – potwierdził. – Gdy to rysowałaś, miałaś stalowe spojrzenie. Widziałem w twoich oczach ducha walki.

– Daj spokój, jakiej walki.

– Ja to tak widziałem.

– Nawet nie pamiętam tamtej chwili – przyznałam.

– Nie musisz, wystarczy, że ja pamiętam. Wtedy zobaczyłem, że twój ból wygląda tak jak mój. Jechaliśmy tym autem razem. Razem straciliśmy Trenta. Wiedziałem już, że nie muszę tego do końca życia dźwigać sam.

– Zawsze mi się wydawało, że dajesz sobie radę. Jesteś smutny, pewnie, ale jest OK.

– Byłem tysiące kilometrów od ciebie. Nie pisałem o wszystkim. – Zgiął się wpół i w zasadzie oparł czoło na kolanach. – Wielu rzeczy nie pisałem. Na przykład, że kiedyś, w Salwadorze, obudziłem się w środku nocy i nie mogłem oddychać.

Westchnął tak głęboko, aż prawie zatrzęsły się ściany.

– Nie mogłem się odnaleźć. Zacząłem biec i biegłem, aż upadłem. Nie miałem siły wstać. Tata mnie znalazł na ulicy. Wziął mnie na ręce i zaniósł do klasztoru.

Minęło już wiele miesięcy, a ból w jego głosie był tak żywy, jakby to się stało dzisiaj.

– Mogłeś mi powiedzieć – szepnęłam.

– Chciałem, żebyś dostawała ode mnie samo dobro. Dlatego w ten weekend zniknąłem. Jak głupek. Byłem wściekły, zraniony i... – Wstał, popatrzył na mnie, a potem znowu na zdjęcie. – Zapomniałem, jaka jesteś silna. Na chwilę. To zdjęcie mi przypomniało.

Nie spytałam o Biga. Nie chciałam psuć tej chwili.

Powiedziałam za to:

– Bądź po prostu sobą.

Odpowiedział bardzo cicho:

– Wiem.

– Jak się ma Callahan?

– Ucieszył się, że wiem. – Oczy mu się zaszklily. – Kochał mojego brata.

– Jak my wszyscy.

Max wskazał na barykadę z koców, którą kilka dni temu zrobiłam w rogu pokoju, przyłożył palec do ust i szepnął:

– Nie mówmy teraz o Trencie.

Uklękłam i wczołgałam się do środka.

– Poczytać ci? – spytałam.

– Nie.

– Opowiedzieć ci coś?

– Nie. Jutro.

Wyobraziłam sobie, że się uśmiecha. I że ja się uśmiecham. Ale że jesteśmy szczęśliwi nie musiałam sobie wyobrażać. Bo byliśmy.

Rozdział 37

Aż do świtu gadaliśmy szeptem o niczym. Gadanie o niczym było czasem lepsze niż gadanie o czymś.

– Nie powiedziałaś mi, jaką miałaś dla mnie niespodziankę! – Dźgnęłam go palcem, żeby się obudził.

Ziewnął i spytał:

– Którą niespodziankę?

Chociaż dobrze wiedział, o której mówię! Wbiłam mu brodę w żebra, żeby ze mnie nie żartował.

– No dobra, już dobra! – Pogłaskał mnie po plecach. – Miałem cię spytać, czy nie chciałabyś pojechać w rocznicę do Fontanny Młodości. Może lepiej byłoby zniknąć z miasta, a przy okazji skreślilibyśmy kolejny punkt z twojej listy.

Nagle mnie olśniło.

– Pamiętałeś, co mam na liście?

Przestał mnie głaskać.

– Czytałem twoje maile, raz za razem. Zapamiętywałem, czego chcesz. Koszulkę na ramiączkach i Fontannę. Wiem też, że uczysz się na nowo jeździć z Metalowym Pete'em.

– Skąd wiesz?

– Bo go spytałem!

– Spytałeś Metalowego Pete'a? – spytałam głośno.

– Ćśś, bo nas przyłapią – ostrzegł. – Oczywiście, że spytałem. Jestem gotów na wszystko, żeby ci pomóc.

Postanowiłam wypróbować pomysł Fletchera.

– A może pojechalibyśmy we czwórkę? Co o tym myślisz?

Cisza.

Więcej ciszy.

– Max?

– Jeśli chcesz.

– Zawahałeś się.

– Pięć godzin w samochodzie z Grayem...

– Dziesięć – poprawiłam, bo przecież musieliśmy jeszcze wrócić. – Też nie wiem, czy dam radę.

Nawet nie jestem pewna, czy będzie chciał jechać.

– Na wszelki wypadek wezmę paintballowy marker. Podobno nieźle działa.

Żadne z nas się nie roześmiało.

– Zrobiłam błąd. Nie powinnam do niego strzelać.

– Prosił cię.

– Mimo wszystko to nie porządku. Ale może ta podróż to naprawi.

– Mam nadzieję, że ze względu na ciebie nie odmówi.

Później, gdy już się wyśliznął z mojego pokoju przez okno, Gina i Gray zgodzili się spotkać ze mną i z nim na złomowisku w dniu rocznicy, rano. Czyli za dwa dni.

To znaczyło przede mną sporo pracy.

Poszłam do Metalowego Pete'a z dwiema torebkami pączków i dwiema kawami do wyboru, cały czas w podkoszulku Maxa. Dodawałam sobie odwagi. Chciałam, żeby kofeina i cukier wprowadziły Metalowego Pete'a w uległy nastrój, a T-shirt udowadniał moje poważne zamiary.

Wkroczyłam do jego biura.

Metalowy Pete zerknął na mnie podejrzliwie, gdy stawiałam wszystkie dobra na jego biurku.

– Czegoś chcesz... – orzekł od razu. – Mów.

– Chodzi o ten samochód, który mi obiecałeś...

Większość min Pete'a zaczynała się od zmarszczenia nosa i uniesionych brwi. Ta skończyła się uśmiechem.

– Co ty powiesz?

Też się uśmiechnęłam, triumfalnie.

– Może mogłabym go pożyczyć na środę?

– Chciałabyś nim wyjechać z parkingu?!

Pokiwałam głową.

– Wyprowadzisz go za bramę, wciśniesz gaz, wyjedziesz na prawdziwą drogę i...?

Ten sceptycyzm to nie była odmowa, tylko wyzwanie.

– Taki jest plan – odparłam, chociaż sama nie byłam pewna, jak to zrobię.

– A gdzie zamierzasz nim jechać?

– Do St. Augustine.

– St. Augustine?! – prawie krzyknął. – O, skubańcu, zaczynasz z grubej rury, co?

– Cieszę się, że wreszcie cokolwiek zaczynam.

Podszedł do szarej skrzynki wiszącej na ścianie i przyjrzał się rzędom kluczyków. Wybrał jedno i zakrzyknął:

– Za mną!

Weszliśmy w pierwszy rząd samochodów. Rzadko tu zaglądałam. Wszystkie auta tutaj były w niezłym stanie. Oczywiście relatywnie: większość ludzi nawet by na nie nie spojrzała, ale ja nie byłam większością ludzi. Wypatrzyłam starego czarnego pontiaca trans-am i zacisnęłam kciuki. Ten samochód aż się prosił o Wielką Wyprawę, a do tego był znacznie większy niż yariska.

Ale Metalowy Pete go minął i zatrzymał się przy niedużym chevrolecie S-10 z powiększoną kabiną. Poglaskał maskę, jakby to auto było ukochaną kobietą.

– Nie daję ci byle czego – poinformował mnie. – Sam odnowiłem silnik. To najlepsze, co mam. Poza tym jest ubezpieczony.

Nie płacz, nie płacz, powtarzałam sobie, gdy myślałam o jego hojności.

– Wiesz co...

– O nie! – warknął. Wziął mnie za rękę tak, jak kiedyś dziadek, gdy byłam mała. Ucisnął raz i dodał: –

Tylko bez mazania się.

Kluczyki znalazły się w mojej dłoni.

– Masz dwa dni na udowodnienie mi, że dasz radę – poinformował, a potem z ukłonem otworzył przede mną drzwi.

– Nie jadę sama – pocieszyłam go.

– Nie podejrzewałam cię o to.

Wsiadłam za kierownicę i odkręciłam okno. Chwila prawdy. Ręce miałam całe mokre, gdy przekręcałam kluczyk w stacyjce.

Silnik nie protestował.

Szybko, żeby nie zmienić zdania, wrzuciłam wsteczny. Samochód powoli się toczył, a ja obserwowałam, jak się oddalam od rzędu aut. Metalowy Pete uśmiechał się pod nosem. W lusterku widziałam swoją zdenerwowaną twarz.

Ale zdenerwowana czy nie, trzeba było jechać.

– Brawo, mała! – wrzasnął Pete, gdy zakręcałam na końcu alejki.

Jazda wcale nie była taka trudna. Już po pierwszym okrążeniu wróciło wszystko, czego się uczyłam przez miesiące treningów z rodzicami. Co prawda potrafiłam chodzić szybciej, niż teraz jechałam, ale wiedziałam, nawet przy prędkości piętnastu kilometrów na godzinę, że zrezygnowanie z samochodu było kolejną cegiełką w murze rzeczy niemożliwych, który wokół siebie zbudowałam. Po kilku pętach zahamowałam i w kurzu na tablicy rozdzielczej zapisałam listę.

1. Pokazać się w koszulce na ramiączkach. (zrobione)
2. Pójść z wszystkimi na rozdanie matur. (jeszcze nie)
3. Przebaczyć Ginie (zrobione) i Grayowi (nie zrobione). Powiedzieć im prawdę. (zrobione x 2)
4. Odwiedzić Fontannę Młodości. (może w środę)
5. Przestać podążać za kimś i zacząć przewodzić. (? – Jak się to wszystko uda...)
6. Pocałować kogoś bez zawahania. (o tak!)
7. Znów jeździć samochodem. (punkty bonusowe)
8. Spytać Graya i Maxa o Biga.

Punkt ósmy musiał się znaleźć na liście bez względu na konsekwencje. Byłam dość silna, by znieść prawdę, nawet jeśli to Max. Wolałam, żeby to robił Gray, ale czułam, że jednak nie. W tym roku rzadko coś działo się po mojej myśli.

Powoli wróciłam do Metalowego Pete'a, ogłaszając swoje przybycie głośnym trąbieniem.

Zaparkowałam, a on nachylił się do okna. Był tak dumny, że miał łzy w oczach.

– Wyglądasz jak zawodowiec!

– Jak rajdowa bogini! Może spróbuję startu?

– Spróbować to musisz jazdy po prawdziwej szosie. Międzystanówka to inny wszechświat niż złomowisko.

Przeraziłam się.

Pete odwrócił głowę i gwizdnął. Spod starego autobusu wypełzła Czołówka. Dwa kroki przeszła leniwie, ale potem rozwinęła pełen galop.

– Zabierz ją do parku, niech się wygania – polecił Metalowy Pete. Wydał polecenie takim samym

tonem, jakim rzucał mi wyzwanie znalezienia czegoś na placu. Z pełnym przekonaniem, że dam radę.

Przechyliłam się na drugą stronę kabiny i otworzyłam drzwi. Czołówka bez namysłu wskoczyła na siedzenie i położyła mi głowę na kolanie. Zastrzygła lisimi uszami, gdy Pete kazał jej mnie pilnować.

– Niedługo wrócę – obiecałam.

Pokiwał głową.

– Daj znać, jak gdzieś utkniesz. – Poklepał dwa razy dach, dając znak do startu.

Mam zadzwonić.

Jutro też.

Ja i szosa jeszcze się nie przyjaźniłyśmy, ale miałyśmy w perspektywie dziesięć godzin, by się lepiej poznać.

Rozdział 38

Kilka maili do Maxa, gdy był w Salvadorze.

Do: tothemax@thecenter.es
Od: sadiemaykingston@gmail.com
Data: 29 maja
Temat: rok
Max,
od dzisiaj za miesiąc będzie rok.
Twoja,
Sadie

Do: tothemax@thecenter.es
Od: sadiemaykingston@gmail.com
Data: 29 maja
Temat: re: rok
Nie, myślę, że powinniśmy zrobić coś, co jemu by sprawiło przyjemność.
<3
Sadie

Do: tothemax@thecenter.es
Od: sadiemaykingston@gmail.com
Data: 29 maja
Temat: re: re: rok

Prawdę mówiąc, nie byłam na cmentarzu. Nie wróciłam na miejsce wypadku. Nie poszłam nawet zobaczyć tabliczki w naszym liceum. Ale jeśli będziesz chciał, pójde z tobą.

Twoja,
Sadie

Do: tothemax@thecenter.es
Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 29 maja

Temat: re: re: re: rok

To nie miejsca mnie przerażają. Tylko to, że muszę mu pozwolić odejść. Wiem, że to głupie, bo on już i tak odszedł. Ale jednak nie. Nie dla mnie.

Twoja,

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 29 maja

Temat: re: re: re: re: rok

Tęsknię za jego głosem. Chciałabym nie słyszeć w głowie tego: „Trzymaj się. Trzymaj się. Trzymaj się”.

Twoja,

Sadie

Do: tothemax@thecenter.es

Od: sadiemaykingston@gmail.com

Data: 29 maja

Temat: re: re: re: re: re: rok

Podejrzewam, że połączenie będzie cię kosztowało milion dolarów, ale przynajmniej dzisiejszego wieczoru słyszę tylko twój kochany głos. Ten rok wiele mi odebrał, ale był także hojny. Mam ciebie i tego nigdy nie pożałuję.

<333

Sadie

Rozdział 39

Rano w dniu rocznicy obudziłam się, czując na piersi czołg, a w mózgu uderzenie szrapnela.

Prawie całą noc przewracałam się z boku na bok, niespokojna i bezsenna. Byłam tak wykończona, że oczy nie chciały mi się zamknąć. Czteryście rozegranych w komórce partii pasjansa, później zasnęłam i gwałtownie obudziłam się godzinę później. Sen i niepokój nie idą w parze.

Zapaliłam światło i pomyślałam, że poczytam. Wiercąc się i kręcąc w łóżku, wywaliłam niechcący Biga. Gdy się po niego schyliłam, wypadła karteczka.

Gray Garrison jest miłością mojego życia.

Napisałam to na początku drugiej klasy liceum. Wyraźnie pamiętam, jak głęboko byłam o tym przekonana. Przysłał mi całą masę linków do filmu *Peter and Starcatcher* na YouTube. Może nic wielkiego, ale znaczyło, że rozumie mnie i moje pasje.

Z tego samego powodu zgodził się jechać dziś ze mną.

Wyjęłam z Biga następną karteczkę, a potem następną, aż był pusty. Wspominałam przeszłość.

Te karteczki były jak wehikuł czasu, ale prowadziły do epoki, której nie chciałam wspominać. Zaliczyłam ją i nie chciałam wracać. Wazon od Graya pochodził z tych samych czasów, więc włożyłam karteczki do niego, a Biga posadziłam na półce. Jeszcze nie chciałam się rozstawać ze starym przyjacielem. Ale jakoś nie mogłam już trzymać wazonu w pokoju, więc podreptałam korytarzem do szafy w przedpokoju i tam go schowałam.

Ale i to mnie nie usatysfakcjonowało. Chciałam, żeby te papierki zniknęły na dobre i przyszło mi do głowy doskonałe miejsce.

O czwartej nad ranem, na bosaka, wyszłam z domu i wsiadłam na skuter. Jazda pod wzgórze Willit zajęła mi dziesięć minut.

Nikt nie postawił krzyża ani tabliczki z informacją, co się tu stało, ale sosny nosiły ślady tamtego dnia. One też miały blizny. Zatrzymałam się na poboczu i uświadomiłam sobie, że nie jechałam tędy od roku.

Mama unikała tej drogi.

Tata unikał tej drogi.

Ja unikałam tej drogi.

Ale już dość. Zostawiłam skuter przy słupku i na piechotę doszłam na miejsce wypadku. Ziemia karała moje stopy za nieobecność. Oparłam się o drzewo, a potem uklęknęłam jak na cmentarzu. Chciałam porozmawiać z Trentem.

– Minął już rok, wiesz? Naprawdę trudny rok bez ciebie. Gdy cię straciłam, czułam się, jakbym skoczyła z mostu, ale zapomniała, w którą stronę mam płynąć, żeby się wynurzyć. Nie wiem, czy kiedykolwiek do końca to przeboleję, ale zaczynam chyba znajdować drogę. Moja mama powiedziała, że

jak ktoś umiera, nie radzimy sobie z tym, zapominając. Pamięć nam pomaga. Ostatnio wszystko sobie przypominam. Powiedziałam Maxowi, Grayowi i Ginie o tobie. Przeżyli. I myślę, że też by tak było, gdybyś ty im powiedział. Bałeś się, ale oni cię kochają. Tak jak ja. Max nawet gadał z Chrisem. Pomyślałam, że chciałbyś wiedzieć. Sporo czasu spędziłam na szukaniu siebie. Odkrywaniu. W czasie takich poszukiwań powinieneś być ze mną. Czasem nie mogę znieść tej niesprawiedliwości, że cię nie ma. Staję bez ruchu, a Ziemia się kręci. Byłbyś wściekły. Nie zniósłbyś mnie takiej. Chcę ci powiedzieć, że dzisiaj zaczynam od nowa. Bez ciebie. Zostawię tu coś, żeby dotrzymywało ci towarzystwa. Ty pierwszy włożyłeś do Biga karteczkę z dobrą wróżbą. Prawie wszystko, co dokładałam, opowiadało o tym, co kochałeś we mnie i w nas wszystkich. Będzie tutaj, z tobą. – Wykopałam dołek w igłach sosnowych i ustawiłam tam wazonik.

Potem zasypałam.

Oblałam łzami.

Pożegnałam się z moim przyjacielem.

Potem nasłuchiwałam refrenu jego ostatnich słów, ale odpowiedziała mi tylko cisza.

Chyba on też się w końcu pożegnał.

Gwiazdy jeszcze świeciły, gdy wsiadałam z powrotem na skuter. Popatrzyłam w niebo i dałam sobie chwilę na patrzenie. A może i na wahanie. Przypomniałam sobie naszą rozmowę, moją i Trenta, jak byliśmy dziećmi.

On dopiero co wrócił z wakacyjnego Kosmicznego Obozu i leżeliśmy na molo. Mieliśmy naszą godzinę gwiazdnej ciszy.

Słyszałaś, że widzimy gołym okiem trzydzieści miliardów kilometrów? Trzydzieści miliardów!

Zrobiło to na nim wrażenie. Cały czas o tym mówił. Pokazywał mi gwiazdy i opowiadał, jak daleko się znajdują od Ziemi. Tydzień na obozie nie zrobił z niego eksperta od kosmosu, ale chyba o tym nie wiedział.

Chciałam mu pokazać, że to dla mnie ważne. I że jak go nie było, też czytałam o kosmosie w Internecie i w książkach z biblioteki.

– Super. Patrz – powiedziałam. Podniosłam do góry kciuk, zamknęłam lewe oko i zakryłam Oriona. – Neil Armstrong tak zrobił, gdy wyleciał w kosmos.

– Co? Pokazał Ziemi podniesiony kciuk? – dociekał.

Byłam zachwycona, że wiem więcej niż on!

– Tak. Opowiadał potem, jak zdał sobie sprawę, że w tym miejscu, gdzie się znalazł, może podnieść lewy kciuk i zakryć całą Ziemię. Ale podobno nie czuł się jak olbrzym. Przeczytałam to, jak ciebie nie było.

Trent też uniósł kciuk i zakrył Wielki Wóz.

– Ale jaja! – zawołał. – Czasem małe rzeczy są wielkie!

Mądrość Neila Armstronga, gwiazdna cisza i nasze trzynastoletnie wcielenia wróciły, gdy się wpatrywałam w to doskonałe niebo, równie ciemne jak jasne.

Uniosłam kciuk i zakryłam przeszłość, aż nie było nic widać. Potem wróciłam do domu.

Czasem małe rzeczy są wielkie.

Właśnie zrobiłam małą.

Rozdział 40

Max zapukał w szybę o szóstej trzydzieści.

Po powrocie zasnęłam jak dziecko.

– Rusz się, Kingston! – pogonił mnie, gdy podniosłam trochę okno.

– Już idę.

Kręciłam się przez pięć minut, wykonując czynności koniecznie, jak zmiana bielizny, użycie dezodorantu i zapakowanie potrzebnych rzeczy, a przez drugie pięć miotałam się niepotrzebnie, kilka razy zmieniając ciuchy i fryzurę. Wepchnęłam do torby to, co zostało z Biga.

– Nie jedziemy do Trzeciego Świata – przypomniał Max, gdy zobaczył mój bagaż.

– Cicho, dla mnie wyprawa poza moją ulicę to jak lot na księżyc.

Pocałował mnie w policzek.

– No właśnie. Lepiej im powiedz – wskazał na sypialnię rodziców – dokąd jedziemy.

Zostawiłam liścik na blacie w kuchni, ale nie umiałam stwierdzić, czy się ucieszą, czy spanikują.

Chcieli, żebym znów zaczęła jeździć samochodem, ale pewnie nie od razu w pięciogodzinną podróż. Według nich nigdy nie dotarłam choćby do mostu na drugim końcu ulicy. Na wszelki wypadek dorysowałam dużą, uśmiechniętą buźkę, żeby ich dobrze nastroić.

Jestem szczęśliwa. Dam radę. Będę prowadzić przez dziesięć godzin.

Kontrolny telefon miałam jak w banku.

Ruszyliśmy na moim skuterze, a pierwsze promienie słońca zaczęły się właśnie z wysiłkiem przedzierać przez powłoki bladoszarego nieba. Domy lśniły niczym próbki farb, prezentując odcienie brzoskwini, brązu, niebieskiego i akwamaryny. Jeden biały, ze stiukami, półkolistym dachem, miał już za sobą kilka remontów. W niektórych punktach dachu wciąż było widać płachty niebieskiego brezentu – ślady po uszkodzeniach wywołanych przez ostatnią burzę.

Ale dom trwał.

I ja trwałam.

Za kilka minut usiądę za kierownicą i pojedziemy do St. Augustine. Jak byłam mała, zachwycałam się samolotami i wahadłowcami. Obserwowałam samoloty wojskowe wylatujące z bazy Eglin Air Force. Na niebieskim niebie zostawiały białe ślady. Raz tata nawet mnie zabrał na przylądek Cape Canaveral, żebym zobaczyła start. Wydawało mi się niemożliwe, że te kolosy latają. Samochody nigdy mnie tak nie zdumiewały. Miały koła, silniki, nie widziałam w nich cudu. Stanowiły dzieło rozumu.

Aż do wypadku.

Codziennie ludzie wsiadali do tych maszyn i mknęli po ulicach z dużą prędkością. Nie wiedzieli, że więcej osób ginie w wypadkach samochodowych niż katastrofach lotniczych? Nie wiedzieli, że Trent

zginął? A Max i ja cudem uszliśmy z życiem? Chyba nie. Wysyłali z za kierownicy SMS-y, rozmawiali przez komórki, jedli potrawy kupione na wynos i szukali w iPodach ulubionych piosenek.

Prowadzeniu auta przydałoby się trochę więcej celebry, a mniej poczucia, że jeździ się dziecinną zabawką. Strach zmusił mnie do biegania. Własne nogi wydawały mi się znacznie bezpieczniejsze.

Ale przecież do St. Augustine nie mogłam iść.

– Nic nie mówisz – zauważył Max.

– Ty też nie.

– Może to taki milczący dzień.

Gina i Gray zaparkowali przed bramą Metalowego Pete’a i już na nas czekali. Poprosiłam Ginę, żeby wytłumaczyła Grayowi, o co chodzi. Ostrożnie się przywitaliśmy. Nie został między nami nawet ślad niedawnej wesołości z kempingu i walki kurczaków.

– Czemu nie możemy jechać samochodem Giny? – spytał Gray.

– Bo ja chcę prowadzić. – Wszyscy się zatrzymali w pół kroku. Nawet Max. – A jak myślicie, po co tu jesteśmy? – Zagrzechotałam kluczykami i poprowadziłam ich do „mojego” chevroleta.

– Nie miałem pojęcia – przyznał Gray.

– Myślałem, że chodzi o rytuał – zaryzykował Max.

Rozumiałam go. Przypuszczał, że zanim odjedziemy, chciałam pokazać pozostałej dwójce yarisę.

– Ćwiczyłam – powiedziałam, taktycznie pomijając informację, że przez dwa dni.

Gina mnie objęła i przytuliła.

– Super, na pewno dasz radę!

– Dzięki! – Po jej słowach poczułam się lepiej.

Ale moje zapewnienie o próbach nie uspokoiły Graya ani Maxa. Gdy im zaprezentowałam naszą torpedę z rozbudowaną kabiną, pojawiła się atmosfera niepokoju.

– Chcesz tym jechać przez dziesięć... – Gray w porę zamilkł.

Gdyby powiedział to trochę mniej spanikowanym tonem i okoliczności były inne, uznałabym ten niepokój nawet za zabawny. Ale tutaj i teraz mnie wkurzył i dobrze o tym wiedział. Wsiadliśmy. Max i ja siedzieliśmy z przodu, a Gina i Gray za nami, naprzeciwko siebie. Miejsca było tak mało, że stykali się kolanami. Gdy zapięłam pas, Max ledwo słyszalnie wyszeptał:

– W porządku?

– Od możliwości do realizacji – odszepnęłam.

Pokiwał głową, a ja przekręciłam kluczyk w stacyjce.

– Gotowi?

Nikt nie odpowiedział. W żaden sposób. Wstrzymali oddech, gdy wyjeżdżałam z parkingu. Ruszyłam, czując, jakby ktoś mi zawiązał gardło na supeł. Po plecach spływał mi zimny pot. Nogi tak mi się trzęsły, że bałam się oderwać stopę od hamulca.

Gray przerwał ogarniającą mnie panikę. Nachylił się między dwoma naszymi zagłówkami i grobowo oznajmił:

– Boże, mam nadzieję, że podczas naszej nieobecności, nikt nie kupi opon Giny.

Roześmieliśmy się wszyscy nerwowo i dodałam gazu.

Rozdział 41

Prowadzenie auta było znacznie trudniejsze, gdy pojawiły się inne samochody (jadące) i gdy się miało widownię. Dotarłam do wjazdu na drogę międzystanową ani razu nie przekraczając siedemdziesięciu dwóch kilometrów na godzinę. Nikt się nie odzywał.

Max zajął się wystukiwaniem na szybie rytmu. Gina śpiewała z radiem. Gray przytulił się do okna i nie widziałam go w lusterku. Może i dobrze. Zaciskałam dłonie na kierownicy tak mocno, jakby od tego zależało moje życie, i powtarzałam wszystkie znane mi modlitwy. To był dziwny strach. Dziwnie się było bać czegoś, co nikogo innego nie przeraża.

– Na międzystanówce będziesz musiała jechać szybciej... – wspomniał ostrożnie Max.

Wiedziałam o tym.

Nie byłam pewna, czy dam radę.

Za każdym razem, kiedy próbowałam przyśpieszyć, wystrzeliwaliśmy naprzód tak szybko, że natychmiast puszczałam pedał gazu. Jazda zrywami przypominała rundkę na festynowej karuzeli.

– Spróbuję – zapewniłam.

W tym momencie zadzwoniła moja mama.

– Odebrać? – spytał Max.

Pokiwałam głową, a on przegrzebał moją torbę w poszukiwaniu telefonu, który leżał na dnie. Znalazł go w ostatniej chwili.

– Dzień dobry, mówi Max. – Mama powiedziała coś, czego nie słyszałam, ale Max odparł: – W tej chwili prowadzi auto.

Usłyszałam pisk. Z radości? Z przerażenia? Ze złości? Nie śmiałam oderwać wzroku od szosy, żeby zerknąć na minę Maxa.

Ciężarówka za mną zaryczała, aż nami zatrzęsło. Za nią jechała hummerem jakaś kobieta. Wcisnęła klakson i zjechała na środkowy pas.

– Pocałuj się w dupę! – wrzasnęłam przez szybę.

Max zakrył dłońią mikrofon:

– Twoja mama mówi: uwaga na język!

Zaśmiałam się słabo i zjechałam na pobocze. Z trudem puściłam kierownicę. Po tych kilku kilometrach zaciskania dłoni bolały mnie palce.

Max podał mi telefon.

– Cześć, mamó – odezwałam się, gdy uznałam, że mój głos zabrzmiał normalnie.

– Sadie, gdzie wy jesteście?!

– Na międzystanowej dziesiątce.

Mama nie umiała szeptać, więc świetnie słyszałam, jak powtarza to tacie. On był równie marny w cichym mówieniu, więc nie musiała mi powtarzać jego pytania:

– Spytaj ją, czy wszystko w porządku.

– Tak, tato! – odparłam.

I prawie sama w to uwierzyłam.

– Na pewno?

– Skarbie! – Głos mamy brzmiał, jakby zwracała się do stada szczeniactków i kociąt z tęczowymi kokardkami na szyjach. – Jesteśmy z ciebie tacy dumni!

No ładnie. Tego się nie spodziewałam. Czy prawo rodzicielskie nie zobowiązywało ich do powiedzenia, że się martwią, i wlepiania mi szlabanu za zrobienie czegoś tak idiotycznego i niebezpiecznego? Dwa dni temu okazałam się tak samolubna i nieuprzejma, robiąc, co chcę, że wysłali mnie na dodatkową sesję terapeutyczną.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć.

– Daj znać, jakbyś czegoś potrzebowała – dodała mama.

– Dobrze.

Rozłączyła się.

Wyjrzałam przez okno. Kurz wzbił się w powietrze, a za nim rozciągały się pola bawełny wyglądające jak morze kłębiastych chmur. Na wietrze kołysały się różaneczniki wielkości przyczep kempingowych.

Przywołały wspomnienie tamtego dnia, gdy leżeliśmy z Trentem na polu i gadaliśmy o ważnych sprawach.

– Chcę, żeby to było ważne – poinformowałam wszystkich.

Pokiwali głowami.

Chociaż jeszcze szmat drogi dzielił nas od St. Augustine, zwłaszcza jeśli nadal będę jechała siedemdziesiąt dwa na godzinę, zjechałam na parking. Opowiedziałam Ginie, Grayowi i Maxowi historię Trenta i Callahana. Gray zaczął się zastanawiać, czy się Trentowi podobał. Odpowiedziałam, że z tego, co wiem, to nie. Gina spytała, czy Callahan też go kochał. Max stanowczo potwierdził. I sformułował wrażenie nas wszystkich: niektórych trudno jest zrozumieć, ale łatwo kochać. Taki był Trent.

Wszyscy tacy byliśmy.

– Czemu nie pojechaliśmy rok temu? – zadumał się Gray.

Max wiedział:

– Byliśmy wtedy gdzie indziej.

– Byliśmy inni – dodałam.

– Chyba rzeczywiście – zgodził się Gray.

Gina trąciła mnie łokciem.

– Jedźmy dalej. Dasz radę?

Zamiast odpowiadać, wycofałam z parkingu i ruszyłam w stronę wjazdu na drogę, myśląc tylko o tym, że muszę jechać szybciej. Piętnaście na godzinę. Trzydzieści. Pięćdziesiąt. Sześćdziesiąt.

Max zbadał sytuację za nami.

– Możesz wjeżdżać.

Jego głos wprowadził mnie z powrotem na międzystanówkę.

Osiemdziesiąt.

Dziewięćdziesiąt.

Myślałam, że serce mi wybuchnie.

Dziewięćdziesiąt pięć.

Sto pięć.

Max obserwował wskazówkę prędkościomierza.

– Dajesz!

Dawać (cz.) – po raz pierwszy jechać drogą międzystanową.

Rozdział 42

Zatankowaliśmy w Tallahassee. Przy okazji pospacerowałam dziesięć minut, żeby się rozciągnąć i uspokoić. W okolicy Jacksonville moje zszarpane nerwy osiągnęły już granicę wytrzymałości.

Dotarłam tak blisko! Zgodnie z tablicą informacyjną zostało jeszcze sześćdziesiąt pięć kilometrów. W powietrzu dało się już niemal wyczuć zapach czarodziejskich źródeł. Ale dla mnie te sześćdziesiąt pięć kilometrów mogło równie dobrze być tysiącem. Zaparkowaliśmy przed McDonaldem, jedliśmy frytki, pociliśmy się i unikaliśmy oczywistego pytania.

– Mógłby mnie ktoś z was zmienić? – spytałam w końcu.

– Ja – zgłosił się cicho Gray.

Czułam jego wahanie i determinację. Ostatni raz prowadził rok temu. Może tak samo desperacko jak ja chciał usiąść za kółkiem. A może po prostu chciał opuścić tylne siedzenie.

Zamieniliśmy się miejscami. Gina i ja ścisnęłyśmy się z tyłu jak sardynki. A ja przecież nie miałam tak długich nóg jak Gray.

Max zgasił radio i włączył playlistę ulubionych piosenek Trenta. Amos Lee, Ben Howard, The Head and the Heart... Muzykę można porównać do dwukierunkowej ulicy, którą prawie wszyscy jadą. Ale te piosenki to nie tylko muzyka, ale także dobre wspomnienia. Gray jechał na wschód, a ja oparłam głowę o szybę i obserwowałam, jak wibracje auta przenikają przez moje ciało tak samo jak piosenki.

Już na rogatek St. Augustine Max wsunął rękę między drzwi a swoje siedzenie. Gdy się nachyliłam, żeby musnąć jego palce, w schowku w drzwiach zauważyłam coś białego. Koperty. Co najmniej trzy. Nie widziałam, czy były podpisane moim imieniem, ale podejrzewałam, że tak.

Złapałam go za rękę, nie spuszczając ich z oka. Strasznie byłam ciekawa. Max spojrzał na mnie z uśmiechem i skinął głową, żebym się do niego nachyliła.

Przysunęłam ucho jak najbliżej do jego ust.

– Świetnie ci szło. Cieszę się, że jedziemy, naprawdę.

– Ja też.

Gdy się odwrócił, wsunęłam koperty do torby.

Gina zauważyła, co robię, uniosła brwi i wskazała na przednie siedzenie.

Na Maxa?

Na Graya?

Wolałabym, żeby to nie był żaden z nich.

Rozdział 43

Gray sunął ulicami St. Augustine. Najstarsze miasto w Stanach nosiło swój wiek z godnością dawnej gwiazdy filmowej. Zbliżyliśmy się do wjazdu do Parku i Gray otworzył okno. Do kabiny wpadło ciepłe, słone powietrze.

Zaparkował przed Parkiem Archeologicznym Fontanny Młodości i ogłosił:

– No to jesteśmy. Jezu, wyobrażam sobie, jak stary Poncey by się ucieszył, gdyby za jego czasów istniały takie oznaczenia drogi.

Trent powiedziała by dokładnie to samo. Widziałam, że Gray stara się zapełnić lukę po nim.

Gina trąciła mnie kolanem i się uśmiechnęła, zanim się wygramoliłyśmy z auta. Jasne popołudniowe słońce przypomniało mi, że oprócz okularów słonecznych mam też słomkowy kapelusz. Zerknęłam w lusterko i zebrałam się na odwagę. Zdjęłam bluzkę z długim rękawem i odsłoniłam Tennessee oraz koszulkę z filmu *Peter and the Starcatcher*, którą dostałam od Graya na szesnaste urodziny. Dokładnie rok temu miałam pod nią kostium kąpielowy. Znalazłam ją dzisiaj rano w szafie w przedpokoju, gdzie rodzice schowali rzeczy zabrane z yariski.

– Fajna bluzka – rzucił Gray, który właśnie mnie minął po drodze do kasy.

Max się rozpromienił i pociągnął za krótki rękawek.

– Brawo!

Gina została ze mną, a chłopcy poszli przodem. Pomogła mi się nasmarować specjalnym kremem do opalania dla jasnej jak moja karnacji i powiedziała:

– Dostaniesz dzisiaj dodatkową porcję witaminy D.

Wrzuciłam tubkę do samochodu.

– Od czegoś trzeba zacząć.

Powoli obróciła się na pięcie i chłonęła widok.

– Nie wierzę, że naprawdę tu jesteśmy!

Przygotowanie się do tej podróży zajęło nam rok. Było nas czworo, a nie pięcioro, ale dotarliśmy.

– Udało się – stwierdziłam.

Usłyszał mnie Gray. Strzepywał zmęczone nogi, przeciągał się, sięgając daleko w niebo i rozmasowywał kark.

– Dzięki Bogu. Najdłuższa jazda świata.

Gina stanęła w mojej obronie.

– Nie było tak źle. – Max i Gray spiorunowali ją wzrokiem, więc się poprawiła: – Dobrze, może i była długa, ale nie zła.

– No to najdłuższy rok świata – spróbował raz jeszcze.

– Amen – zgodziliśmy się chórem.

Na szczęście w Parku nie było tłoczno. Na parkingu stało tylko kilka aut. Wysoka wilgotność powietrza wysłała turystów prawdopodobnie do centrów handlowych albo kin. Przy kasie każde z nas zrymało się na wysoką cenę biletu wstępu. Kasjerka łypnęła na nasze butelki z wodą, jakby to była trucizna, ale wydała nam mapę parku i kupon na wodę z Fontanny Młodości.

– Miłego dnia – poleciała.

Poleciała, naprawdę! To nie ten typ, który życzy albo sugeruje.

– Wzajemnie! – odparł żywiołowo Gray. Potem odwrócił się do nas: – Ta stara nietoperzyca powinna chlupnąć parę litrów.

– Ludzie pewnie tak samo mówią o mnie – mruknełam.

Max przechylił głowę i posmutniał, że się tak deprecjonuję.

– Ale nie dzisiaj. – Postukał rondo mojego kapelusza. – Pięknie wyglądasz.

Nie wiedziałam, jak zareagować, więc schyliłam głowę i wsunęłam do kieszeni bilet wstępu. Gina wzięła mnie pod rękę. Ciekawa byłam, ile wie o kopertach. Wiedział ktokolwiek oprócz mnie? Czy Max i Gray wysyłali je razem i dlatego wskazała głową ogólnie na przednie siedzenia, zamiast na jednego albo drugiego? Wcześniej nie wzięłam pod uwagę takiej możliwości.

Jeśli mój umysł błądził w ciemności, ona stała obiema nogami w kręgu światła.

– Pokręćmy się! – zaproponowała, ale takim tonem, że nie było odwołania. – W końcu to Fontanna Młodości! No chodź!

Nie czekała na moją zgodę. Pociągnęła mnie za rękę i zaczęliśmy wirować i śmiać się jak małe dziewczynki.

Widziałam nas prawie dziesięć lat wcześniej, w bawełnianych sukienkach, z kucykami, na placu zabaw przed szkołą podstawową, jak jemy ciastka i gadamy o tym, jakie chłopaki są głupie. Wtedy mówiłyśmy sobie często takie rzeczy, jak: „Jesteś moją najlepszą przyjaciółką na świecie, nieważne, co się stanie”.

Wtedy w to wierzyłyśmy.

Znów zaczynałam w to wierzyć.

Gdy przeszliśmy przez łuk bramy, rozciągnęła się przed nami wielka zielona przestrzeń pełna pomników, budowli i pamiątek. Gdzieś dalej rozpościerała się zatoka, do której przybił Juan Ponce de León w poszukiwaniu złota i sławy. Niedaleko znajdowało się źródło symbolizujące Fontannę Młodości. Tyle czekałam na tę wyprawę, że trochę mnie rozczarowało podobieństwo tego parku do innych, które w życiu odwiedziłam. Spodziewałam się chyba zobaczyć stuletnie dzieci pluskające się w rzymskich marmurowych łaźniach.

Nie wiedziałam, od czego zacząć, a wszyscy patrzyli na mnie wyczekująco.

– Źródło? – podsunął Max.

Zawahałam się.

– Zostawmy je na koniec.

– Pomnik? – spytał Gray i od razu ruszył w kierunku posągu konkwistadora.

Gina puściła moją rękę i poszła za nim. Jej miejsce u mojego boku zajął Max. Szliśmy brukowanymi ścieżkami, a czasem odbijaliśmy od nich. Dałam sobie prawo do odczuwania wszystkiego i zapamiętania tego, co chciałam. Miałam wrażenie, że przez mój mózg maszeruje kolorowy pochód.

Gina. Kręcenie się. Jej ramię splecione z moim.

Gray. Pełen historii wazon zagrzebany w sosnowych igłach.

Big. Wypatroszony pluszowy struś.

Rocznica. Dzisiaj.

Lista. Zawężająca się.

Max. Najeźdźca. Odkrywca. Winowajca?

Zobaczyłam górującego nade mną złotego de Leóna, ustawionego na wysokim kamiennym postumencie.

Stałam w jego cieniu i wyobrażałam sobie, jak po raz pierwszy dobija do tego brzegu.

Odkrywcy byli bezduszni i okrutni. Ale jednak odważne z nich dupki. Zazdrościłam im ich małego świata i rozrastających się map. Co nam dzisiaj zostało do odkrycia? Trendy w modzie i nowe rodzaje mediów społecznościowych?

Wpatrywałam się w wielki posąg i zastanawiałam się, kiedy przestały mu się trząść nogi po zejściu na ląd. Czy ucałował ziemię i podziękował Bogu i królowi za szczęśliwą podróż? Od razu ruszył do walki z tubylcami? A może rozmyślał nad tym samym, co ja teraz?

Czy ta woda rzeczywiście uzdrawiała?

– Jak myślisz, co by powiedział Trent? – spytałam Ginę.

– Pewnie coś w stylu: „No dobrze, Sadie May, co odkryjemy teraz? Machu Picchu? Angkor Wat?”

Trafiła w sedno.

– Dokładnie!

– W końcu nieźle go znałam.

To prawda. Cieszyłam się, że pamięta.

– Uśmiełby się, gdybym mu powiedziała, że te miejsca są strasznie daleko.

Spojrzała w niebo.

– Prawie go słyszę.

Mnie się też tak wydawało.

Wtrącił się Max:

– Wysokość, głębokość i szerokość wszechświata, choć niemierzalna, wcale go nie onieśmiewała.

Nakręcała tylko. Żałuję, że nie dane mu było podróżować.

Nawet te słowa brzmiały bardziej jak wypowiedziane przez Trenta niż przez Maxa. Nikt już nic nie dodał. Rozeszliśmy się. Każde z nas odpłynęło w swoje wspomnienia.

Nagle ktoś dotknął mojej ręki.

– To ja! – Max odskoczył, gdy i ja podskoczyłam.

– Możemy pogadać? – spytałam.

– Przyszedłem w tej samej sprawie.

Zerknęłam na mapę parku i krzyknęłam Ginie i Grayowi, że idziemy z Maxem w stronę zatoki. Wziął mnie za rękę.

Czy jeszcze kiedykolwiek pójdziemy tędy razem?

Miałam nadzieję, że tak.

Wybaczyłam Ginie. Z Grayem przez cały dzień miło rozmawialiśmy. A jeśli będzie trzeba, wybaczę i Maxowi. Prawda?

Nad zatoką usiadłam po turecku na ławce i rozejrzałam się. Rozgrzane drewno czułam nawet przez dzinsy. Max usiadł naprzeciwko. Na skroniach zbierał mu się pot. Gorąco jak jasna cholera, pomyślałam i powachlowałam się koszulką, żeby wpuścić pod nią trochę powietrza.

– Chciałbym cię przeprosić – zaczął, a potem wyjaśnił. – Nie byłem przekonany, czy powinniśmy tu przyjechać. Ale wyszło fajnie. Chcesz im wybaczyć i myślę, że to duży krok w dobrą stronę.

Nie mogłam już dłużej czekać.

– Widziałam w aucie koperty.

Nasunął kapelusz na czoło i nie widziałam jego oczu. Poprawił się na ławce.

– Jakie koperty?

Wygrzebałam je z torby i wszystkie trzy podetknęłam mu pod nos. Tak jakby sam ten ruch świadczył o domaganiu się reakcji.

Usiadł z powrotem, wziął jedną z nich i odczytał moje nazwisko:

– Sadie Kingston.

Zanim zdołałam się zastanowić, co to oznacza, usłyszałam za plecami głos:

– To nie on.

Odruchowo zakryłam dłonią usta. Czyli to Gray!

– Nie bardzo rozumiem... – przyznał Max.

– Nie, to ja nie bardzo rozumiałam. Jak...

– Mój kolejny błąd – przerwał mi Gray. Spojrzał na Maxa ze współczuciem. – Wyjaśni ci, ale zostaw nas na chwilę, proszę cię.

Max wyglądał na skołowanego. A jednak wstał. Uszanował prośbę Graya.

Złapałam go za rękę.

– Wszystko ci potem wytłumaczę.

Uścisnął mnie dwa razy.

– Dobrze. – Potem mrugnął i odszedł.

Gray zajął jego miejsce na ławce.

Woleliśmy, żeby rozmawiały z sobą nasze serca.

Jego serce:

– Wysłałem je, bo nie wiedziałem, co innego mogę zrobić. Nie wysłuchałabyś mnie.

Moje serce:

– Nie byłam gotowa. Po prostu nie mogłam.

– Miałem nadzieję, że posłuchasz siebie.

– Szkoda, że się nie podpisałeś.

– Gdybym się podpisał, od razu byś je wyrzuciła.

– Może i racja.

– Czy to choć trochę pomogło?

– Najdziwniejsze, że tak. Wyszło na to, że przeszłość wcale nie była taka zła? – Nie musiałam go pytać. Nigdy by się tego nie wyparł. Dlatego podrzucał te listy. – Zapomniałam o tym.

– Cieszę się, że mogłem ci przypomnieć.

Potem rozmawialiśmy dalej. Dlaczego akurat te wspomnienia. Jak to zrobił. W zeszłym roku na

paintballowych piratach on i Trent dla jaj przegrzebali Biga.

– Zawsze się upierałaś, że to nie są tajemnice. Ciekawość wygrała – przyznał ze wstydem. – Podobało mi się to, co pisałaś. Te fragmenty nas, które uwieczniałaś.

Wyjaśnił, że zrobili parę zdjęć komórką. Tych, które najbardziej mu się podobały, jak skakanie z mostu, i tych, które go wkurzyły, jak kąpanie się nago z Trentem.

– Czyli jednak twój marker nie wypalił wtedy niechący, co? – spytałam, bo przypomniałam sobie, że w zeszłym roku Trent był w naszej drużynie i Gray niechący strzelił mu prosto w maskę.

Gray pokiwał głową.

– Szlag mnie trafił, jak to czytałem. Nie miał prawa widzieć cię nago, zanim ja cię zobaczyłem.

– Dla twojej informacji: nie widział mnie nago.

Westchnął.

– Przecież to nie miało znaczenia, nawet jeśli widział. Na pewno nie teraz. Ale wtedy o tym nie wiedziałem. No tak czy siak, wykorzystałem te zapiski, bo z nich się składała dziewczyna, w której się zakochałem i za którą tęskniłem.

Wzruszyłam się, gdy mi powiedział, jak wpadł na pomysł podrzucania tych liścików. Siedział na krawężniku przed moim domem i o mnie myślał. Martwił się.

– Widziałam cię wtedy.

– Nie sędzę. Było bardzo wcześnie.

– Wschodziło słońce. – Wyraźnie widziałam, jak kuca pod naszą skrzynką pocztową. – Byłeś ubrany w dżinsy i tę szarą bluzę z kapturem, którą ci podkradałam.

Napisałam Maxowi, że go widziałam.

– No to może i tak. – Przysunął się trochę bliżej i wyciągnął rękę. Włożyłam w nią dłoń. – Cierpiałaś. Zamknęłaś się. Oddaliłaś. Musiałem coś zrobić, żeby cię złapać, a nic innego nie przyszło mi do głowy. Tak naprawdę byłem z siebie dumny, że wpadłem na coś, co zrobiłby Trent.

Miał rację. Te listy od samego początku kojarzyły mi się z Trentem. Dlatego zaczęłam w końcu podejrzewać Maxa, a nie Graya. A jednak Gray Garrison wciąż miał kilka asów w rękawie. Cieszyłam się ze względu na niego i na tę dziewczynę, która przyjdzie po mnie.

– Mogłeś mi powiedzieć tamtego dnia na plaży, gdy ci pomagałam z fotelami. Albo na paintballu. Albo w ogóle.

– A bylibyśmy tu teraz, gdybym ci powiedział? – spytał cicho.

Chyba oboje znaleźmy odpowiedź.

Nachylił się do mnie.

– Może mnie nienawidzisz, ale widziałem cię, jak prowadzisz auto, jak zdejmujesz te zasrane długie rękawy. Jesteś tu... – Rozejrzał się wkoło. – Jak dla mnie było warto.

– Nie nienawidzę cię.

– Mogę powtórzyć to, co powiedziałem ostatnio. Cały czas cię kocham.

W jakiś dziwny, po ludzku błędzący sposób pokazał mi to.

Na paluszkach szłam po polu minowym. Nie można cofnąć czasu ani wycofać zmian, jakie w nas zachodzą.

– Ja... – zapadła ciężka cisza. – Dla mnie wciąż jesteś ważny...

– Ale? – Zabrał rękę.

– Przeszłość musi pozostać za nami. Nie dlatego, że mnie zdradziłeś. Po prostu się zmieniliśmy i to jest zupełnie w porządku.

Kiedy to powiedziałam, rozległy się brawa niewidzialnych rąk. Wydawało mi się, że dobiegła końca długa jazda kolejką w wesołym miasteczku. Wyobraziłam sobie pracownika przemawiającego do plastikowego mikrofonu:

– Panie i panowie, prosimy o ostrożne odpięcie pasów, drzwiczki znajdują się po lewej stronie.

Dziękujemy za wspólną podróż kolejką „Koniec z nami”.

Gray podrapał się w głowę i zamknął oczy. Wiedziałałam, że nie zrobił tego, żeby na mnie nie patrzeć. On już nie chciał widzieć nas.

– Naprawdę myślałam, że nam się uda.

– Udało się. Po prostu nie tak, jak myśleliśmy.

– To prawda – przyznał.

– Prawda – potwierdziłam.

Prawda okazała się piękną sprawą.

Rozdział 44

Gina i Max musieli nas obserwować, bo jak tylko wstaliśmy, podeszli, z rozłożoną mapą, gotowi do zwiedzania.

– Idziemy do źródła? – spytałam prawie normalnym głosem.

– No wreszcie! – zawołała Gina.

– Gdzie tylko zechcesz – dodał Max.

Wyciągnęłam do niego rękę i miałam nadzieję, że poda mi swoją. Zrozumie, że między mną a Grayem wszystko zamknięte. I zrozumiał. Przekreślił kapelusz tyłem do przodu, tak jak lubiłam. A potem, żeby mnie rozbawić, podrapał mnie w policzek ostrą od zarostu brodą. Niektórzy po prostu umieją się wpasować. Dzięki Bogu, czasem wszystko układało się bez komplikacji.

Gray zbliżył się do Giny, ale nie na tyle, żeby to coś znaczyło.

– Chodźcie, idziemy łyknąć dopalacza.

Wszyscy się roześmieliśmy.

Źródło znajdowało się niedaleko wejścia do parku, kawałeczek od posągu. Nie licząc dwóch ozdobnych pawi obejmujących szylt z nazwą, wejście wyglądało jak drzwi do jamy Hobbita.

– Chyba znaleźliśmy Shire! – zażartował Max.

– Możesz wykreślić ten punkt ze swojej listy!

Dzielenie z kimś serca wcale nie jest upierdliwe, jeśli ten ktoś tak dobrze nas rozumie. Uścisnęłam mu dłoń, żeby to przekazać bez słów, a on zrozumiał, jakbym zawołała głośno i wyraźnie.

Weszliśmy do ziemianki, w której nie było nic niezwykłego. Plastikowe kubeczki i gablotka z lipnymi eksponatami. Sześćoletnia Sadie byłaby absolutnie zachwycona, ale Gray spytał:

– I co? Tylko tyle?! – Gina popchnęła go w stronę drzwi, więc zaraz się poprawił: – Żartowałem. Jest super!

Ale jakoś nie zabrzmiało to przekonująco.

Naszą uwagę przyciągnął szum płynącej wody. Nie ryk wodospadu, tylko wąska strużka wpadająca do niewielkiego zbiornika.

Przyglądałam mu się bez słów.

Oddaliłam się kawałek od Maxa, zamknęłam jedno oko, wyciągnęłam kciuk i zasłoniłam źródło.

– Neil Armstrong! – skomentował od razu. Uśmiechnęłam się. – Trent mi powiedział.

Czasem małe rzeczy są wielkie.

Gina i Gray obserwowali nas z zainteresowaniem, ale żadne nie spytało, o co chodzi. Gray wziął ze stolika dwa kubeczki i je napełnił.

– Wznieśmy toast – zaproponowała Gina.

Max napełnił drugie dwa i stanęliśmy w półkolu.

– Za Trenta – zaproponował Max.

– Za Trenta – ogłosiliśmy wszyscy i stuknęliśmy się kubeczkami.

Woda była zimna i smaczna. Czy uzdrawiała? To się okaże.

– Za nas – dodałam.

– Za nas – zgodzili się moi przyjaciele.

Smakowała jak pierwszy dzień jesieni. Chłodna. Orzeźwiająca. Jak z węża ogrodowego, tylko bez metalicznego posmaku. Czułam, jakbym dotarła do końca długiej podróży.

Przyjaźń okazała się przygodą w większym stopniu, niż moglibyśmy sobie tego życzyć. Magia fontanny de Leóna? A może po prostu Sadie Kingston odzyskała rozum i odwagę? Czekałam na uczucie, ale okazało się, że jest odwrotnie. Uczucie czekało na mnie. Decyzja o przebaczeniu wymaga znacznie więcej odwagi (ale o wiele mniej energii) niż hodowanie gniewu.

Już podjęłam decyzję.

Przebaczenie (rz.) – rezygnacja z toksyn goryczy.

Łzy popłynęły mi po policzkach, gdy wypowiedziałam na głos słowo, przed którym się cały rok broniłam, choć słyszałam je wielokrotnie.

– Przepraszam. – I żeby na pewno zrozumieli, zaczęłam wyjaśniać. Najpierw Ginie i Grayowi: – Odrzuciłam was, bo jechaliście pierwszym samochodem. Obwinałam was. Nie rozumiałam ani nie wyobrażałam sobie, przez co przeszliście. Nie chciałam rozmawiać. Byłam wściekła. Udawałam, że śpię, kiedy przychodziliście. Odpychałam was. I pchnęłam was w swoje ramiona. Przepraszam.

– Sadie... – Gina próbowała mnie powstrzymać.

– I tak schrzanił mi sprawę – dodał Gray.

– Przepraszaliście mnie przez rok. Muszę to nadrobić. – Pokiwali głowami i przysunęli się bliżej siebie. Max położył mi dłoń na plecach, więc i ja się do niego zbliżyłam, żeby zaczerpnąć trochę jego siły na dalszy ciąg. – Przepraszam, że czuliście, jakbym nie mogła znieść prawdy. I że za każdym razem, gdy wy mówiliście „przepraszam”, nie słuchałam. Wszyscy straciliśmy Trenta. Przepraszam, że cały rok zajęło mi dochodzenie do siebie. A ciebie, Max...

– Między nami jest dobrze! – zaprotestował.

– Jest dobrze – potwierdziłam z lekkim uśmiechem. – Ale powinnam była gadać z tobą na Skypie. Pokazać ci, jak wyglądam, i uwierzyć, że to nic nie zmieni. Ale bałam się, że ciebie też stracę.

Wzruszył ramionami, jakby to było nic wielkiego.

– Teraz widuję cię codziennie. I jest lepiej, niż było.

– Mądrze mówi! – orzekła Gina.

– Połać mu! – zawołał Gray.

Nie mazaliśmy się już. Nie gadaliśmy. Napełniliśmy kubeczki i wypiliśmy do dna.

Rozdział 45

Po wyjściu z ziemianki zaatakowało nas słońce. Zsunęłam okulary na czubek nosa i wymownie spojrzałam na Graya, który wskazał na sklepik z pamiątkami. Nie bylibyśmy sobą, gdybyśmy nie upamiętnili takiego wydarzenia kupnem magnesu.

Max zrealizował nasz kupon i nabył dwie butelki wody.

– Na przyszły rok – wyjaśnił, wrzucając mi je do torby.

– Kto prowadzi? – spytałam. Nerwowo zatrzymali się w pół kroku. – Na mnie nie patrzcie, ja was tu przywiozłam.

Najpierw śmiech był niepewny, ale potem wszyscy ryknęliśmy jak z armaty. Szybko ustalili, że będą się zmieniać co dwie godziny.

Czteryście kilometrów z Giną, Grayem albo Maxem za kierownicą minęło mi szybciej niż cztery kilometry, kiedy ja prowadziłam. Na każdym przystanku zamienialiśmy się miejscami. Ten, kto siedział z przodu, panował nad radiem. Zależnie od tego, kto to był, dostawaliśmy dawkę ostrego rocka albo chilloutu. Potem radio padło, ale co się nasłuchaliśmy, to nasze. Opowiadaliśmy sobie różne historie.

Śmiałyśmy się strasznie! Nie myślałam, że tak można. Płakaliśmy też.

Łzy doprowadziły do rozmowy o jesieni i przyszłości. Gray zaczynał pierwszy rok w Valparaiso. Gina, Max i ja mieliśmy przed sobą jeszcze dwa semestry w liceum Coast Memorial. Dzwonki, nauczyciele i tłumy nie wydawały się już takie złe.

Bo będę z przyjaciółmi.

Mniej więcej w połowie drogi wysłałam mamie SMS.

Ja: „Eksperymenty Społeczne zadziałały”.

Mama: „Mam nadzieję, że nie piszesz, prowadząc!”

Ja: „No co Ty!”

Mama: „Jedźcie ostrożnie. Potem mi wszystko opowiesz!”

Miałam dużo do opowiadania.

Gdy przyjechaliśmy pod złomowisko, Metalowy Pete jeszcze pracował w warsztacie. Wyłonił się spod maski hondy civic i zawołał:

– I co, znalazłaś źródło?!

– Tak, było dokładnie pod napisem „Źródło Młodości”.

Szeroko się uśmiechnęłam.

– Kto by pomyślał!

Wyjęłam z bagażnika torbę, oddałam mu kluczyki i podrapałam Czołówkę za uchem.

– Opowiesz wszystko? – spytał.

– Jutro, jak przyjdę do pracy.

– Do pracy? – zdziwił się.

– Potrzebuję pracy, jeśli mam znowu jeździć. Benzyna i ubezpieczenie kosztują.

Maznął mnie po nosie smarem.

– Czyli będę ci musiał dawać prawdziwe pieniądze?

– No raczej nie możesz mi płacić pączkami. – Roześmiałam się.

– W takim razie do jutra!

Wróciłam do przyjaciół i chwilę jeszcze staliśmy, jakbyśmy nie byli pewni, czy dzień się już skończył.

– Dzięki, że ze mną pojechaliście.

– Powinniśmy gdzieś jechać w każdą rocznicę.

Zgodziliśmy się, ale miałam wątpliwości, czy się uda. Zresztą, może?

Gina i Gray powlekli się do jej samochodu, a ja poprosiłam Maxa, żeby potowarzyszył mi jeszcze do yariski. Skinął głową i skręciliśmy w odpowiednią alejkę, którą szłam już tyle razy.

– Co robimy? – spytał.

– Zobaczysz.

Nie dociekał.

W połowie drogi minęliśmy buicka. Na jego klapie zapisałam swoją listę tamtego dnia, gdy przyprowadziłam tu Maxa po raz pierwszy. Od tamtej pory nie padało, więc chociaż zakurzony napis był wciąż widoczny. Max starł go ręką, bo lista prawie już nie była potrzebna. Księżycowe światło doprowadziło nas do auta Trenta.

– Co robimy?

– Zostawimy pozostałości w przeszłości.

Spytałam, czy potrzebuje chwili dla siebie, ale powiedział, że nie. Tym razem wrak toyoty nie wycisnął mu łez z oczu. Podszedł za to do zderzaka i zerwał z niego naklejkę z napisem: „I love wspinaczka”.

– Nigdy nie spytałam, skąd ją miał.

– Ze sklepu z pamiątkami w Denver. Z rodzinnych wakacji, tuż przed wypadkiem.

– Wspinaliście się tam wszyscy?

Pokręcił głową.

– Chcieliśmy, ale on się bał wysokości, więc kupił naklejkę i stwierdził, że spróbuje następnym razem.

– To bardzo w jego stylu.

Trent, wielbiciel nieba i gwiazd. Strach już go nie trzymał przy ziemi. Chyba oboje o tym myśleliśmy, gdy naklejka sama zwinęła się w rulonik, który schował do kieszeni. Max zabierał coś dla siebie. Ja coś zostawiałam za sobą.

Wyjęłam Biga z torby. Był pusty i przecięty ziejącą raną, przez którą wydłubywałam karteczki.

Przyszło mi to do głowy, gdy rano wracałam spod wzgórze. Wypełnienie Biga zostało zakopane w ziemi, więc sam Big powinien pójść na dno ze statkiem. No, z toyotą. Skoro chciałam żyć terazniejszością, musiałam się jej poświęcić. Potrzebowałam namacalnych znaków: kotwicy, emocjonalnego tatuażu.

Otworzyłam drzwi, posadziłam Biga jak pasażera na przednim siedzeniu i przypięłam go pasem.

– Zostawiasz go? – spytał Max.

– On jest dawną mną.

– Jest pusty.

– No właśnie. Nowa ja jestem pełna.

W każdym razie taką miałam nadzieję.

Zamknęłam drzwiczki. Trzask obiegł złomowisko. Z materaca na ganku zaszczekała Czołówka.

Pożegnania nigdy nie są łatwe. Ani dla psów, ani dla pluszowych strusi.

Słowa i myśli, które przez lata słyszał Big, będą teraz należały do Maxa. Do przyjaciół. Rodziców.

Wydawało mi się to w porządku, a Bigowi przecież i tak wszystko jedno. To tylko zabawka ze straganu z dziurą w brzuchu.

Okazał się jednak wehikułem czasu.

Którego już nie potrzebowałam.

– Podoba mi się ten plan, Kingston – ocenił Max, a potem dramatycznie ziewnął. – Zdaje mi się, że będziesz żyła.

– Napiłam się wody ze źródła młodości, więc jak mogłabym...

Dotknął mojego policzka i blizny przy ustach. Powstrzymał mnie tym samym od mówienia dalej.

– Ta się jakoś nazywa? – spytał.

– Blizna? Nie.

Znów mnie pocałował.

– Wydaje mi się, że Max to całkiem porządne imię.

– Co ty powiesz? – spytałam figlarnie.

– A tak. – Pocałunek. – Bo zamierzam... – pocałunek – spędzać tu... – pocałunek – dużo czasu. –

Oboje zdjęliśmy kapelusze i rzuciliśmy na ziemię, żeby nic nam nie przeszkadzało. Gdy nasze usta dzieliły od siebie milimetry, dodał: – To moja ulubiona blizna.

I znów ją pocałował.

Potem poczułam pocałunek na rzęsach.

Byłam szczęśliwa.

A jeśli istniało coś potężniejszego niż szczęście, też to czułam. Spokój? Tak, zdecydowanie spokojniej mi było z nową Sadie. Tą z grzywką, bliznami, w koszulce z krótkimi rękawami i siedemdziesięcioma dwoma kilometrami na godzinę na liczniku. I wcale nie dlatego, że Max mnie całował i akceptował. I nie dlatego, że zaliczyłam całą swoją listę, ani z powodu Graya, który podglądał moje myśli złożone w Bigu. Po prostu już się nie bałam opowiadać swojej historii.

Czasem konieczna jest podróż, żeby pozwolić komuś się pokochać. A czasem kończy się na zakochaniu w sobie samej. Miałam jeszcze kawał drogi przed sobą, ale towarzystwa mieli mi dotrzymać Pink Floyd, Tennessee, Idaho i Max.

Coś czułam, że zaczniemy się dogadywać.